



Foto: Jolanta Sadowska

Łatwiej ukraść niż sprzedać

Z Ryszardem Stanisławskim dyrektorem Muzeum Sztuki w Łodzi rozmawia Jerzy Kwieciński

— Panie Dyrektorze. Od głośnej kradzieży obrazów z naszego muzeum, a nawet od momentu ich częściowego odnalezienia minęło tak wiele czasu i tyle już o tym napisano, że nie dziwię się Pańskim obawom, żeby rozmowa na ten temat nie okazała się zbędną powtórką spraw dość powszechnie znanych...

— Które ponadto w pewnych szczegółach są niepewne, a przynajmniej nie do końca wyjaśnione. Zanim więc zdąży pan opublikować naszą rozmowę mogą wyjść na jaw jeszcze jakieś nowe okoliczności w rodzaju najświeższego obecnie doniesienia prasowego o tym, że dwa spośród odnalezionych obrazów miały być fałszykami!

— Jednak, skoro już zechciał pan mnie przyjąć, spróbujmy rozmawiać dalej, niezależnie od tego, co mogłoby się jeszcze zdarzyć. Obiecuję nie dręczyć Pana pytaniami o fakty i okoliczności już stwierdzone i przez prasę rozkolportowane.

— Jeszcze raz podkreślam, że nie we wszystkim jest to pewne, o czym mogą świadczyć rozmaite sprzeczności w doniesieniach. Wobec tego o czym chciałbyśmy rozmawiać?

— O kradzieżach dzieł sztuki w ogóle, a zwłaszcza z muzeów. Najpierw jednak, o ile w paru słowach: co Pan o tym sądzi, że mogłoby znajdować się u was obrazy sfalszowane zamiast oryginalnych dzieł? Czyżby w muzeum o tak uznanej międzynarodowej pozycji, jak Pańska placówka, zwiędający nie mogli zaufać podpisom widniejącym pod obrazami?

— Przede wszystkim co do obrazów Jawieńskiego, o które tu chodzi, mamy sytuację dość wyjątkową, ponieważ poza naszym muzeum nie ma innych dzieł tego autora w Polsce, trudno byłoby więc ustalić ich autentyczność przez porównanie z innymi jego pracami gdyby przedtem jakimkolwiek wątpliwość wystąpiła. Niezależnie od tego, że były one sygnowane przez autora, nikt nigdy w ich autentyczność nie wątpił od czasu, kiedy znalazły się w naszych zbiorach, co nastąpiło zresztą nie za mojej dyktacji. Zaskakujące, że zakwestionowano podobno autentyczność dwóch spośród czterech obrazów Jawieńskiego, choć wszystkie one trafiły do nas z tej samej prywatnej kolekcji. Nie chciałbym jednak podważać żadnych oficjalnych ustaleń odnoszących się do kradzieży, która dotknęła nasze muzeum. Mieliśmy jednak rozmawiać o sprawach ogólniejszych.

— Zapytam więc, czy dzieła sztuki, tak często kradzione z najsłynniejszych i najlepiej strzeżonych muzeów, wracają na ogół do swoich właścicieli?

— Jeśli zostaną gdziekolwiek odnalezione, to oczywiście wracają na mocy międzynarodowych porozumień, nie zawsze jednak się odnajdują, co zależy w niemałym stopniu od tego czy ukradł fachowiec czy dyktant.

— Ma Pan na myśli fachowość w złodziejskim procederze, czyli sprawność w przeprowadzeniu „operacji” i umiejętność zatarcia śladów?

— Fachowość rozumiem tu jako zjawisko w sprawach sztuki, jak właśnie w naszym przypadku, bo u nas nie skradziono tego, co akurat znalazło się w najbliższym zasięgu miejsca włamania, lecz z góry upatrzone dzieła, wiszące w różnych miejscach, ale mające z sobą artystyczny związek.

— Zdawałoby się, że tacy koneserzy wiedzą co potem z tym fantem począć, żeby nie wpaść, nawet jeśli podają się za... laików i samych samochodowych?

— Nie chodzi zresztą o tego, kto wynosił, ale kto przeprowadzał merytoryczne rozpoznanie, a ten musiał być znawcą.

— Ale jeśli się kradnie, to przecież dla zysku i ostatecznie cała afera finalizuje się lokatą kapitału przez prywatnego kolekcjonera.

— Z wyjątkiem rzadkich sytuacji, kiedy ktoś potajemnie wynosi dzieło sztuki, żeby potem zyskać rozgłos albo skierować uwagę opinii publicznej na niedostateczną ochronę dzieł sztuki wtedy sprawca albo sam się ujawnia, albo anonimowo odsyła to co zabrał.

— A gdy się kradnie naprawdę?

— Ma się oczywiście na celu zysk. Z tego co się niekiedy o tych wydarzeniach publikuje wynika, że obowiązują tu inne „reguły gry” niż w przypadku przedmiotów, które są trudne do zidentyfikowania i zachowują wartość materialną nawet w zmienionej postaci, np. pokawałkowane czy przetopione na kruszec. Obrazy znane, będące w posiadaniu publicznych placówek są przecież rejestrowane w katalogach, ów więc ostatni nabywca, który chciałby w ten sposób ulokować swój kapitał nie może dzieła oficjalnie ujawnić czy spieniężyć.

— Byłaby to więc lokata całkowicie iluzoryczna, a nabywca musiałby być osobnikiem maniackim, o skrajnie wysublimowanych potrzebach duchowych, gdyby zadowalało go kontemplowanie nabytego dzieła w tajemnicy przed światem.

— Otóż nie zawsze musi zachować rzecz w tajemnicy i nawet może zarobić niekiedy na skradzionym dziele, jeżeli uda mu się odpowiednio wysoko je ubezpieczyć, co się podobno zdarza, ponieważ agenci towarzystw ubezpieczeniowych, pobierający prowizję od transakcji, nie są przesadnie zainteresowani w dociekanie źródeł, skąd pochodzi ubezpieczany przedmiot.

— A jeśli sprawa się wyda?

- Dwugłos o narkomanii
- W obiektywie – wojna!
- Szkoła dyrektorów
- Stała kolumna fantastyki



Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 12 (1265) ROK XXV

25 CZERWCA 1982 ROKU

CENA 20 ZŁ

Andrzej Makowiecki pisze z Hiszpanii

Ile waży Diego Maradona?



Na Okeciu wszystko było tak jak być powinno: celniczeki bili brawo, żołnierze bili brawo, zgromadzona na balkonie publiczność biła brawo, a polem wzbili się nad ziemię i gdyby ktoś nie znalazł Zbigniewa Bonka, mógłby pomyśleć, że to właśnie on prowadzi samolot, nie lotnicy. Wchodził spokojnie, z papierosem w zębach do kabiny pilotów, gawędził z kapitanem, interesowały go różne guziki i światła, a kiedy zaczęliśmy podchodzić do lądowania w Santiago de Compostela, niewiele brakowało, żeby chwycił za stery.

Swego czasu Bronisław Zieliński wspominał, że Hemingway zafundował mu lot szampański. Nam, dziennikarzom i działaczom, zafundowano lot koninkowy. Każdy dostał po kielichu, a pilarsze nie dostali nic. Jeden gość, co miał taką samą konturę jak zawodnicy, wyśliznął rękę, a stercząca noga na ty.

— Nie!

— Dlaczego nie?

— Żeby pan nie stracił formy.

Dobra. Opuściliśmy samolot. Na pasie startowym roi się od policjantów i hiszpańskich dziennikarzy. Pierwsze zdjęcia, wywiady. Kto może pcha się pod obiektyw. Boniek, jako człowiek dobrze wychowany, wymachuje ręką i wrzeszczy pod adresem polskich stewardess:

— Czołem dziewczyny!

I dodaje:

— Zaraz będą inne dziewczyny!

Ale te inne, równie piękne dziewczyny, to są już moje dziewczyny. Bo są to dziewczyny hiszpańskie. Zaczynam z nimi rozmowę, pytając o stację kolejową, z której można dostać się do La Corunii.

— A ilu was jest? — mówi ta czarna, najważniejsza.

— Cała masa. — Nie dodaje przy tym, że działacze i piłkarze pojadą wygodnymi autokarami, a dziennikarz zostanie na lotnisku z bagażem, bo jest psem.

— Pięciu możemy zabrać naszym mikrobusem. — oświadcza ta czarna.

Ktoś szybko w myśleniu sporządza od razu listę tych pięciu. Już mamy wsiadać, a reszta krzyczy:

— Dlaczego akurat wy?

— Kochana — mówię do czarnej — spróbujmy wpełznąć jeszcze kilku. Wpełznął się wszyscy. Z tym, że musieliśmy jechać boczną drogą, bo na autostradzie zgarnęłaby nas policja.

Hiszpanki zostaną obdarowane, kierowca też. Korespondent PAP proponuje: — Panowie teraz zrobimy zrzutkę na Makowieckiego.

— Zart oczywiście. Ale kiedy unieważnimy bilety kolejowe, wystawione nam na tę trasę przez Zarząd Główny RSW, okaże się, że zaoszczędziliśmy oczywiście plik dolarów.

Wysiadamy w centrum La Corunii. W pomieszczeniach komitetu organizacyjnego mistrzostw rozpoczyna się wściekła walka o potwierdzenie akredytacji. Sam nie mam, póki co, akredytacji, ale pomagam innym, bo ludzie którym się zdawało, że są biegli w hiszpańskim i angielskim, ulegają akurat chwilowemu zanikowi pamięci. Wolają mnie to tu to tam, zarówno Polacy jak i Hiszpanie. Po dwóch godzinach całkiem opadam z sił, a tu już słyszę:

— Niech Makowiecki załatwia hotel! Niech poszuka jakiegos hotelu!

No i Makowiecki, ciężki frajer, idzie szukać hotelu, aczkolwiek miesiąc temu, ktoś, tu niby służbowo był na zwiadach

i wszystko w 10 dni załatwił, tyle że znowu miał pewnie chwilową amnezję językową i wyszło nie tak jak trzeba...

Tak czy owak, to co on załatwił 10 dni, ja załatwiam w godzinę, z krótką przerwą w dodatku na kawę i transmisję z walki byków. Zaczynają ścigać za mną dziennikarze, nawet ci którzy zainstalowali się już w innych miejscach. Najpierw jest nas pięciu, później dziewięciu, teraz już pewnie czterdziestu. Sam próbuję poszukać sobie innego lokum, ale zmuszają mnie, że bym został. Boże, jak drogo. W Zarządzie Głównym RSW wiedzą, na jakich tu jestem zasadach. Nie mam akredytacji, sławę się o tę ostatnią pukając do wszelkich możliwych drzwi, podobnie jak Janek Lis, Tadek Olśzajski i Jurek Wykrota. Telefonujemy, napraszamy się, wyklócamy, piszemy petycje, które przekładam na język hiszpański, wrzeszczę jedziemy do Vico, żeby zaatakować tamtejszą filię komitetu organizacyjnego. Jej szef, senior Manuel Tuche Santome, rozkłada bezradnie ręce. Termin akredytacji minął już wiele miesięcy temu. Poza tym, aby ją uzyskać, trzeba było wpłacić 200 dolarów. A tu co? Jak byśmy spadli z księżycą.

Dzwoni jednak do Madrytu, przesyła telexem naszą prośbę. Mówi, żeby przyjechać w poniedziałek, przed meczem Polska — Włochy.

W międzyczasie, jak reszta akredytowanych kolegów, zbieramy materiał. Jadę do Porto Covo, gdzie mieszka polska ekipa. Hotel położony jest pięknie, nad zatoką, ale treningowe boisko przypomina klepisko. Pada deszcz, a oni ćwiczą stale fragmenty gry. Lato podrzuca oboma nogami piłkę, natomiast Szarmach, Iwan i Boniek walą z woleja ponad murem wyimaginowanych przeciwników. Najlepiej robi to Szarmach. Strzela w okienko. Młynarczyk wyciąga piłkę z siatki i mówi: brawo Andrzej! to było nie do obrony! — a Boniek: — może po prostu nie umiesz bronić?

Nie wiem jak oni się tu dowiedzieli, że znam castellano. W każdym razie podchodzi do mnie dziennikarz peruwiański. Chce rozmawiać z Piechniczkiem. Wolam Piechniczka.

Peruwiańczyk: — Co pan sądzi o naszym zespole?

Piechniczek: — Bardzo dobry zespół. Widziałem go w meczu z Węgrami i z Francją.

Peruwiańczyk: — Sądzi pan, że mamy szansę wyjść z grupy?

Piechniczek: — Oczywiście. Wszystkie zespoły mają taką szansę.

Peruwiańczyk: — Nawet Kamerun?

Piechniczek: — Nawet.

Wracam pieszko do hotelu w Porto Covo. Ktoś biegnie za mną w piłkarskim rynszunku. Jest to Piechniczek, więc myślę: — teraz minie mnie bez słowa. — Tymczasem trener zrównuje ze mną krok. Obok żywej duszy, a deszcz pada, więc pytam:

— Nie przeziębili się pan?

— Nie — mówi zdziwiony — Dlaczego miałbym się przeziębować?

— Bo ja się zawsze przeziębiam.

— To trzeba się hartować. Co pisze hiszpańska prasa?

— Ano — mówię — jeden tytuł jest znamienity.

— Ci, którzy przybyli ostatni, mogą być pierwsi. Chodzi, rzecz jasna, o Polaków.

Mieć ten nawis!

Z artykułu Jacques'a Espe-
randieu we francuskim tygod-
niku „L'EXPRESS” przyłącza-
my ten oto smakowity frag-
ment:

„Jesteśmy w Valladolid.

Opowiadają że emir Kuwejt

osobiście dzwonił do burmi-
stra:

— Ile miejsc ma wasz sta-
dion?

— Trzydzieści trzy tysiące.

— Okey kupuje je.

— To niemożliwe. Kuwejt

ma prawo tylko do pięciu ty-
sięcy.

Rozczarowany, ale nie cho-
wający w sercu urazy emir

kazał sobie zbudować niewiel-
ki hotel na czas Mundialu i

przynajmniej podarować go mie-
stu”.



O Dniach Morza piszemy na stronie 5

Foto: M. Zajdler

Tygodnik społeczno-kultury „Odgłosy” al. A. Mickiewicza 11 kod 90-438 Łódź telefon sekretariat i redaktor naczelny 652 44 sekretarz redakcji 680 99 publicysta 677 72 Sekcja nie zamówionych reklamek pisów nie wzwraza zastrębia sobie również prawo dokształt informacji
działają oddziały RSW „Prasa Książka-Ruch” i urzędy pocztowe Cenzura pismniestwa tutejsze 104-25 Prenumerata ze złoceniem wysyłki za granicę przyjmują RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportaż Wydawnictw 90-95 Warszawa ul Towarowa 38 Konto NBP XV oddział w Warszawie nr 90-103 Łódź numeratorka tekstualna i korektorka prasowej cenzury dla dzieniadawców 90-103 Łódź druk Prasowskie Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul Armii Czerwonej 35 Nr indeksu 3572 Zam. 1138

Robocznia Sądowa
Plintakowice 56 kod
Nr indeksu 3572

Autor jest znanym operatorem i dokumentalistą, który z kamerą towarzyszył Armii Radzieckiej w jej trudnych chwilach i w dniach zwycięskich bitew. Poniżej publikujemy

fragment jego książki o napaści Niemiec na Związek Radziecki w dniu 22 czerwca 1941 roku. (Cztery zdjęcia w prawej szpalcie autorstwa S. S. Szkolnikowa).

„W obiektywie – wojna!”

S. S. SZKOLNIKOW

W sobotę wieczorem, 21 czerwca, na letnim poligonie, odbył się koncert zespołów artystycznych, na który zostali zaproszeni mieszkańcy pobliskiej wsi. Ja, wspólnie z lejtendantem Kiryłowem, wykonaliśmy w duecie „Katusze” oraz „Niebieską chusteczkę”. Piękne, ciemnoniebieskie, głośno biły nam brawa.

O świcie 22 czerwca podeszła nas alarm, ale nikt nie przypuszczał, że ten alarm jest prawdziwy, bojowy. Jednakże, kiedy tylko zdążyliśmy się uformować na leśnej polanie, przemknął nad nami, wyjąc przeraźliwie, obcy samolot: dwumotorowy bombowiec z czarnymi krzyżami na skrzydłach. Lecił nisko i ja poprzez plexiglas kabiny dostrzegłem profil pilota w hełmie.

Niemiec albo nas dojrzał zbyt późno, albo miał inne zadanie, nie wiem, lecz samolot przemknął nie otwierając ognia i dopiero po minucie lub dwóch usłyszeliśmy wybuch bomb i terkot karabinu maszynowego.

Nasz pułk zostawił swój obóz. Gdzieś, z prawej strony, już grzmiała artyleria. Czyja? Nie wiedzieliśmy. Wszystko w tym czasie było przemieszane, poplątane, należało się dopiero we wszystkim połączyć.

Pułk rozciągnął się w marszu wzdłuż zapyłonej, besarabskiej drogi. Z tyłu rozlegały się wybuchy Zwiad pułkowy donosił, że faszystowskie lotnictwo zbombardowało opuszczony dopiero co przez nas obóz.

Wkrótce, w drodze na pozycje ogniowe, zobaczyłem jedną z pierwszych ofiar wojny: zabita kobietę z małym dzieckiem. Nie znałem tej kobiety, a mimo to jej twarz wydała mi się znajoma. Oczywiście, to ona, młoda piękna, czarna, siedziała wczoraj na koncercie w pierwszym rzędzie i była brawo śpiewakom. Zagryziłem wargi, by nie krzyknąć. Nikt z nas nie mógł się zatrzymać, wyjść z szeregu. Zabita kobieta pozostała na drodze. W przodzie kłębił się jedynie kurz, przecinany promieniami słońca. Ale bardzo długo przed oczami, jak na zatrzymanym kadrcie, trwał tamten obraz...

Od tego czasu, w mojej świadomości, obraz wojny utrwalił się na zawsze w ten sposób: pilot-faszysta w kabine wyjącego samolotu i zabita kobieta na zapyłonej drodze.

Obsługa dział zajęła pozycje ogniowe, a my, topografowie-obliczeniowcy sztabowej baterii pułku, wyjeżdżaliśmy mapnikami i zaczęliśmy ustawać na je na trójnogach.

Wkrótce pułk wziął udział w bitwie. Waliliśmy do niewidzialnego przeciwnika, który zaatakował pododdziały radzieckich pograniczników. Pociski przelatywały nad lasem ku brzegowi Prutu. Stamtąd, jak echo, dolatywał huk wybuchu.

Pogranicznicy trwali na śmierć i życie, mimo to faszystom udało się przełamać ich obronę. My także musieliśmy się cofnąć...

Po kilku dniach wzebrał mnie dowódca baterii sztabowej, lejtendant Kiryłow, i przekazał rozkaz naczelnikowi sztabu pułku, kapitanowi Eugeniuszowi Grigoriewiczowi Razogriewowi, by odnalazł pozostawioną obsługę dział.

Na poszukiwania udałem się wraz z dwoma młodymi czerwonoarmistami. Cofnęliśmy się szerokim traktem z piętnaście kilometrów, ale nie spotkaliśmy nikogo. Skreśliśmy w przebiegu, mając nadzieję odnaleźć tam marudzącą obsługę dział.

Ze zmęczenia bolały nogi i głód dawał znać o sobie więc postanowiliśmy odpocząć w niewielkiej wiosce. Wprowadziła nas spokojnie: w słońcu biegały się chaty ze słomianymi strzechami, na zakurzonej uliczce bawiły się dzieci, gdakały kury, obok wielkiej kałuży przycupnęła gromadka gęsi...

Starucha-Moldawianka, w białej chusteczce, zaprosiła nas do izby, pachnącej świeżym siemem i piórnem postawiła przed nami garnek z chłodnym mlekiem. Rozkoszowaliśmy się odpoczynkiem i ciszą, gdy nagle rozległ się ryk motorów rozpaczliwe geganie gęsi. Z okrzykiem: Niemcy!, do chaty wpadł jasnowłosy chłopczyk.

Starucha w przerażeniu zakręciła się po izbie, rzuciła do sieni gdzie stała oparta o ścianę drabina i wskazała nam otwór prowadzący na strych.

Przylepił się do zakurzonego okienka

I tu, po raz pierwszy, ujrzałem hitlerowców: stali obok swoich motocykli. Widzieliśmy wyraźnie ich twarze, błyski słońca na kaskach i lufach automatów, słyszeliśmy ich głośny śmiech, ochryple głosy...

Co to znaczy zawodowy nawyk! Przede wszystkim pożałowałem, że nie mam ze sobą kamery. W następnej sekundzie moja ręka popęzła po granaty... Ale w pobliżu Niemców stały dzieci, jeszcze nie nauczone chować się przed wrogiem.

Motocykle, wyjąc motorami, pomknęły, pozostawiając kłęby kurzu. Znowu nastała cisza...

Obsługa dział udało się nam wkrótce odnaleźć. Odłamki bomby uszkodziły jedno koło i żołnierze, schowani w przydrożnych krzakach, usiłovali je naprawić. Wszyscy wróciliśmy do swojego pułku. Nasze baterie już prowadziły ogień na pozycje nieprzyjaciela. Pociski mknęły tam, gdzie jeszcze wczoraj znajdowaliśmy się my sami, gdzieś śpiewali, żyli, przyjaźnili się i uczyli. Z tym wszystkim trudno było się pogodzić, cierpiała dusza. Ale ból hartuje duszę!

Mimo to wciąż jeszcze nie uświadamiałem sobie całego ciężaru wojny, ani czasu jej trwania. Być może dlatego, odrywając się od gorzkich myśli, tęskniłem za kamerą.

Bedąc raz na pozycjach ogniowych, raz na punkcie obserwacyjnym, często powtarzałem w duchu: Boże, co za kadr!

Skądś nadeszły słuchy, że nasi sąsiedzi z prawej czy też z lewej strony sforsowali Prut i przesuwają się ku miastu Jassy. Przypomniałem sobie, jak ktoś opowiadał, że jakoby w Jassach znajduje się studio kroniki filmowej. W marzeniach już wkraczałem z naszymi oddziałami do miasta, wynmowałem aparat, fotografowałem zwycięskie walki.

Marzenie jednak szybko się rozwiło. Nasze oddziały do Jassy nie weszły i kamery do rąk nie dostałem.

Cofaliśmy się... Cofaliśmy się wśród bitew, bez paniki i zamieszania. Nasz dowódca pułku, podpułkownik Władimir Mikołajewicz Marciniewicz, był bardzo wytrzymałym człowiekiem. Nigdy się nie denerwował, nie gorączkował. Jego spokój i pewność siebie udzielały się innym dowódcom, a poprzez nich – nam, żołnierzom.

Mimo to cofać się było bardzo gorzkie. Wydawało się, że pierwszy miesiąc wojny ciągnie się bez końca. W rzadkich chwilach ciszy, popalając, wyznaczaliśmy terminy przejścia do natarcia i rozgromienia wroga. Były to terminy bardzo krótkie...

12 lipca nasze działa okopały się w pobliżu małej wioski – nazwy już nie pamiętam – za wzgórkami porośniętymi krzakami. A w leśnych jarach grupował się przeciwnik, przygotowując się do ataku.

Cały dzień waliliśmy w te jary, dezorganizując natarcie, cały dzień prowadziliśmy ostrą, artyleryjską pojedynek z niemieckimi bateriami, zmieniając często własne pozycje. Gwizd pocisków, huk wybuchów, syk odłamków... Ranny, śmierć towarzyszy przytłaczające wszystko, otepiałające zmęczenie...

Przed nocą wszystko ucichło. Padliśmy tam, gdzie kto stał, ale zasnąć nie mogłem. Do świtu leżałem z otwartymi oczami, myśląc i wspominając. O świcie, 13 lipca, zagrzmiało ponownie, i to coraz mocniej. Widać nieprzyjaciel otrzymał uzupełnienia. Stało się jasne, że wioski długo nie utrzymamy.

Kapitan Razogriew wręczył mi przesyłkę z aktualnym meldunkiem, rozkazując dostarczyć go natychmiast na punkt obserwacyjny pułku. — Łączność zerwana, więc rozumiesz... — nie dokończył.

Pobiegnę, wsunawszy pakiet za pazuchę. Biegnę wśród wybuchów, co sekundę kryjąc się w lejach. Dotarłem cały i bez szwanku. Przed wejściem do schronu westchnąłem, wyjąłem pakiet. I w tym momencie coś mnie trzepnęło w piersi, z ust trysnęła krew. Co było dalej, nie pamiętam...

Tłumaczył:
EL.

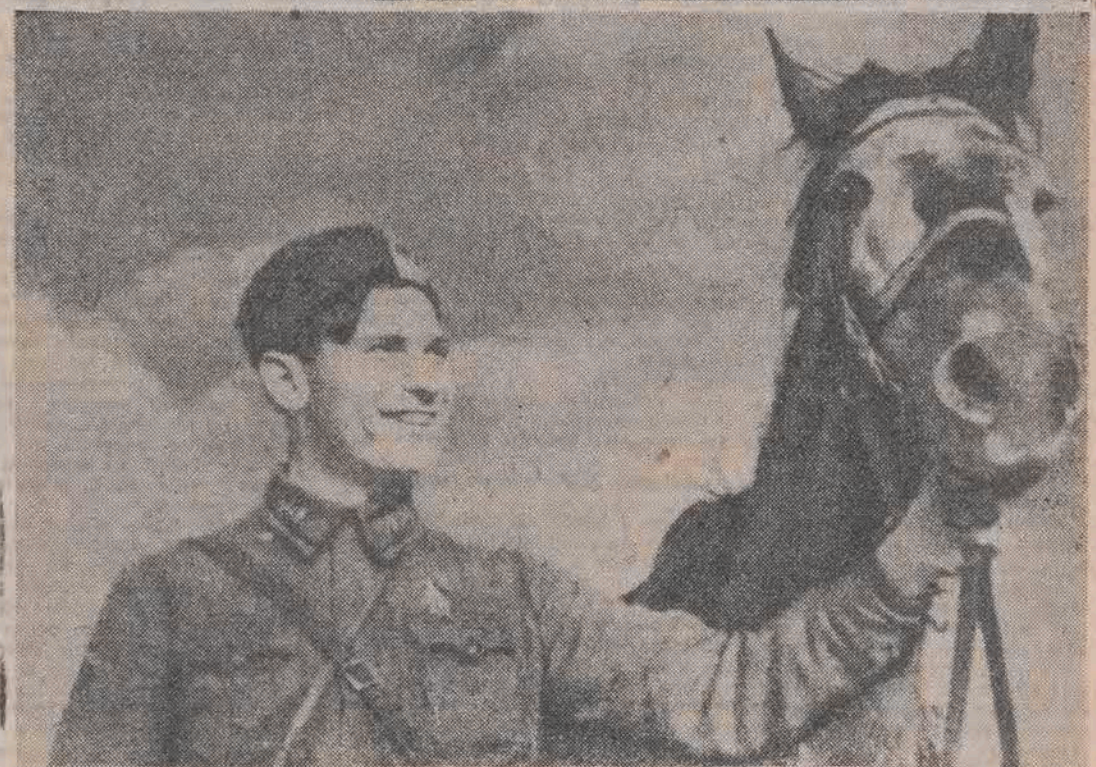


Foto: M. Zajdler



Z powodu braku surowca w dn. 1 czerwca br. Kwidzyńskie Zakłady Celulozowo-Papiernicze stają! Prasa i telewizja podnoszą alarm. Ministerstwo Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego zarządza interwencyjne dostawy „papierówki”. Ponowny rozruch zakładu — czwartego czerwca rano. Straty oblicza się na 150 tys. dolarów lub 1500 ton celulozy. Resort przemysłu drzewnego prowadzi spór

z PKP na temat, kto jest winien zaistniałemu postojowi. Wydaje się, że winni są po trosze wszyscy... Rytmiczność dostaw w produkcji celulozy ma znaczenie pierwszorzędne. Czy przestoje się nie powtórzą? Reportaż W. Opackiego przedstawia ostatnią fazę budowy kwidzyńskiego kolosa.

W 1978 roku postawiono ściany budynku papierni. Maszyn jednak nie można było montować, bo brak było dachu. Na budowie pracowało tylko 60 proc. zgromadzonego sprzętu. Reszta miała rozmaite awarie 26 lipca 1979 roku zwołano posiedzenie Sekretariatu KW PZPR, z udziałem wicepremiera Kazimierza Secomskiego. Oceniano stan budowy. Po raz kolejny. Okazało się, że na razie stare problemy wcale nie zniknęły: chociażby z dokumentacją, z nierytmicznością dostaw konstrukcji stalowych, farb, gazów technicznych, rur, kształtowników. Wykaz materiałów, maszyn i urządzeń niezbędnych do uruchomienia inwestycji zajął... 20 stron maszynopisu i 11 załączników. Niepełne są dostawy inwestorskie, a w dokumentacji wprowadzane były zmiany utrudniające ukończenie poszczególnych obiektów. Źródło zaś niewielkiego stanu zaawansowania robót tkwiło w „niedoborze potencjału wykonawczego przedsiębiorstw budowlanych działających na terenie województwa”. Przerwy w produkcji betonów były spowodowane niedostarczeniem aż 2/3 potrzebnej ilości grysw bazaltowych. W dalszym ciągu występowały trudności z dowozem konstrukcji „Fermstalu” z Mrągowa i Chemomontażu z Kłodawy — stwierdzono w sprawozdaniu ELWO z Pszczyny nie wykonano gumowania rurociągów FUD z Mińska Mazowieckiego nie dostarczył oporników elektrycznych do suwnicy uniemożliwiając w ten sposób uruchomienie rebalni. W maju uzgodniono doprowadzenie energii cieplnej do działki energetycznej. Uzgodnienie pozostało tylko na papierze. Nie można było uruchomić kotłowni parowych do urządzeń wodno-ściekowych, bo brakowało niezbędnego odcinka torów i instalacji. Nie zakończono budowy magazynów do składowania surowców i chemikaliów. Od ich uruchomienia było uzależnione przyjęcie dostaw drewna, chloranu sodowego, węgla i oleju...

Wicepremier chwycił za telefon, zgnął kogo trzeba... I załatwił „na dzisiaj”.

Nie pomagali narady. Najpierw była Rada Budowy. Zbierali się dyrektorzy przedsiębiorstw wykonawczych, rozmawiali, raczej licytowali się, ile kto wyrobił przerobu. Potem przekształcili się one w posiedzenia. Nie wątpliwe, że zapadłe decyzje z udziałem przedstawicieli ministerstw były o wiele skuteczniejsze, na pewno znacznie szybciej dochodzono do porozumienia. Ale nie na tyle, żeby radykal-

WACŁAW OPACKI

Kwidzyn: alert materiałowy

nie zmienili negatywny obraz kwidzyńskiej budowy. Dochodziło do tego, że przyjeżdżał właśnie wicepremier (jeden, drugi), chwycił za telefon, wydawał dyspozycje — dopiero skuteczne. Tylko na jak długo? Na takich naradach, nawet z udziałem wicepremierów częściej podejmowano nowe zadania, niż sprawdzano wykonanie starych. Wiedzionie łatwiej to przychodziło. Przyjechał, zobaczył, odejść i formalnie było się w porządku. Bo i nikt przecież nie zarzucał braku zainteresowania, pozostawienia budowlanców w osamotnieniu. Spotkałem się z inwestycją, na której służył się autorytet i powaga rzędu.

We wrześniu 1979 roku dla tej budowy po raz kolejny zapalono zielone światło. Sprawa budowy zajęła się Prezydium Rządu. „Zapadły decyzje idące w kierunku usprawnienia budowy — czytamy w komunikacie Polskiej Agencji Prasowej. — Określono w nich zmodyfikowane zadania dla organizacji gospodarczych dostarczających niezbędne surowce i materiały, maszyny, urządzenia oraz inny sprzęt...”

Podjęto działania przygotowujące do uruchomienia pierwszej maszyny papierniczej, bowiem dalsze przetrzymywanie jej w Kanadzie mogłoby doprowadzić do utraty gwarancji technologicznych. Pod koniec 1979 roku odesłano fachowców sprawozdanych z innych budów. Nie mogli długo czekać. 30 stycznia 1980 roku podjęto kolejną decyzję o czwartym już przesunięciu terminu oddania do użytku pierwszych obiektów kombinatu: na 31 lipca 1980 roku.

Na placu budowy poniewierali się płyty drogowe, stal zbrojeniowa, deski, fragmenty ogrodzenia, nie zabezpieczony był piec do wypalania szlamu. Z placu budowy giną silniki elektryczne i hydrauliczne, pompy, przewody układów smarowania i chłodzenia oraz poziomowskazy. Nie spełnili się plany pełnego zabezpieczenia siły roboczej.

W maju 1980 roku widać już było wyrosłe hale. Rozpoczęto montaż, roboty wykonawcze niektórych obiektów. Gotowa była stacja uzdatniania wody, urządzenia do odbioru drewna, korowalnia. Brakowało jednak nadal wielu elementów, np. urządzeń automatycznych. Od roku gotowy stał piec do wypalania szlamu, nikt go jednak nie odbierał, bo nie było właśnie sterowania automatycznego. Brak skompletowanej automatyki był najpoważniejszym w tym czasie utrudnieniem inwestora. Do obsługi automatyki potrzebnych było 137 specjalistów, oczywiście wysokiej klasy, do dyspozycji zaś tylko 50. Ktoś rzucił nawet propozycję przejścia na sterowanie ręczne.

Wszystkim zdawało się, że jest to jednak finisz. Obliczano już na przykład koszty: od czerwca 1978 r. do 1 sierpnia 1980 roku ZCP miały wyprodukować 814,5 tys. ton papieru.

W magazynach leżała cała papiera. Razem wartość urządzeń i maszyn leżących w magazynie, które dawno już powinny być zainstalowane, sięgnęła kwoty 5 mld zł.

Budowa otrzymała na rok 1980 do przerobu 1.206 mln zł. Była to suma o 600 mln zł mniejsza od tej, jaką wykonano w roku 1979. Interwencja władz wojewódzkich powiększyła tę kwotę o 250 mln zł, nie zabezpieczono zostały jednak środki na jej realizację. Pozostała więc na papierze.

Potem nadszedł sierpień 1980 roku. Dotychczas dla tej budowy zgubią balagan i improvisacja inwestorska, szczypty potencjału wykonawczego, brak dokumentacji technicznej oraz wielu materiałów i urządzeń. Zauważa było wykonawcze niechlujstwo, marnotrawstwo, zła organizacja pracy. Wkrótce doszły także strajki...

Czas Kwidzyna był już wtedy wstydliwy. W listopadzie 1980 roku na placu drzewnym znajdował się już wielki stos drewna porośniętego na drobniutkie zrebki, z których dawno już powinna być celuloza. Ale ten materiał zaczęto ładować do Świecia.

Bronisław Woźniczko, dyrektor techniczny ZCP, w listopadzie 1980 roku:

— Istnieje logika procesu technologicznego i logika rozruchu. Zgodnie z programem plac drzewny miał ruszyć na dwa miesiące przed uruchomieniem warzelni. W tym czasie ruszył. Kiedy bowiem przystępowaliśmy do ciecienia drewna na zrebki, termin ukończenia robót na warzelni współzłaził z naszymi poczynaniami. Później przyszły strajki i nie było robót. Przed strajkami załogi pracowały na wydłużonym dniu, a także w wolne soboty i niedziele. Obecnie to się skończyło. A przed wolnymi sobotami niektórzy już w piątek w południe schodzą z budowy. Ze względu na to, że dociecie drewno ulega po jakimś czasie gniciu, przekazywamy je do produkcji celulozowni w Świeciu, ponieważ nasza warzelnia w dalszym ciągu nie jest przygotowana do rozruchu...

O dyscyplinie: — W okresie rozruchu maszyn i urządzeń nie ma ciągłej pracy. Ale w wolnych chwilach robotnicy powinni czyścić, szorować, malować hale. A tymczasem wchodzi kiedys na wydzielone demineralizacji i widzę grupę młodych ludzi beczynnie siedzących. Nawet się nie pod-

nieśli na mój widok. — Co robicie — pytam. — Siedzimy — odpowiadają leniwie i bez żadnego zażenowania. Poniost mnie gniew. — Synu — mówię do najbliższego — jak tak dalej pójdzie, to cię wyrzucę. I nawet „Solidarność” ci nie pomoże.

— Tak, strajki zaczęły się u nas, u inwestora — opowiada mi teraz, w końcu kwietnia 1982 roku dyr. Woźniczko. — Padły wtedy różne głosy, nawet propozycje dewastacji, zniszczenia. Bo po co krajowi taki kolos, jak są potrzebne złośliki, przedszkola, szkoły, wreszcie mieszkania. Porównywano nas do Huty „Katowice”.

Jednak w ostatnich dniach grudnia 1980 roku pozwolono sobie na wkopanie przy drodze na budowę tablicy z takim oto napisem: „Produkcja celulozy w roku 1981 — 170 tys. ton”.

W styczniu 1981 roku wydano decyzję o uruchomieniu produkcji w lipcu. Jednak jeszcze pod koniec lipca z 46 obiektów objętych harmonogramem I etapu budowy, do rozruchu technologicznego przekazano tylko 25...

Premier powołał zespół kontrolny do zbadania sytuacji na miejscu budowy ZCP i wyciągnięcia wniosków. Składał się on z przedstawicieli Biura Kontroli URM oraz resortów: budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych, leśnictwa i przemysłu drzewnego, jak też i ówczesnie istniejącego resortu energetyki i energii atomowej. Do głównych przyczyn ostatnio hamujących realizację inwestycji zespół kontrolny zaliczył obniżenie wydajności i dyscypliny pracy. Oceniał, że spadek wydajności pracy w I półroczu 1981 roku wyniósł 30—50 proc. w stosunku do analogicznego okresu 1980 roku. Do zasadniczych przyczyn zaliczył także złą organizację budowy oraz niedostateczny nadzór.

„Zespół stwierdził — napisano w komunikacie — wzrost nieusprawiedliwionej absencji, nagminne niepunktualne rozpoczynanie pracy, złe wykorzystanie czasu roboczego. Natomiast załoga już w większości skompletowana do prowadzenia eksploatacji jest prawie beczynna, gdyż produkcji nie uruchomiono”.

Zespół znalazł także przyczyny obiektywne, a wśród nich m. in. niewystarczający potencjał wykonawczy, brak wielu materiałów, części zamiennych do sprzętu budowlanego, paliw, uzupełniającej aparatury z importu, a także napięcia społeczno-gospodarcze.

Następstwem pobytu zespołu była decyzja premiera o odwołaniu

— Celulozownia oczekuje na pełny rozruch eksploatacyjny. Trochę już, na razie produkujemy: w styczniu około 2100 ton, w marcu ponad 4 tys. ton, w kwietniu 7 tys. ton. Nasza zdolność docelowa — 140 tys. ton rocznie. Rozruch wszystkich rejonów nie jest jeszcze możliwy, pewne rejonów nie zostały bowiem od wykonawcy przejęte. Ale „na siłę” produkujemy. Jednak termin pełnej eksploatacji określony uchwałą Rady Ministrów jest zagrożony.

Bydgoskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego przejmujące od gdańskiej „Przemysłówki” rolę generalnego wykonawcy.

Dyrektor mówi o systemie płac, który określa jako anachroniczny. Człowiek pracujący jako stróż zarabia 9—12 tys. złotych. Za co? Za to, że spi przy tym? Natomiast on przyjmuje inżyniera i może mu dać 4,5 tys. zł i nie może przyznać dodatku za noc. Znowu inny, z wykształceniem zasadniczym zawodowym przychodzi na pomocnika operatora sprzętu i otrzymuje od ręki 9—12 tys. zł. Operator zaś zarabia więcej, niż specjalista z wyższym wykształceniem po 20 latach pracy.

Po 13 grudnia 1981 r. zostali internowani z zakładu trzy osoby.

Po 13 grudnia w zakładzie i na budowie był całkowity spokój.

— Niech pan popatrzy — mówi dyr. Woźniczko. — Co robią? Większość siedzi beczynnie.

— W Uchwale nr 5 Rady Ministrów — kontynuuje mgr inż. Sławomir Pigłowski, zastępca dyrektora do spraw inwestycyjnych ZCP — jest powiedziane, że przekazanie do eksploatacji celulozowni nastąpi w końcu II kwartału. Jest to termin zagrożony. Po pierwsze

— kilka obiektów związanych z ochroną środowiska nie jest gotowych i nie ma szans na ich szybkie ukończenie, co wiąże się także z trudnościami w uzyskaniu tzw. zezwolenia na eksploatację zakładów od wojewódzkich władz ochrony środowiska.

Po drugie: istnieje inna grupa spraw, które z poprzednimi nie mają wiele wspólnego, ale są tak samo ważne.

Chodzi o obiekty, które nie zostały przez generalnego wykonawcę zaakceptowane i przekazane inwestorowi. Jednak w tych obiektach jest prowadzona działalność produkcyjna. A trzeba przecież tu rozróżnić działalność produkcyjną od zakończenia obiektu. Naciskam zawsze na to, żeby eksploatacji nie mylić z produkcją rozruchową. Tu wszystkie koszty obciążają działalność inwestycyjną. Żadna komisja tych obiektów nie odbierze, co jest wewnętrzną sprawą zakładów.

Zgadza się, w ostatnim roku na budowie mało się dzieje.

Faktem jest, że potencjał generalnego wykonawcy został zmniejszony i są notowane opóźnienia.

— Powiem panu — mówi inż. Pigłowski — że Uchwała nr 5 RM miała wpływ tylko na złagodzenie kar, które płaćli wykonawcy za niedotrzymanie terminu. Z chwilą formalnego przesunięcia terminu przez Radę Ministrów, która opóźnienia usankcjonowała — takich kar nie płać. Wiadomo — mówi dalej inż. Pigłowski — że nie o to nam chodzi. Chodzi zaś o to, żeby prowadzić normalną działalność eksploatacyjną. Generalny wykonawca ma kłopoty ze stałą zbrojeniową i całym szeregiem materiałów budowlanych. Kłopoty z koordynacją podwykonawców generalny wykonawca ma obecnie znaczne. Podwykonawcy są samodzielni. Nikogo do niczego nie można zmusić, a inne środki i działania nie zawsze są skuteczne. Znowu stosowany przez generalnego wykonawcę system bodźców materialnych spotyka się z naszym protestem. Rzecz zrozumiała — nie jesteśmy zainteresowani jako inwestor w wyższe koszty.

Na budowie, w mieście Kwidzynie — ludzie są sceptyczni co do przyszłości „Celulozy”. Już po uruchomieniu, mówią, problemem będzie zaopatrzenie zakładów w surowce: drewno, węgiel, olej opałowy, kamień wapienny, wodorotlenek sodowy, a także w części zamienne, które niewątpliwie będą szczególnie potrzebne do maszyn, które po przedłużonym okresie oczekiwania niedługo pochodzą.

Czy trzeba po raz kolejny ogłaszać alert materiałowy dla tak ważnej dla kraju budowy?

— Mam do pana prośbę — mówi sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR, Waldemar Narowski. — Niech pan naprawdę tak najdelikatniej to ujmie. Nie chcemy roznosić na nowo sporów między „Cielulozami”. Chcemy po prostu zmiany tych stosunków. Najlepiej niech pan w ogóle o tym nie pisze.

— Jedną z powinności, jakie mam tutaj spełnić — mówi mi w Urzędzie Miasta naczelnik Kwidzyna od stycznia 1982 roku, mgr inż. Andrzej Sołtyśzewski — jest zażegnanie konfliktu między „Cielulozami”. Trzeba zdać sobie sprawę, że w interesie obu stron ta integracja musi nastąpić.

— Nie będzie to sprawa łatwa — mówi mi Wiesław Wosiak z Komitetu Miejskiego PZPR — od dłuższego czasu nie można było dojść do porozumienia, także nie z winy obydwu stron, które mimo wszystko wykazywały raczej zawsze dobrą wolę. Chodzi przede wszystkim o mieszkania i inne inwestycje towarzyszące.

Przypomnijmy więc założenia planu budowy ZCP. Z ogólnej sumy nakładów na budowę ZCP, ponad 0,7 mld zł przewidziane było na budownictwo mieszkaniowe i socjalno-bytowe. W ramach tej kwoty przewidywano się realizację następujących obiektów zakładowych: 1500 mieszkań budownictwa zakładowego, przedszkole, szkołę przyzakładową, żłobek, salę widowiskową z czerwińnią, ośrodek wypoczynku niedzielnego, dwa ośrodki czasowe (nad morzem i w górach), ośrodek kolonijny dla dzieci, budownictwo domków jednorodzinnych.

Obok wymienionego budownictwa socjalnego realizowanego całkowicie ze środków własnych ZCP ustalony był program inwestycji towarzyszących na kwotę prawie jednego miliarda złotych. Obiektów: 2 przedszkola, 2 szkoły podstawowe, przychodnię rejonową, budowę i modernizację dróg i ulic z wiaduktem, kolektor ciepłowniczy ZCP — miasto, kolektor kanalizacyjny, rozbudowę ujęcia wody dla miasta, bazy komunikacji miejskiej, niekarcznie, bar szybkiej obsługi, restaurację, spółdzielczy dom handlowy, bazę i dworzec PKS, rozbudowę węzła PKP, hale gimnastyczne.

W 1980 roku Wydział Ekonomiczny KW PZPR w Elblągu w przygotowanym przez siebie dokumencie podał, że na ogólną liczbę 29 planowanych inwestycji towarzyszących budowie w minionej pięcioletniej zakończono zaledwie cztery zadania, kontynuowanych jest 13, a 12 w ogóle nie rozpoczęto.

Rok po roku, z zadziwiającą regularnością plany inwestycji towarzyszących spadały, wykonanie zatwierdzonych w jeszcze większym stopniu. Budowa kombinatu miała być szansą dla Kwidzyna i regionu. Co z tej szansy pozostało?

„Dotychczas zakończono 11 tytułów inwestycyjnych, w trakcie realizacji znajduje się 9, natomiast 9 zadań nie rozpoczęto” — przeczytałem w sprawozdaniu z wykonania planu społeczno-gospodarczego za rok 1981, sporządzonego przez naczelnika miasta.

W 1980 roku Komitet Miejski PZPR w specjalnej uchwale wezwał władze administracyjne województwa do przyznania Kwidzynowi priorytetu w budownictwie mieszkaniowym.

— W ubiegłych latach prawie wszystkie mieszkania ze spółdzielni szły do dyspozycji „Celulozy” — mówi naczelnik. — Dlatego między innymi twierdzi, że rany tak szybko się nie zabliznia. Mieszkania bowiem są najbardziej drażliwym problemem. Twierdzi jednak znowu, że ta kość niezgody umrze śmiercią naturalną.

Na początku — wspomina naczelnik — mówię się tak: pierwsza fala oddawanych mieszkań obejmie budowlanych, a potem po prostu z marszu obejmie starych mieszkańców Kwidzyna, członków spółdzielni mieszkaniowej. Potem los, fatum — mówi — sprawi, że kiedy „Celuloza” zaczęła tych mieszkań już mniej potrzebować, zalała się gospodarka polska. I stał w Kwidzynie to całe zgorzknienie.

Część starych budynków w mieście nadeje się do kapitalnych remontów, groźną nawet zawaleniem, co pogarsza sytuację. Ich mieszkańców nie można jednak rozprawać, bo brak jest ich zastępczych dla tych rodzin. Z jednej strony okrutnik, z drugiej niemoc.

Kiedy skończy się budowa Zakładów Celulozowo-Papierniczych w Kwidzynie? Terminy są ściśle zaplanowane decyzjami samej Rady Ministrów. Ale tak naprawdę jeśli jedna z dotychczasowych nie została dotrzymana — czy jednak teraz? Mamy rok 1982, a dalsza budowa i rozbudowa obiektów trwa.

16 maja 1982.

Rybaczenie w mętnej wodzie...

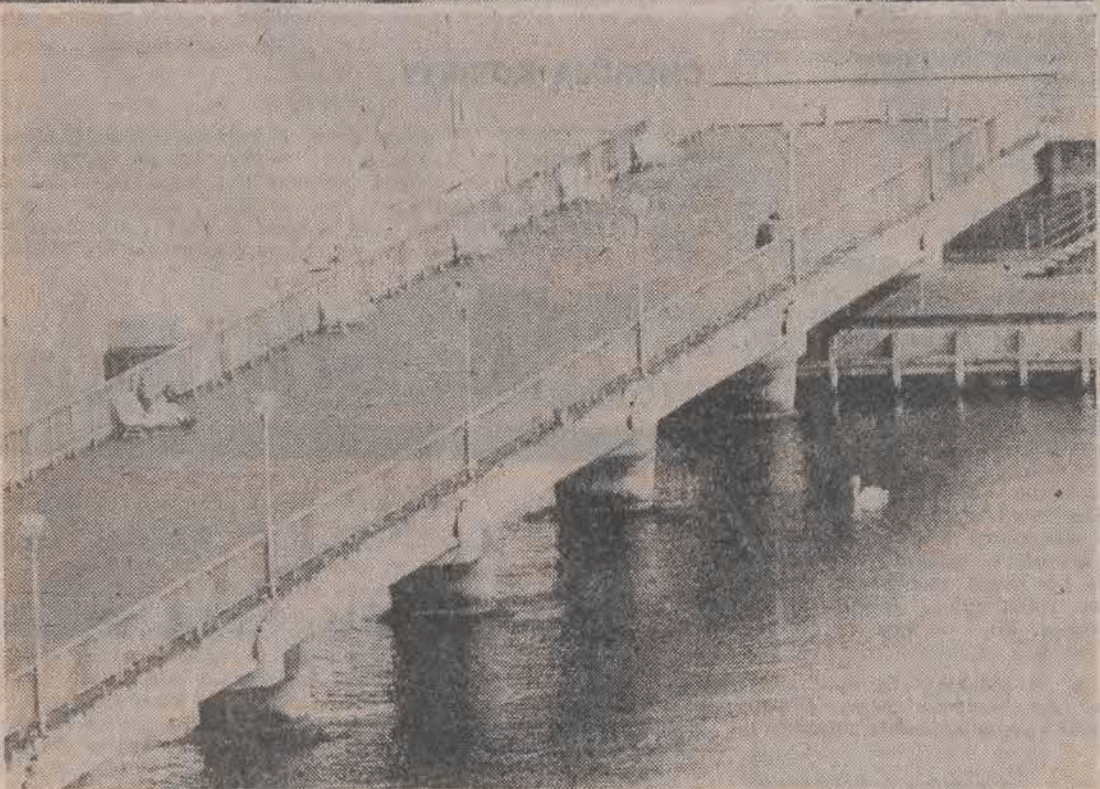
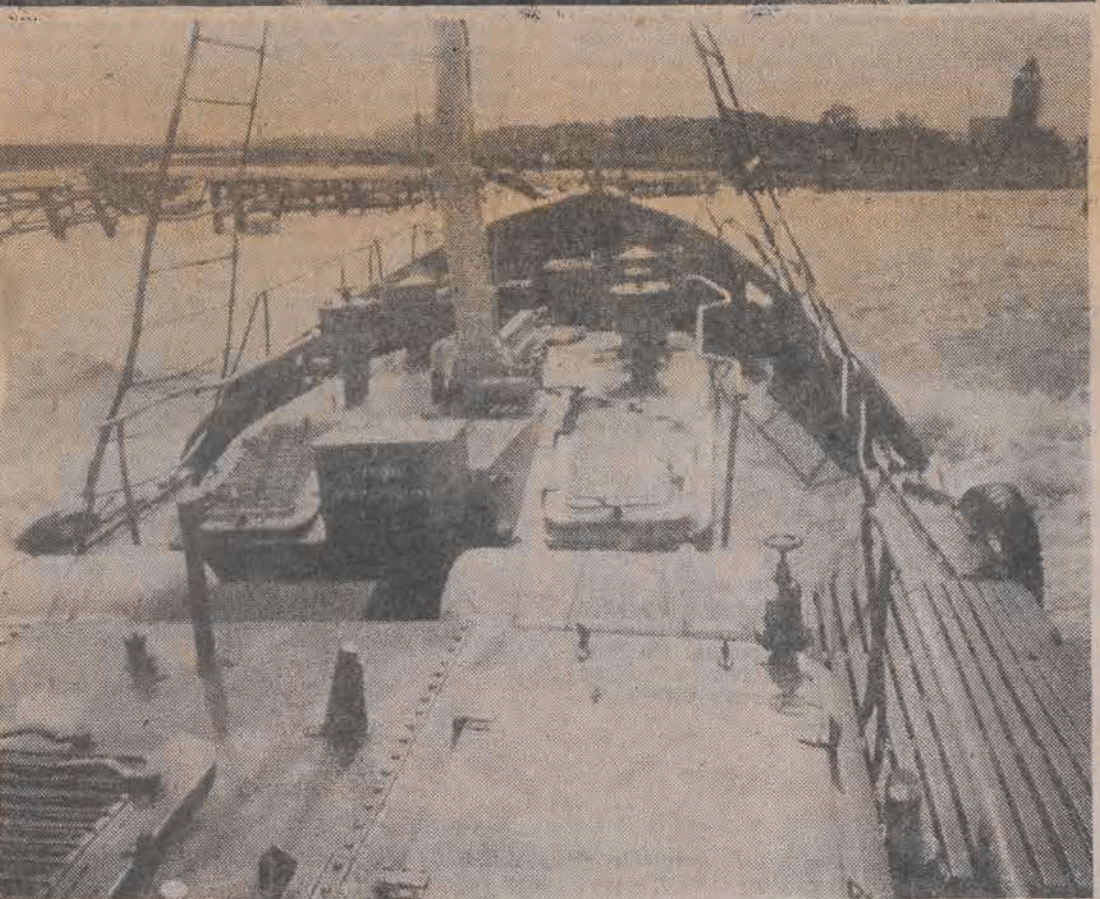


Foto: M. Zajdl

Wieloletnią tradycję mają w kraju obchody czwarcych Dni Morza. Z tej okazji częściej niż zwykle pisze się na ten temat, dobitniej wskazuje związek całej gospodarki — i to w wielu aspektach — z szeroko rozumianą gospodarką morską. Mielimy przecież wyścigając się do czasu, by przekonać się iż całkiem dobrze można na tym zarobić, że korzyści jakie daje się osiągnąć są tak olbrzymie, iż nie wypada po prostu z takiej okazji nie skorzystać.

Nie brakło przy tym głosów mówiących o licznych jeszcze brakach, o niepełnym wykorzystaniu wszystkich możliwości, czy wręcz lekceważeniu sygnałów świadczących o dokonujących się zmianach w tej branży. W niektórych przypadkach kłopotów nie udało się uniknąć, w innych potrafilimy w porę uciec przed najgorszym. Najbardziej martwa jednak sytuacja, na rozwój której albo nie mieliśmy większego wpływu, albo nikt nas nie pytał o zdanie. Dotyczy to głównie rybołówstwa. Suma efektów? Nie trzeba daleko szukać — wystarczy zajrzeć do specjalistycznych sklepów albo na nasze stoły...

Zaczynaliśmy — i to wcale nie tak znów dawno — od wielkich sukcesów. Podziwiali nas wszyscy, nawet ci najbardziej doświadczeni. Nasze jednostki były praktycznie wszędzie tam gdzie była tzw. wielka ryba. Odczuwaliśmy to natychmiast u nas w kraju. Pełno było wtedy okazjonalnych kiermaszy, sporo reklamy zachęcającej do konsumpcji darów morza. Do tego dochodziły coraz to większe połowy i — to chyba każdy przyzna — śmiesznie niskie ceny na ryby, które często były wzięzione do nas bodaj przez połowę świata. Nietrudno przewidzieć, że w konsekwencji nasze apetyty jakoś się nam wybitnie skryształują i ograniczają praktycznie do popularnego śledzika (pamiętacie rybę o szokującej nazwie szczekacz?). Tymczasem tych najbardziej poszukiwanych gatunków zaczynało niepostrzeżenie brakować — szukaliśmy więc dalej, ciągle dalej. Specjalizowaliśmy się na obcych łowiskach ze statkami wielu innych bander — dla fachowców był to sygnał, że niebawem dokonany zostanie rozbiór oceanów i mórz.

W roku 1978 przypuszczenia zamieniono w rzeczywistość: szereg państw wprowadziło swoje strefy przybrzeżne, w których bez żadnych sentymentów wypraszano obcych. Własną strefę rybołówstwa zyskałimy oczywiście na Bałtyku — co naszej sytuacji połowowej na dobrą sprawę w niczym nie pomogło. Z konieczności musieliśmy więc próbować szczęścia w nowych, zupełnie obcych rejonach, odławiając nowe gatunki, nie zawsze przyjmujące się na rynku.

Nie było żadnych szans na wejście w zastrzeżone strefy? Oczywiście były, tylko trzeba było przyjąć zaproponowane warunki, które nie zawsze były aż tak korzystne jak powszechnie sądzono. Po przeliczeniu wszystkich „za” i „przeciw” zdecydowaliśmy się jednak na takie spółki, bo pamiętać należy iż połowy dalekomorskie stanowią część naszych połowów globalnych, z której po prostu nie wolno nam było rezygnować.

I kiedy już jakoś tam w końcu się dogadaliśmy, kiedy przeboleliśmy drastyczne podwyżki kosztów eksploatacji naszej floty (cena tony paliwa wzrosła w stosunkowo krótkim czasie z 11 na 400 dolarów!!!), kiedy ryby w sklepach znajdowały nabywców po nowych, stosunkowo wysokich cenach — znowu dotknęły nas niespodziewane kłopoty. Wprowadzony w grudniu ubiegłego roku stan wojenny był dla administracji amerykańskiej sygnałem do wypowiedzenia zawar-

tych umów — kilkadziesiąt dalekomorskich trawlerów musiało przenieść się z wydajnych i sprawdzonych łowisk na Północnym Pacyfiku aż pod Falklandy na Południowym Atlantyku. Straty? Mówiąc najogólniej — olbrzymie. Złożyły się nań koszty przeprowadzenia całej floty (paliwo) na taką odległość oraz kilkutygodniowa przerwa w połowach. Mówi się, że nieszczęścia chodzą parami — i proszę, w rejonie Falklandów — Malwinów trwa konflikt zbrojny. Trzeba było znów naszymi jednostkami ruszyć się z miejsca.

Skończyły się dla nas — dla wielu innych także — czasy, kiedy po rybę pływało się bez mała tuż za miecią. O ile w roku 1970 średnia odległość od łowisk wynosiła 2700 mil morskich, to w równe dziesięć lat później wzrosła do ponad 6500 mil. W parze z tym wzrosły oczywiście ceny, najpierw w rezultacie polityki społecznej państwa utrzymywano je na tym samym poziomie bez mała przez 13 lat (koszt połowu 1 kg ryby na łowiskach dalekomorskich tylko w latach siedemdziesiątych wzrósł prawie trzykrotnie) by ostatnio ułożyć nas podwyżką wyjątkowo wysoką, co zresztą — jak dowodzą specjaliści — niczego w sumie i tak nie załatwiło, bo połowy ponoć są nadal deficytowe...

O kryzysie naszego rybołówstwa mówiło się od kilku przynajmniej lat. Do głównych jego przyczyn zaliczyć należy — wspomniany wyżej podział przybrzeżnych wód morskich „przełowanie” niektórych łowisk bądź gatunków ryb, niekontrolowany wzrost cen paliwa, nastawienie rodzimego rybołówstwa dalekomorskiego wyłącznie na „energochłonne” połowy tralowe oraz koncentrowanie się głównie na połowach dalekomorskich prowadzące do zaniedbania rybołówstwa bałtyckiego i zahamowania służącego temu zaplecza lądowego.

Nie trzeba chyba przy tym wszystkim nikogo już przekonywać co do opłacalności pozyskiwania tego typu białka. W roku 1980 koszt produkcji — w przeliczeniu na jednostkę białka — wynosił w przypadku mięsa ok. 618 zł, a w przypadku ryb ok. 520 zł. Proporcja ta utrzymuje się w dalszym ciągu, co przesądza raczej rachunek ekonomiczny — rybołówstwo jest po prostu tanim sposobem pozyskiwania białka (na to szczególnie znaczenie w naszej sytuacji gospodarczej) przedstawianym oczywiście w skali makro, ogólnospołecznej polityki państwa. Nicco inaczej wygląda to w samym przedsiębiorstwie połowowym, obecnie przecież samofinansującym swoją działalność: koszty pozyskiwania ryb wzrastają właściwie stale i nie dają się w żaden sposób zrekomensować cenami detalicznymi.

Choć nasze globalne połowy właściwie maleją z roku na rok — w bieżącym roku przewiduje się złowienie ok. 550 tys. ton ryb, w tym ok. 200 tysięcy ton na Bałtyku. Oczywiście nie cała ta masa trafia bezpośrednio na nasze stoły — część trzeba będzie sprzedać za granicą. Wynika jednak z tego jasno, że nasza główna szansa staje się najbliższy i przez wiele lat niedoceniany Bałtyk. Nie można jednak oczekiwać, że w tym przypadku możemy bez opamiętania zwiększać połowy — także i tu obowiązują nas ścisłe limity połowów, których przekroczyć nie wolno.

Wypada raczej — o czym zresztą mówi się od dawna — lepiej przygotować się do połowów, przetwórstwa i przechowywania darów Bałtyku. Do tej pory mieliśmy zawsze do czynienia ze swego rodzaju kampanijnością połowów — w przeciągu 4 pierwszych miesięcy roku odławia się najczęściej około 60 procent rocznej masy dorszy i szpro-

tów oraz około 25 procent rocznej masy śledzia. Dokładając do tego odczuwalne niedoinwestowanie lądowego zaplecza rybołówstwa, zaniedbanie w modernizacji portów i przystani, oplakany stan zaplecza chłodniczego, sprzętu rybackiego, a także nie najlepszy transport lądowy — mamy właściwie główne powody tego, co przychodzi obserwować nam w głębi kraju. Zbyt często jeszcze — mimo tak odczuwalnego braku ryb w sklepach — mamy do czynienia z hamowaniem przyjmowania dostaw z Wybrzeża, zbyt często dochodzi do „zatykania” się odbiorców i zbyt długie są potem okresy, w których kupienie kilograma np. dorsza staje się sporym sukcesem.

Marzeniem wszystkich zajmujących się połowami i odpowiadającymi za zaopatrzenie kraju w ryby jest posiadanie takiego zaplecza na lądzie (fabryki lodu, magazyny niskich temperatur, nowoczesne maszyny w przetwórstwie oraz surowiec i cała gama „dodatków” w postaci przypraw, słodków, wędzów do nich, puszek, etykietek itp. itp.) by nie zamarował się ani jeden kilogram masy rybnej, co niestety zdarza się nam jeszcze od czasu do czasu i wcale nie chodzi w tych przypadkach o symboliczne kilogramy.

Nie wolno także — skoro już o Bałtyku mowa — zapominać o czystości wód. Wprawdzie w tym roku u progu sezonu turystycznego nie ma już wokół tego tematu takiej wrzawy jak np. latem roku ubiegłego — to nie znaczy, że problemu nie ma. Niepostrzeżenie nasze morze przemienia się w pokątny ściek, w którym coraz trudniej może być o połowy, który przestaje być atrakcją dla turystów. Pamiętamy zapewne wszyscy szokujące zdjęcia przedstawiające martwe węgorze walające się w ub. roku wzdłuż brzegów, szczególnie w Zatoce Gdańskiej. Ten temat wymaga także jak najszybszego rozwiązania — chodzi tu nie tylko o bieżące oczyszczanie ścieków, nie tylko o karanie krajowych trucieli wód — ale także o skuteczną ochronę otwartego morza. Jeżeli płacimy dziesiątki tysięcy dolarów za zanieczyszczenie wody w obcych portach to dla czego jesteśmy tak wspaniałomyślni i tych, którzy robią to u nas na dobrą sprawę głośniejszy jedynie po głowie? Czy setki tysięcy złotych jakie stracili już nasi przybrzeżni rybacy, odstawiając połowy przeznaczone tylko na zniszczenie, jeszcze nie są argumentem?

Niepotrzebnie chyba udajemy tak bogatych, skoro obecna nasza sytuacja w tej dziedzinie do najweselejszych nie należy, a i perspektywy zbyt optymistyczne nie są.



Morze nie lubi słabych — tym najczęściej częściej się żądnych sensacyjnych opowieści przybyszów, przyszłych kandydatów na zdobywców oceanów. W naszej sytuacji wypadłoby jednak napisać raczej, że morze nie lubi balaganu i niekonsekwencji, a wymaga rzetelnego podejścia, dogłębnej znajomości realiów i rozsądnego planowania. Jak uczy doświadczenie i osiągnięcia naszych sąsiadów niewielkim kosztem daje się dobrać do głębin dobra, olbrzymiej wartości. Morze przecież żywi i bogaci... Nie wszystkich? Oczywiście.

Dużym błędem i wielką nieuczciwością byłoby dalsze udawanie, że nas to w ogóle nie dotyczy.

Reforma wkracza w życie. W niektórych branżach, regionach, zakładach — szerokim frontem. W innych — i tych jest znacznie więcej — ciągle jeszcze małą furtką. Nic w tym dziwnego, realizacja tak ogromnego przedsięwzięcia wymaga czasu i trzeba się z tym pogodzić. Na efekty reformy czekają wszyscy, rośnie społeczne zainteresowanie tą tematyką. Zjawisko jest w zasadzie pozytywne. Interesując się, zdobywamy wiedzę, która ułatwi pracę „po nowemu”, realizację zasad reformy na naszym własnym, choćby niewielkim odcinku. Ma ono jednak także niekorzystne strony. Rodzą się plotki: w zakładzie X zwalniają kilkadziesiąt ludzi, dla których nie ma pracy, w zakładzie Y obniżyli pensje, bo nie ma z czego płacić. Powoduje to niepotrzebny niepokój — bez względu na to, jak duże jest owo „ziarno prawdy”, które ponoć tkwi w każdej plotce. Ostatnio modnym tematem informacji przekazywanych w poważnych towarzyskich rozmowach są wiadomości o plajtujących zakładach. Dowcipni niedowiarkowie odpowiadają, że na razie nikt z pewnością nie zbankrutuje, bo... nie ma odpowiednich przepisów. Zart jest o tyle prawdziwy, że faktycznie brak dotychczas ustawy o upadłości przedsiębiorstw. Można jednak oczekiwać, że ukaże się ona wkrótce, a wtedy...

Wśród kandydatów na bankrutów wymieniam się przede wszystkim przedsiębiorstwa budowlane, co przy ogromnym niedostatku mieszkań zakrawa wręcz na parados. Czy i ta pogłoska okaże się mocno przesadzona? Na razie nie pora jeszcze mówić o bankructwie „budowlanek”, nie zmienia to jednak faktu, że sytuacja w nich jest bardzo trudna i niepokojąca.

OD STRONY BANKU

Budownictwo jest drogie. Nie tylko teraz, gdy zmieniły się ceny. Tak było od dawna. Od dawna również przedsiębiorstwa budowlane nie mogły na siebie zarobić. Nie było zresztą bodźców, skłaniających do zmniejszania kosztów własnych, potaniania produkcji. Dobry był ten zakład, który oddawał do użytku najwięcej izb, najwięcej metrów kwadratowych. Podstawą do oceny właściwie słuszną — ale tylko w tym wypadku, jeżeli występuje jednocześnie z innymi, równie ważnymi czynnikami. Zamiast zysku — planowy deficyt. Jeżeli zakład przekroczył jego wysokość — a oddał przy tym więcej mieszkań, niż przewidywał plan — też nie było tragedii. Sprawa załatwiana dotacjami. W efekcie problem został postawiony na głowie: czym większy zakład, czym więcej mieszkań, tym konieczność większych dotacji. W praktyce nigdy planowe i ponadplanowe deficyty nie zostały w całości pokryte dotacjami. W banku rosły długi.

Skrupulatnie odnotowywano je w odpowiednich bankowych dokumentach i... udzielano następnych kredytów. Bank płacił, bo bank musiał. Takie były przepisy. Niezależnie pasowały one do działalności bankowej — takiej, jak powinna ona wyglądać, ale, pozornie przynajmniej, funkcjonowały bez zakłóceń. Zakłady korzystały z kredytów, długi rosły. W wielu przypadkach powstało nawet ujemne saldo — w praktyce oznaczało to, że zamknięcie zakładu i sprzedaż jego majątku nie starczyłoby na pokrycie zadłużenia.

Od stycznia br. bank, w którym także wprowadza się reformę, rozpoczął działalność na nowych zasadach. W dużym uproszczeniu sprawa wygląda tak: kredyt otrzyma tylko to przedsiębiorstwo, które gwarantuje jego spłatę (podobnie zresztą postępowało od dawna w stosunku do indywidualnych kredytobiorców). Jednostka gospodarcza, która takiej gwarancji dać nie może, zostanie uznana za nie posiadającą zdolności kredytowej i pieniądze po prostu nie otrzyma.

Po pierwszym kwartale br. efekty, osiągnięte przez łódzkie przedsiębiorstwa budowlane, pozwalają na snuć prognozy pesymistycznych. I tak LKB-Zachód uzyskał w ciągu trzech pierwszych miesięcy 4,5 mln zł zysku. Wynik najlepszy, choć nie jest to kwota pozwalająca na pokrycie wszystkich potrzeb zakładu i zakłogi. Pozostałe kombinaty „dopracowały się”: Poludnie — 1,5 mln zł. Środkieście — 3,3 mln zł. Północ — 14,7 mln zł i Wschód — 22,6 mln zł. Podobnie zła sytuacja jest również w Przedsiębiorstwie Gospodarki Maszynowej.

mi Budownictwa, z którym współpracują wszystkie kombinaty.

Natychmiastowe pozabawienie zakładu możliwości korzystania z kredytu skończyłoby się szybką katastrofą, a nie o to przecież chodzi. Bank wyniósł więc kredyty podstawowe i rozpoczął proces sanacji. W określonym czasie przedsiębiorstwa (oprócz Kombinatu Wschód, w stosunku do którego przewiduje się inny tryb postępowania) korzystać będą jedynie z kredytów płatniczych i przedstawicieli muszą program działań, zmierzający do poprawy sytuacji na tyle, że gwarantowałyby to osiągnięcie efektów, rokujących spłatę kredytów. Z pewnością opracowanie takiego programu nie jest obecnie sprawą prostą. Zmiany organizacji pracy czy nawet technologii, oszczędność materiałów — choć ważne, nie usuną wszystkich barier, uniemożliwiających osiągnięcie zysku. Dodatkową trudność stwarza brak planów. Mimo upływu 5 miesięcy istnieją jedynie ich projekty, które, wobec braku nowych umów z inwestorami, a nawet aneksów do starych, mogą jeszcze ulec dość dużym zmianom. Kłopot to nie tylko dla przedsiębiorstw, ale i dla banku, który praktycznie nie wie, co kredytować. Mimo różnorodnych trudności przedstawienie programu uzdrowienia zakładu jest konieczne. Jeżeli zostanie on zaakceptowany, jako realny i rokujący rzeczywistą poprawę — przedsiębiorstwo odzyska kredyt podstawowy. Jeśli nie?

W najgorszej sytuacji znalazł się LKB-Wschód, który programu uzdrowienia przedsta-

TERESA JERZYKOWSKA

Budownictwo na głębokiej wodzie

wiać nie musi. Uznano bowiem, że z finansowych tarapatów przedsiębiorstwo nie może w obecnych warunkach wydostać się o własnych siłach, bez względu na ewentualne zmiany wewnętrzne. Działając więc na razie kombinat w oparciu o kredyt płatniczy, co nie zwiększa kosztów z tytułu odsetek, jest jednak dość uciążliwe. W niedalekiej przyszłości potrzebne będą odpowiednie decyzje organu założycielskiego: przyznanie dotacji, wyłączenie z przedsiębiorstwa uciążliwego „ogona” — fabryki domów, czy wręcz likwidacja.

U KANDYDATÓW DO PLAITY

Czy Kombinaty — Wschód jest dobrym, czy złym przedsiębiorstwem — trudno teraz rozstrzygnąć i chyba nie ma takiej potrzeby. Pod względem wielkości powierzchni mieszkaniowej, oddawanej do użytku każdego roku, zajmował pierwsze lub drugie miejsce, zamiennie z Kombinatem-Północ. Wielkość ta wynosiła średnio (od 1980 r.) 65 — 67 tys. metrów kwadratowych. Możliwości przedsiębiorstwa były i są większe, ich pełnemu wykorzystaniu przeszkadza przede wszystkim brak surowców i materiałów. Ponadto dopracowano się tu — co w budownictwie, przy występującej sezonowości niektórych robót wcale nie jest łatwe — pewnej rytmiki realizacji zadań, pozwalającej na uzyskiwanie 25 proc. planowanych efektów w każdym kwartale.

Byłoby więc nieźle, gdyby nie inwestycja — fabryka domów. Rozpoczęta w 1973 roku z planowaną zdolnością produkcyjną 12 tys. izb rocznie, w maju 1979 roku dała pierwsze prefabrykaty. Dalsza rozbudowa została wstrzymana. Inwestycja uznana za zakończoną, z możliwością jej kontynuowania po 1984 roku z funduszy własnych zakładu. Obecne zdolności wytwórcze fabryki, wynoszące 7.200 izb, wykorzystywane są w około 64 proc.

Bez względu na to, co dzieje się w fabryce, od przyszłego roku rozpocznie się spłata zaciągniętych na jej budowę kredytów, rozłożona na 15 lat i realizowana w części z zysku przedsiębiorstwa (48 proc.), w części — z odpisów amortyzacyjnych (52 proc.).

Zajmijmy się teraz Nczeniem. Spłata długów — średnio rocznie około 30 mln zł. Następne 30 mln zł — na pokrycie zadłużenia z lat ubiegłych, wynoszące około 300 mln zł. Kolejne 40 mln zł — niezbędne do życia i prawidłowej działalności przedsiębiorstwa. W sumie około 100 milionów złotych. Przy 400 mln wartości produkcji, jaką osiąga przedsiębiorstwo (według cen z 1978 roku) stopa zysku musiałaby wynosić 25 proc., co jest założeniem nierealnym.

Nie znaczy to jednak, że jedynym wyjściem z tej sytuacji jest biernie oczekiwanie na ukazanie się ustawy o likwidacji przedsiębiorstw. Rozważając możliwość dalszego istnienia i działania brano pod uwagę dwie możliwości. Po pierwsze: uzyskania dotacji budżetowych na pokrycie niedoborów oraz przejęcie kredytu, wykorzystanego na budowę fabryki domów, przez budżet państwa. Przy czym powinien on zostać przejęty w całości, nie zaś jedynie w części pokrywanej z zysku, bowiem tylko w ten sposób uniknąć można w przyszłości zaciągania następnych kredytów.

Wariant drugi, korzystniejszy dla przedsiębiorstwa — to wyłączenie fabryki domów ze struktury organizacyjnej kombinatu i powołanie w to miejsce nowego przedsiębiorstwa, które w obecnych warunkach musiałoby być dotowane, ale skutki takiej decyzji ponosiłby organ założycielski. Kombinaty natomiast, uwolnione od uciążliwego balastu, znalazłby się w znacznie korzystniejszym położeniu i mógłby pokusić się o takie zorganizowanie pracy, które umożliwiłoby realizację zasady samofinansowania. Pomogłoby to również w prowadzeniu pertraktacji z inwestorami, ustaleniu na właściwym poziomie cen. Obecnie bowiem na ich wysokość rzutują w dużej mierze ogromne, stałe koszty związane z utrzymaniem fabryki domów (dla przykładu — narzut kosztów ogólnych wynosi 1700 proc.). Budowane w ten sposób mieszkania muszą więc, siłą rzeczy, być bardzo drogie.

Inwestor nie chce kupować drogiej mieszkanie, reprezentując zarówno interes własny, jest bowiem także samofinansującym się przedsiębiorstwem, jak i społeczeństwem, występując w obronie kieszeni przyszłych lokatorów. Kontakt z inwestorami to zresztą odrębna część listy trudności, z jakimi boryka się kombinat. Zgodnie z decyzją ministra finansów, spółdzielnie mieszkaniowe domagają się przy ustalaniu cen obiektów stosowania wskaźnika przeciętnego. Tymczasem nie pokrywa to rzeczywiste ponoszonych kosztów. Powstała sytuacja, gdy „chłop swoje i baba swoje”. Wykonawca nie może podpisać umów, zgadzając się na ceny poniżej kosztów — inwestor nie odstępował od obowiązującego go wskaźnika, nie zgadza się również na przejściowe fakturowanie robót. W efekcie I półrocze dobiega końca, a w kombinacie zamiast planu istnieje tylko jego projekt. Brak umów na budowę nowych obiektów, brak również niezbędnych aneksów do umów zawartych wcześniej na inwestycje kontynuowane.

Przedsiębiorstwo, bez względu na trudności, dokąd istnieje — musi pracować. Rozpoczyna się więc nowe realizacje bez podpisania umów. Projekt planu przewiduje w br. oddanie 3.800 mieszkań do zasiedlenia i 2.000 w stanach surowych, o różnym stopniu zaawansowania. Główny potencjał koncentruje się przy budowie osiedli Chojny-Zatorze i Zagajnikowa. Rozpoczęto roboty ziemne na terenie osiedla Widzew-Północ. W ciągu 5 miesięcy br. oddano do użytku 18.498 metrów kwadratowych powierzchni, tj. około 370 mieszkań. Do Wojewódzkiego Zarządu Budownictwa wystosowano pismo z propozycją wyłączenia fabryki domów ze składu kombinatu.

Z GÓRY WIDĄC INACZEJ

W Wojewódzkim Zarządzie Budownictwa prezentują nieco inny pogląd na tę sprawę. Dowiadując się, jakie działania podjęto, aby przynajmniej częściowo zmniejszyć kłopoty, z którymi boryka się nie tylko Kombinaty-Wschód, ale także pozostałe firmy budowlane. A więc przede wszystkim sprawą zawierania umów z inwestorami i ustalania cen. Z inicjatywy WZB Kombinaty-Północ dokonał szczegółowego przeliczenia kosztów i weryfikacji współczynników. To przedsiębiorstwo nie jest obciążone długiem, bowiem wchodząca w jego skład fabryka domów została już spłacona, spełnia więc warunki w miarę obiektywnego rachunku kosztów. Na spotkaniu z przedstawicielami Wojewódzkiego Związku Spółdzielczości Mieszkaniowej zaprezentowano efekty tych wyliczeń. Współczynniki są wyższe od tych, którymi dotychczas chciała posługiwać się spółdzielczość, oparte jednak na rzetelnym określeniu wszystkich elementów kształtujących cenę. Przedstawiciele inwestorów wyrażali jednak wątpliwość, czy będzie to wystarczającym argumentem dla banku. Sprawa ta została wyjaśniona na spotkaniu, jakie odbyło się niedawno (po mojej wizycie w LKB-Wschód) z przedstawicielami banku. Otóż kredyt będzie udzielany do wysokości rozrachunków ustalonych między inwestorem a wykonawcą, bez względu na to, jakie współczynniki przyjęto przy określaniu cen. Z zastrzeżeniem, iż bank nie będzie pokrywał kosztów marnotrawstwa, złej organizacji, itp., co wydaje się oczywiste i bezdyskusyjne.

Wróćmy do przykładu Kombinatu-Wschód. WZB przygotował wystąpienie do ministra finansów o zgodę na spłacenie tej części zadłużenia kombinatu, która powinna być pokryta z zysku pieniędźmi pochodzącymi ze scentralizowanego funduszu rozwoju, jaki istniał przy likwidowanym Łódzkim Zjednoczeniu Budownictwa. Przypadki takiego rozwiązania miały już miejsce w kraju. Pozostaje jednak druga część zadłużenia. Przy niepełnym wykorzystaniu mocy fabryki domów (co jest w tej chwili niemożliwe m. in. z uwagi na brak surowców), nadmierny ciężar odpisu amortyzacyjnego i tak połżyłby przedsiębiorstwo. Zaproponowano więc dyrekcji kombinatu opracowanie preliminarza wydatków i wystąpienie o przyznanie dotacji na ich pokrycie do czasu uzyskania pełnej zdolności produkcyjnej. Jeżeli minister finansów wyrazi zgodę na obie propozycje, przedsiębiorstwo, działając w utrudnionych warunkach, wynikających z posługiwania się preliminarzem, przez długie lata pozostanie na państwowym garnuszku. Niemożliwość realizowania zasady samofinansowania może odbić się niekorzystnie również na pozostałych dwóch „S”.

Czy wyłączenie fabryki domów ze struktury przedsiębiorstwa byłoby posunięciem korzystniejszym? W kombinacie uważają, że tak, WZB prezentuje jednak odmienne stanowisko: nie załatwi to sprawy ze społecznego punktu widzenia. Podobnie, jak nie jest wyjściem nieprzyjęcie fabryki domów, pozostawienie ich do dyspozycji resortu, jak uczyniło kilku wojewódów w kraju. Jest to tylko pozbycie się kłopotu, przekazanie go komuś innemu. Społeczny koszt podjętych wiele lat wcześniej decyzji i kryzysu, jaki dotknął budownictwo, musi być poniesiony bez względu na to, z czyjej kieszeni.

Tak więc z różnych miejsc budowlane kłopoty widać tak samo, ale drogi prowadzące do ich rozwiązania — nieco inaczej. Problemów jest znacznie więcej. Na przykładzie Kombinatu-Wschód omówiłam tylko niektóre z nich. Podobne dotyczą w mniejszym lub większym stopniu wszystkich przedsiębiorstw realizujących budownictwo mieszkaniowe nie tylko w Łodzi. Wdrażanie reformy w tej branży gospodarki przypomina nieco sytuację ludzi, uczonych pływacką metodą wrzucenia na głęboką wodę. Niektórzy nauczą się, inni jednak z pewnością utoną. Na razie w WZB nie rozważa się szczegółowo sytuacji, w której przedsiębiorstwo trzeba będzie postawić w stan likwidacji z powodu jego bankructwa. Możliwość taka jednak istnieje. Na obecnym etapie nikt nie jest w stanie stwierdzić, który z łódzkich kombinatów jest pierwszym kandydatem do plajty.

Motto: „...co ja się bede szarpał dla kraju, pójde se na chorobowe...”

(Ludwik Jerzy Kern)

Reforma zasiłków chorobowych przed kilkoma laty dokonana została szumnie i niemal uroczystie — oto dokonywał się akt dziejowej sprawiedliwości, zrównanie uprawnień pracowników fizycznych i umysłowych było aktem socjalistycznego humanitaryzmu i egalitaryzmu. Kierownictwa zakładów nie kryły obaw i wątpliwości — znali ludzi, znali sytuację w zakładach, wiedzieli, że zasada jest socjalistyczna, ale ludzie, którzy mają z niej korzystać nie są socjalistycznie „socjalizowani”. Jakoś nikt głośno i zdecydowanie tych obaw nie wyartykułował. Jakże tu protestować przeciw sprawiedliwości i postępowi?

Efekty nie dały na siebie długo czekać. Absencja chorobowa skoczyła nagle i wzrostowy trend tego zjawiska do dziś się utrzymuje. Początkowy skok był przewidziany i w kalkulowany w kosztach. Ba! Stanowił pośredni dowód słuszności dokonanej zmiany. Oto schorowani ludzie nie wykorzystywali dotychczas możliwości zwolnień lekarskich w trosce o zachowanie poziomu dochodów. Teraz bez obaw idą na zwolnienia. Per saldo to się opłaca, w efekcie będziemy mieli zdrowsze społeczeństwo, zdrowsze, a więc bardziej wydajne załogi!

Nie mamy zdrowszego społeczeństwa ani wydajniejszych załóg. Mamy zastraszającego wysoki i nielimitowany poziom, jak to ładnie mówią statystyki medyczne „zachorowalności”. Statystyczny pracownik gospodarki społecznej w województwie miejskim łódzkim nie przepracował w roku ubiegłym aż 186 godzin z powodu choroby lub zwolnienia na opiekę nad chorym. Zakładając, że niecierpiący czas pracy wynosi ok. 200 godzin można powiedzieć, że przeciętny pracownik łódzkiego przemysłu chorował w roku ubiegłym blisko miesiąc!

Stan wojenny nie ma zasadniczego wpływu na poprawę sytuacji, choć w ogóle wpłynął pozytywnie na poprawę dyscypliny pracy. W pierwszym kwartale br. liczba nie przepracowanych godzin z powodu choroby i zwolnienia na opiekę nad chorym wynosi 49,1. Jeżeli taki stan utrzyma się przez pozostałe trzy kwartały, ubiegłoroczny rekord padnie!

POGODOWA, ŚWIĄTECZNA, ASORTYMENTOWA

Mówi pracownik jednego z łódzkich zakładów Władysław L.: — Nie do prasy, panie. Prywatnie mogę powiedzieć. Jest tak: Facet na akordzie ma dobry okres, fart, korzystny asortyment. Ładuje tydzień, dwa, miesiąc. Wyciąga ładny grosz. Zmęczony się, bo robotę mu przydzielili z którą trudniej się wyrobić. Czuję, że weźmie ze dwa tysiące mniej. Po co? Dziesięć dni chorobowego go urządzi — odpocznie, leci średnia, czasem nawet bardzo ładna średnia — za wolne soboty i niedziele leci jak za dni przepracowane!

Na co dostanie? Na żołdek, na serce, na Bóg wi co... Jak człowiek kilkanaście lat przepracuje, swój wagon „sportów” wypali i swoją cysternę czystej wytrąbi to nie ma cudów, zawsze się coś znajdzie... Czasem lekarz pomoże — wiadomo, który ma lejszą rękę do L-4. Czy biorą? Ja nie wiem, obojętnie nie dawałem, ale nie ma cudów! Wie pan, tylko rybki... Ja nie korzystam, lubię robotę, w domu się nudzę. No, święty też nie jestem...

Zastępca kierownika Zakładu „A” w łódzkiej „Olimpii”, Ryszard Szumski mówi: Medycyna zna epidemie grypy, tyfusu i czego tam jeszcze. My w zakładzie znamy epidemie pogodowe, świąteczne, asortymentowe...

Domyślam się, co znaczy epidemia pogodowa i świąteczna, można też przewidzieć w czerwcu epidemię „hiszpanki”, a co znaczy „asortymentowa”?

— Mniej opłacalny asortyment przychodzi, za parę dni będzie

inny. Pięć, sześć dni L-4 i po sprawie, utrzymany poziom zarobków, a przy okazji rodzinne pranie.

CHORUJĄ KOBIETY

W ZPD „Olimpia” pracują głównie kobiety. Chorują prawie wyłącznie kobiety. W Zakładzie „A” (wybrany nieprzypadkowo — przemysł dziewiarski obok budownictwa zajmuje od lat znaczne miejsce w czołówce „absencyjnych” zakładów) zatrudnionych 1.564 osoby w tym 1.004 kobiety. Liczba nieprzepracowanych z powodu chorób dni wynosi w I kwartale br. 16.453!

Artykuł dyskusyjny

Proszę zwrócić uwagę — mówi lekarz zakładowy, dr Irena Wolańska-Rędzikowska — że ogromna większość tych dni, bo aż 11.512 przypada na pracowników „długich chorujących”. Ta pozycja w statystyce medycznej kryje, obok pewnej liczby przewlekłych chorób w zasadzie uleczalnych, także i przede wszystkim długie zwolnienia lekarskie, które wg przepisów muszą poprzedzać rentę chorobową. Na dobrą sprawę większość tych kobiet powinna być już na rencie, rodzaj schorzenia kwalifikuje je bez wątpliwości. Przepis wymaga jednak, aby przez kilka miesięcy pozostawały na zwolnieniu lekarskim. Jest to korzystne dla pracownika — renta będzie niższa niż zasiłek chorobowy, dla zakładu natomiast sprawa jest niezwykle kłopotliwa.

Przyjmuję dziennie około 50 pacjentek, wydaje ok. 30 zwolnień krótkoterminowych. Nie spotykam się z symulacją, le kobiety chorują naprawdę. Przeciętny wiek załogi jest wysoki, to

Przedsiönek kariery

Odrzuciliśmy tradycyjną „nomenklaturę”. I słusznie, gdyż jak dowiodła praktyka wypaczenia oraz wynaturzenia w jej stosowaniu dały w efekcie często żalosne skutki. Rosła nam przez całe poprzednie dziesięciolecie obok zdolnej, mądrej i ambitnej kadry kierowniczej w gospodarce armia niekompetentnych, nieudolnych i nieudolnych, pozał się Boże, szefów różnego szczebla, przechowywanych w „przyłuki nomenklatury”. Kto raz się tam dostał, zwykle dzięki protekcji, mógł liczyć na to, że nie tak przedko wypadnie z obiegu. Że niezależnie od wątpliwych zasług i karygodnych grzechów będzie mu gwarantowane jakieś tam miejsce na „karuzeli stanowisk” z tytułu przynależności do „zaplecza nomenklatury”.

Chcilibyśmy wszyscy, aby tego typu praktyki należały już do przeszłości. Życzilibyśmy sobie, aby odnowa aparatu zarządzania gospodarką, nie oznaczała jedynie przemieszczania tych z „nomenklatury”, którzy zawiedli, okazali się nieudolni lub po prostu nieuczciwi na mniej eksponowane stanowisko. Myśle, że niezbędna odnowa kadry w aparacie gospodarczym, to m. in. solidnie przeprowadzony remanent, w efekcie którego wszyscy nieudacznicy odejdą tam, gdzie pracować mogą bez szkody dla nikogo; odejdą i już nigdy nie wrócą na „karuzelę” stanowisk. Bo wtem polityka kadrowa to nie jest lunapark, a zarządzanie gospodarką to nie zabawa.

W rozmowie przeprowadzonej na ten temat, kierownik Wydziału Ekonomicznego KŁ PZPR, TADEUSZ KAMIŃSKI, powiedział:

— Tak powszechnie negowanie „nomenklatury” nie da się w przyczynach tego zjawiska sprowadzić jedynie do faktu, że była ona domeną partii. Społeczeństwo nie znało reguł tej gry. System doboru kadry kierowniczej musi opierać się na jasnych, powszechnie znanych i społecznie akceptowanych kryteriach. W tym właśnie miejscu powstawały w przeszłości deformacje i dlatego tak duże społeczne oczekiwania towarzyszyły wprowadzaniu przemianom.

Uwaga jak najbardziej słuszna. Dziś społeczeństwo nie tylko chce znać reguły tej gry, ale pragnie, aby były one sprawiedliwe, aby dawały realne szanse każdemu, kto jest dobrym fachowcem, organizatorem i uczciwym człowiekiem.

Nie możemy jednak nie przypomnieć w tym miejscu, iż IX Zjazd PZPR w swojej uchwałie zapisał m. in., że kierownicza rola partii w państwie winna być utraczona w pełni przy pełnym przestrzeganiu praw i zasad konstytucji, również w zakresie polityki kadrowej. Przy czym polityka ta tak właśnie rozumiana winna w równym stopniu obejmować członków PZPR, członków stronnictw so-

juszniczych i bezpartyjnych. Powiedzmy zatem jasno — partia odchodzi od „nomenklatury”, ale nie zrezygnowała z wypełniania kierowniczej roli także w polityce kadrowej.

— Poszukiwaniu nowej formuły jak najlepszego wypełniania tego zadania w praktyce zmusiło nas do zastanowienia się nad tym, jak skutecznie, w sposób optymalny połączyć idee konkursu, jako formę wyłaniania kandydatów na dyrektorów z postanowieniami IX Zjazdu w zakresie polityki kadrowej. Dotychczasowe doświadczenia w obszarze konkursów nie dają dostatecznej jeszcze wiedzy o mechanizmach wyłaniania kandydatów, ich kreacji, prawidłowego doboru kryteriów, itp. Skala błędów, jak dotąd, jest jeszcze duża, zaś społeczne koszty przypadkowych wyborów, błędnych decyzji, ponosić będziemy w efekcie wszyscy — stwierdził w dalszej części rozmowy Tadeusz Kamiński. — Z troski o to, aby te „koszty” były jak najmniejsze, wypływa nasze, tj. Wydziału oraz Instancji (bo mówiono o tym również na ostatnim plenum KŁ) upomnienie dla inicjatywy uruchomienia tzw. szkoły dyrektorów, czyli inaczej mówiąc — instytucjonalnej, merytorycznej pomocy dla kandydatów na dyrektorów z konkursu. Ci, którzy „szkołę” tę ukończą, powinni mieć prawo myślenia o sobie, że są potencjalnymi kandydatami na szefów firm w swojej branży.

POTRZEBA NA DZIŚ I JUTRO

Jak zwykle życie, praktyka społeczno-gospodarcza i względy polityczne, wszystko to wymusiło niejako zainteresowanie się problemem kadry kierowniczej nie tylko ze strony Instancji partyjnych. O jednym z powodów już wspomnieliśmy — o konieczności odejścia od powszechnie krytykowanej „nomenklatury”.

Istnieje także potrzeba rewizji dotychczasowej, także nieścisłej nie najlepszej praktyki pracy z tzw. kadra rezerwową. W przeszłości organizowano rozmaite, nierzadko fikcyjne przeglądy tej kadry. Wypełniano sterty formularzy, wypisywano sełki teczek osobowych z nadrukiem: „kadra rezerwowa” i odkładano to wszystko najczęściej do głębokich szuflad albo na zakurzone półki. „Kadra rezerwowa” — pojęcie to w wielu przedsiębiorstwach i instytucjach było jedynie hasłem. A wiadomo, że te dewaluja się najszybciej. Latami całymi więc funkcjonowały jak czek bez pokrycia. Nikt się tym problemem zbytnio nie przejmował, niewiele także traktowało go na serio. Był to także w jakiejś mierze pośredni skutek „nomenklatury”. Bawiem wiadomo było powszechnie, że nie ten zostanie następcą, kto

zwyciężył przetarg na rezerwę kadrową, ale kogo — z tych czy innych względów — odpowiednio czynnik „ustawia”. Niedobre doświadczenia na ten temat nie zwalniają nas na dziś, a tym bardziej na jutro od obowiązku myślenia o tym, jak w sposób naturalny a zarazem czytelny dla każdego i akceptowany społecznie tworzyć szanse dla następców.

— Jednym ze sposobów, przykładów poszukiwania nowych, aktywnych środków w aktualnie prowadzonej polityce kadrowej może być inicjatywa powołania owej „szkoły dyrektorów” — zasugerował w trakcie rozmowy na ten temat mgr JAN MORAWIEC, dyrektor Ośrodka Doskonalenia Kadry Przemysłu Lekkiego „DOSKO”.

— Pod warunkiem jednak — dodał zrazu — że spełniony zostanie postulat, iż będzie to „szkoła” otwartego typu. Bezdziału ona musiała być z jednej strony otwarta na potrzeby, które nieśbie będzie z sobą żyć gospodarcze, z drugiej zaś — w sposób otwarty zorientowana na ludzi. Pragniemy bowiem, aby w przyszłości, nie odchodząc całkowicie od rekrutacji kierowanej, mogli do nas przyjść także ci, którzy będą czuli potrzebę podniesienia swoich kwalifikacji, lepszego przygotowania się do konkursu, zaspokojenia swoich ambicji i aspiracji, wreszcie także sprawdzenia samego siebie.

Jest to więc konkretna szansa dla młodych, dla tych z naturalnej rezerwy kadrowej, których fachowość i ambicja, otwarte myślenie i działanie „po nowemu” według zasad, które winny zreformować naszą gospodarkę, będą gwarancją odbicia się wreszcie od owego, przyszlusowego już ekonomicznego „dna”.

W niedawnej rozmowie na ten temat dr JOZEF PENC z Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych, współpracownik „DOSKO”, powiedział m. in.:

— Prawda jest taka, że nie da się już dzisiaj ocenić nowych zjawisk i ludzkich zachowań poprzez doświadczenia naszych ojców. W tym przypadku rutyna często bywa balastem. W systemie permanentnej edukacji kadry kierowniczej musimy przyswoić sobie nie tylko fachowości i nie tylko menedżerów, ale ludzi otwartych wobec zjawisk społecznych, które zachodzą dziś w zakładach pracy. Sama wiedza techniczna i ekonomiczna to jeszcze za mało, aby dobrze kierować współczesną fabryką czy instytucją. Pojawia się dziś nowa bariera rozwoju. Szansa na jej pokonanie tkwi w ludziach, w ich mentalności, świadomości i stosunkach społecznych. Dlatego tym dyrektor na dziś, na jutro, to szef silnie zorientowany na człowieka, identyfikujący się z grupą, która kieruje, umiejący uzbudzić motywację pozytywną po to, aby w systemie: człowiek — ma-

szyna — człowiek, ogniwo pierwsze i trzecie nie było ogniwem najsłabszym.

Myśle, że nie mniej ważnymi motywami dla poszukiwania nowych, coraz lepszych form prowadzenia mądrej polityki kadrowej są z jednej strony potrzeba stopniowej (a w szeregu przypadkach natychmiastowej) wymiany starej kadry kierowniczej („starej” w znaczeniu nie tyle wieku, ile niekompetencji). Z drugiej zaś strony, istnieje konieczność zastąpienia na stanowiskach kierowniczych poważnej grupy starszych wiekiem działaczy gospodarczych, którzy odchodzą na wcześniejsze czy też normalne emerytury.

SZKOŁA DYREKTORÓW

Tak umownie określono inicjatywę, której program stworzył Ośrodek Doskonalenia Kadry Przemysłu Lekkiego „DOSKO” we współpracy z Wydziałem Ekonomiczno-Socjologicznym Uniwersytetu Łódzkiego. Na kwietniowym posiedzeniu WKO zapadła decyzja o uruchomieniu „szkoły” przy Ośrodku. Zgłoszenia kandydatów dokonywali kierownicy przedsiębiorstw do UML. Przyjęto ponad 340 zgłoszeń, w tym blisko połowa to pracownicy przemysłu lekkiego i chemicznego. Przeważali inżynierowie (211) oraz ekonomiści (62). Stosunkowo mało, biorąc pod uwagę specyfikę łódzkiego przemysłu, zgłoszono kobiet, bo tylko 15 procent. Wśród kandydatów najliczniejszą grupę wiekową stanowiło pokolenie trzydziślatków. Składną na ludziach w wieku 30—35 lat autorem tej inicjatywy najbardziej zalegało. Zalegało również i na tym, aby kandydatami nie były jedynie członkowie partii. Jednakże w praktyce rekrutacja dała odmienne rezultaty. Bezpartyjnych w gronie zgłoszonych do UML było stosunkowo mało. Wpływ na to mógł w jakimś stopniu mieć fakt, że kandydatów typowali dyrektorzy w związku z czym jest możliwe, że zadziałał tu tradycyjny mechanizm wyróżnień, myślenie po staremu o tym, kogo należałoby w pierwszej kolejności takim skierowaniem wyróżnić.

Pierwszą turę kursu rozpoczęto w maju br. dla grupy 30 osób. Preferowano następujące kryteria kwalifikacji: posiadane dwa fakultety (techniczny i ekonomiczny), wiek od 30—35 lat, zatrudnienie w dużym zakładzie pracy na stanowisku kierowniczym, legitymowanie się pozytywną opinią organizacji partyjnej lub młodzieżowej.

— Znamyśmy się, że są to kryteria formalne — przyznał mgr Jan Morawiec — Jakiś jednak klucz na początku musieliśmy zastosować. Co zaś się tyczy wymogów zajmowania już przez słuchacza odpowiednio wysokiego stanowiska (kierownika wydziału czy głównego specjalisty), to uważam, że ten fakt dowodzi pewnej dynamiki, nasilających przez młodego człowieka a wymaganych predyspozycji indywidualnych, a tym samym kwalifikuje go do ubiegania się w przyszłości o

stanowisko dyrektora.

W zasadzie trudno się z tego typu rozumowaniem nie zgodzić tylko, że należałoby równocześnie przyjąć, iż dotąd w awansowaniu pracowników obowiązywały powszechnie kryteria i zasady, które określiliśmy byśmy prawidłowymi. To już jednak temat na inną okazję. Organizatorzy jednak zapewniali, że w zasadzie wszyscy, którzy zostali zgłoszeni do „szkoły” będą mogli uczestniczyć w kursach następnych. Ten najbliższy rozpocznie się we wrześniu i objęci zostaną nim kandydaci przewidziani do podjęcia pracy w branży rolno-spożywczej.

Równocześnie przyznano w rozmowie, że dotychczasowe wnioski co do trafności rekrutacji nie są jedynie optymistyczne. Ze wśród tych ponad 300 zgłoszeń były osoby wypowiadające przypadek, trochę tak jeszcze po staremu. W tym momencie przypomniała mi się uwaga zgłoszona na ostatnim posiedzeniu plenarnym łódzkiej instancji przez przedstawiciela PTE, który ubolewał nad tym, że na kursy o reformie delegowani są często ludzie przypadkowi, nie bardzo chcący nawet cokolwiek się w tym temacie dowiedzieć, nie zdradzający wielkiego zainteresowania tematem. Coś w tym jest, coś nad czym należałoby się chyba głębiej zastanowić.

Program jednej edycji „szkoły” realizowany jest w ramach 5 sesji po 40 godzin zajęć w każdej sesji. Jest to program o szerokim wachlarzu treści a równocześnie uwzględniający potrzebę zapoznania uczestników kursu z użyteczną wiedzą z zakresu modelu, stylu i organizacji kierowania przedsiębiorstwem, zarządzania i podejmowania decyzji w warunkach ryzyka i niepewności (a więc np. wdrażania reformy), systemu ekonomiczno-financeowego przedsiębiorstwa, polityki kadrowej, rozwiązywania konfliktów, wdrażania innowacji oraz współdziałania i współpracy dyrektora jako przedstawiciela przedsiębiorstwa z innymi firmami, bankiem, władzami lokalnymi, administracją, organizacjami politycznymi, związkami, samorządem itp.

Propozycja programowa wydaje się być dość atrakcyjna i jak zapowiadają organizatorzy realizowana nowoczesnymi, aktywizującymi formami.

Midzy poszczególnymi sesjami jest 3—4 tygodniowy przerwy. Uczestnik kursu pogłębia w tym okresie wiedzę teoretyczną w oparciu o literaturę, przygotowuje się do kolejnych zajęć. Midzy 4—5 sesją przewidziane jest odbycie praktyki poza aktualnym miejscem pracy. Kurs kończy się testem sprawdzającym wiedzę, bo umiejętności kierownicze, predyspozycje badane są w toku zajęć.

Myśle, że będzie okazja zaprezentować w jednym z następnych numerów „Odgłosów” relację z zajęć w „szkole” czy nawet przebiegu praktyki potencjalnego kandydata na dyrektora.

NA ZAKOŃCZENIE

rozmowy, w której z „DOSKO” oprócz wspomnianego dyrek-

tora Ośrodka, uczestniczyli panowie GRZEGORZ MADAŁIŃSKI oraz WŁODZIMIERZ WĘGLARCZYK, wymieniliśmy kilka myśli, uwag, spostrzeżeń, które zrodziły się już teraz, po pierwszej sesji.

— Stawiamy wysokie wymagania słuchaczom i to zarówno w trakcie kursu, jak też przy sprawdzaniu wiedzy oraz umiejętności. Wydaje nam się, że jest to po prostu uczciwe jeśli zważyż, że słuchacze pragną traktować „szkołę” jako przedsiönek do kariery, a więc bardzo na serio.

— Postawiliście na ludzi młodych, na trzydziślatków, a więc na tych, którzy jako pokolenie okazali się być najbardziej aktywni społecznie w okresie między Sierpniem a Grudniem.

— Jest to chyba zrozumiałe i konieczne. Buntowali się, bo często ich możliwości awansu były ograniczone. Jednakże w pokoleniu tym tkwi potencjalnie wielka energia i wola stania się siłą motoryczną poczynając wyzwalających nas z więzów kryzysu. Aspiracje te i ambicje muszą znaleźć pożyteczne ujście. Należy stworzyć temu pokoleniu realne szanse wygrwania z rutyną.

— A skoro mowa o rywalizacji, o konkursach, to myślę, że byłoby bardzo źle gdyby startowali w nich ludzie przypadkowi, słabo przygotowani.

Kursy powinny być konkurencją wiedzy, talentów i umiejętności, a wygrwać w nich muszą bezsprzecznie najlepsi. Działalność naszej „szkoły” powinna być na linii takiego założenia. Nasza ambicja jest wiarą wieranie piętna w zakresie umiejętności wypełniania funkcji kierowniczych. Żadna z wyższych uczelni, jak dotąd, nie kładzie na te elementy wykształcenia inżynierów czy ekonomistów dostatecznego nacisku. Pragniemy tę lukę w odniesieniu do ludzi przychodzących do nas maksymalnie zniwelować.

— Na ile „szkołę” będą obchodziły losy słuchaczy?

— Chcemy śledzić ich karierę, rejestrować sukcesy i porażki. Czyżby to będziemy nie tyle z kronikarskiego obowiązku czy dla satysfakcji, ile dla wydzielnienia wniosków dla nas. Bawiem sukces naszych absolwentów zależeć powinien w dużej mierze, w znacznym stopniu od jakości naszej pracy. Dobrze wiedzieć i to na ile nam pomogło. To przecież ważne. Nie dla naszego samonacisnu, ale dla stałego doskonalenia jakości kształcenia.

— Czy wierzyć panowie, że dwóm „szkołom” dyrektorów” będzie preferowany w konkursach?

— Nie wiem czy powinien. Na pewno będzie jednym z elementów branych pod uwagę. Nie chodzi jedynie o wymogi formalne. Na tym nie powinno nikomu zależeć, tych nie powinniśmy fetyszyzować. Świadectwo „szkoły” może być jednak traktowane jako dobra przepustka do konkursu, zaś zabota tu wiedza, nabyte umiejętności — jako atut do kariery zawodowej.

naprawdę sterane pracą i życiem pacjentki. W najbliższych latach sytuacja się nie poprawi. Odejdą jedne, zestarzeją się i zacięta choroba następną...

— „ucujemy na nowych zasadach, wprowadziliśmy już dwa „S” — mówi Ryszard Szumski — bezwzględne prawa rynku wejść na rynek pracy. Już dziś, kiedy przyjmujemy nowego pracownika zaglądamy do książeczki ubezpieczeniowej. Nie przyjmujemy takich, co mają książeczkę ostemplowaną zwolnieniami. Nie stac nas na to.

To niemoralne? A wypłacanie w „Obrońcach Pokoju” ekstra premii za to, że pracownik nie bierze zwolnień to jest moral-

L-4 od Świętego Mikołaja

ne? A branie zasiłku z powodu epidemii „asortymentowej” równego ucztwie wypracowanym porem to moralne?

RATUJEMY SIĘ JAK MOŻEMY

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych za skuteczne antidotum na „Jewę” L-4 uznano społeczne kontrole w mieszkaniach chorych. Jechał z zakładu pracownik komórk kadrowej lub socjalnej (?) i wydelegowany przez Rząd Zakładową (tradycyjnie zawsze chętną do kontroli dyscypliny załogi), delegat związkowy, wchodzili z nienacka do mieszkań, sprawdzali, czy chory

w domu, czy w łóżku, czy nie robi prania albo malowania mieszkania, czy nie na lewej robocie, czy nie pijany.

Ani to moralne, ani zgodne z prawem. W gruncie rzeczy taki „podejrzany” miał święte prawo nie wpuszczać wysokiej komisji do domu... Jeśli nawet zwiłki się z łoża boleści, żeby w pobliskim sklepie kupić chleb, albo lekarstwa w aptece to wystarczyło dla zastosowania surowych restrykcji. Aż dziw, że znajdowali się chętni do udziału w pracy takich komisji.

Później pojawił się kontrowersyjny przepis i niewliczanie zasiłków chorobowych do „trzynastki”. Zdaje się, że skuteczność tego zabiegu była równie znikoma jak efekty społecznych kontroli. Ostatnio pojawiły się, trochę nonsensowne, jak każdy środek typu „brzytwa dla tonącego” premie za... żelazne zdrowie. Wprowadziły je wspomniane Zakłady Obrońców Pokoju, MPK w Łodzi i wiele innych zakładów.

Stosuje się zatem działania represyjne w stosunku do podejrzanych o zwolnienie „lewe”, z drugiej strony, tzw. będzie materialne, które mają powstrzymać pracownika od zwolnień „lewych” oraz — jak można przypuszczać — zwolnień na lekkie choroby, stany podgorączkowe, osłabienia itp. W tych sytuacjach przystąpienie bądź nie przystąpienie do pracy zależy tylko od dobrej woli zainteresowanego.

Obydwa typy działań skazane są na niską skuteczność. Będzie materialne są słabe, nie równoważą atrakcyjności L-4. Działania represyjne... Te mają zawsze ograniczoną skuteczność. Najlepszym przykładem jest spekulacja. Trwa pomimo ożywionych działań aparatu ścigania. Tak jak spekulacja może skutecznie zlikwidować tylko normalizacja rynku, tak plagę nadmiernej absencji chorobowej może powstrzymać tylko

ZDECYDOWANA ZMIANA PRZEPISÓW

dotyczących obliczania zasiłku chorobowego. Kilkuletnie działania dotychczasowe przekonało już wszystkich chyba, że zasada pełnej, stu procentowej rekompensaty utraczonych w wyniku choroby zarobków musi zostać złamana. Rozmija się ze zdrowym rozsądkiem, zaczyna rozmiąć się także (o paradoksie!) z poczuciem sprawiedliwości. Przypomnijmy, że stu procentowy

zasiłek zderzy się — już się zderzał — z reformą gospodarczą, z zasadami samofinansowania przedsiębiorstw, z takimi metodami obliczania zarobków, które wykluczą płacenie za nic-nie-robiecie.

Socjalistyczne państwo gwarantuje konstytucyjne prawo do pracy i prawo do ochrony zdrowia, z których to praw wynika pośrednio ochrona interesów materialnych chorego pracownika. Powszechne prawo do pracy nie zawiera jednak gwarancji określonego poziomu zarobków!

Nazwijmy rzecz po imieniu: choremu należy się bezpłatna opieka lekarska, bezpłatne leczenie szpitalne (z wyżywieniem), bezpłatne leki. Należy mu się też zasiłek chorobowy. Zasiłek — przypomnijmy sobie znaczenie tego słowa — a nie pełne, stu procentowe wynagrodzenie, jak za pracę.

Choroba nie może się opłacać!



Nie proponuję konkretnych rozwiązań. Nie wiem, czy zasiłek chorobowy ma wynosić 50 czy 75 proc. wynagrodzenia, czy może przyjąć jeszcze inny wskaźnik procentowy. Może należy różnicować zasiłki w zależności od czasu trwania choroby, rodzaju choroby itp. A może wysokość zasiłku uzależnić od stażu pracy, może od liczebności rodziny chorego? Nie wiem, nie jestem fachowcem. Wiem natomiast, że w Japonii, której system gospodarczy uchodził do niedawna w niektórych kregach społecznych w Polsce za wzorowy, absencja chorobowa jest najniższa w świecie. Walpie, że akurat Japończycy są najzdrowsi na świecie...

Wiem także, że szukając wyjścia z tej sytuacji trzeba pamiętać o koleżkach pana Władysława Ł. i spróbować zdezorganizować im system opłacalnego L-4, ale przede wszystkim trzeba pamiętać o pacjentkach lekarki zakładowej z „Olimpii”, o ludziach, którym praca odebrała zdrowie.

I jeszcze o jednym pamiętać trzeba koniecznie: L-4 to nie-szczęście, a nie prezent od Świętego Mikołaja...

ANDRZEJ KAROLCZAK

W dniu 11 czerwca, w lokalu Stowarzyszenia PAX w Łodzi, odbył się uroczysty wieczór autorski Józefa Macieja Kononowicza, związany z 70 rocznicą jego urodzin.

Bogata twórczość zasłużonego pisarza, laureata wielu nagród a także Nagrody Literackiej m. Łodzi, omówił znany krytyk, wieloletni przyjaciel Jubilat, Zygmunt Lichniak.

Na program wieczoru zostały się wiersze oraz fragmenty prozy autora, które zaprezentował zgrupowanym aktor Teatru im. Stefana Jaracza, Marek Kołaczowski. W tej ciekawej imprezie wzięli udział przedstawiciele władz miasta, Stowarzyszenia PAX, pisarze oraz liczni wielbiciele twórczości Jubilata.

W jednym z najbliższych numerów „Odgłosy” zamieścimy obszernie fragmenty z wystąpienia Zygmunta Lichniaka oraz recenzję z ostatniej powieści Józefa Macieja Kononowicza.

W minioną sobotę Teatr Wielki wystąpił z nową premierą. Jest to opera Ludwika van Beethovena „Fidelio”. Role Lenory śpiewała Teresa May-Czyżowska, Rocca — Zdzisław Krzywicki, Ferrando — Jerzy Jadcak, Pizarro — Władysław Malczewski, Florestana — Janusz Zipser. Spektakl reżyserował i inscenizował Wolfgang Weit, kierownictwo muzyczne sprawował Tadeusz Kozłowski, scenografię opracowała Jadwiga Jarosiewicz, a chór przygotował Henryk Karpiński.

Natomiast w niedzielę rozpoczęły się wieczory baletowe. Zobaczymy na nich w kolejności: — obraz „Głos kobiecy” do eksperymentalnej muzyki K. Knilla, w inscenizacji i choreografii Ewy Wychowskiej, Tańca: Anna Fronczek, Małgorzata Śladysz, Lilliana Kowalska i Tomasz Łukaszyński;

— „Odrodzenie” do muzyki M. Karłowicza w inscenizacji i choreografii Kazimierza Wrzosa. Wykonawcami głównych partii są: Violetta Sokółowska i Krzysztof Kulik;

— po raz pierwszy na scenie łódzkiej prezentowano „Medea”, balet w jednym akcie, do którego muzykę napisał Juliusz Łucik, a libretto Andrzej Lis. Opowieść osnuta na tle sławnego mitu przedstawia Ewa Wychowska (Medea), Kazimierz Wrzosek (Jazon), Kazimierz Knol (Hekate).

Partie Medei śpiewa Urszula Redych-Vasina, a w nagraniu muzycznym wzięli udział muzycy i wokaliści z Krakowa, dyrygował Stanisław Galon-ski.

17 bm. Teatr im. Juliana Tuwima wystąpił z ostatnią już w tym sezonie premierą. Jest to inscenizacja mniej znanej komedii Antoniego Cwojdzkiego „Obrona genów”. Reżyserem spektaklu jest Stefan Domański. Scenografię przygotowała Ewa Kalczak. W rolach głównych wystąpili: Grażyna Dziegielewska, Danuś Kłopotka i Henryk Tomczyk.

Na tournée zagraniczne wybiera się Filharmonia Łódzka. W końcu czerwca wraz z chórem wyjeżdża do Austrii.

W Instytucie Polskim w Paryżu rozpoczął się cykl imprez z okazji Roku Karola Szymanowskiego. Impreza inauguracyjna obchody był recital „przy świecach” solistki Teatru Wielkiego w Łodzi Delfiny Ambroziak. Wykonała ona przy akompaniamentie Rajmunda Ambroziewicza (fortepian) pieśni Karola Szymanowskiego.

Jednocześnie w salonie „wystawowym” Instytutu Polskiego pokazano interesującą wystawę o życiu i twórczości wybitnego kompozytora.

Stanisław Romaniak — poeta i rzeźbiarz, którego twórczość prezentowaliśmy swego czasu na naszych łamach, pokazywał ostatnio swoje dzieła w wielu miastach za granicami naszego kraju. Jego wystawa pt. „Apokalipsa” wystawiona była na trzech ekspozycjach w Wiedniu. I tam także nakreślona była na użytek telewizji japońskiej. Od połowy września wystawa wędrować będzie po Szwecji. Wystawiana będzie w sześciu miastach tego kraju.

„Apokalipsa” jest to artystyczny skrót historii Polski, od Między I aż po wiek roku 2000.

Wydawnictwo Łódzkie kończy pracę nad tomikiem poetyckim Stanisława Romaniaka pt. „Otwarte drzwi trzeba zamknąć”.

18 czerwca odbyła się ostatnia przed wakacyjną przerwą w warszawskim Teatrze Powszechnym premiera. Helmut Kajzer wyreżyserował dla tego teatru „Antygona” Sofoklesa. W rozmowie z dziennikarzem „Kurieru Polskiego” reżyser powiedział, że: „podejmując pracę nad dziełem Sofoklesa chciał usłyszeć dokładnie co do nas mówi Antygona, dotrzeć do sedna jej odwiecznej klótni z Kreonem. W tym przedstawieniu pragnie pokazać proces, jak Kreon staje się władcą mądrzejszym”. W roli Antygony wystąpiła Ewa Dalkowska, Ismeny — Joanna Żółkowska, Królowej — Wiesława Mazurkiewicz, Kreona — Franciszek Pieczka. Scenografię przygotował Jerzy Nowosielski, a muzykę Piotr Moss.

Całkowity dochód z przedstawienia wodewilu „Romek i Julka” zespół warszawskiego Teatru na Targówku przeznaczył na fundusz rewaloryzacji Krakowa.

Realizatorem spektaklu są: Stanisław Fiałkowski (kierownictwo muzyczne), Tadeusz Wiśniewski (reżyseria i choreografia) oraz Małgorzata Treutler (scenografia).

W Pradze trwa XIX Festiwal TV „Złota Praga — 82”. Polskę reprezentują na nim dwa programy TV: filmowa inscenizacja baletowa wykorzystująca tematy muzyczne Karola Szymanowskiego i filmowy dramat PT „Szalona Greta”.

Henryk Morawski (Białobrzegi Radomskie)

Pilica

Córo Wisły
siostró moja
co rok młodszą
pilisz we mnie
prądem rwącym
krwi aortą

Na twych grzbietach
przez stulecia
pędzą woje Czarnieckiego
na przyczółki Magnuszewa pancerne

Białobrzęska i warecka
panno sławna
twoich mostów łuki smukłe
strzałą biją
w moje serce

Relikwia

Polsko
ziemio dumna bez granic
nasza gorączko romantyczna
szaty małości wciąż zdzieramy
lisowczy niepokorni
i odstawiamy pierś nagą
by źródło odkryć
pod łachmanami pychy
ku pokrzepieniu bijące

nasz śnie o Bezgrzesznej
ciągle zdajemy przed Tobą
egzamin wielkości

Matka

Ogrody cudowne Szeherazady tobie otworzy,
pisklęta zmokłe kolebką swych ramion otoczy,
z wojen stuletnich kule pozbiera niedobre,
smoki najgroźsze łatwo dla ciebie poskromi...
i łyż ściągnie, choć płaczesz bezgłośnie —
Matka

Hanna Kaciewicz-Sygiadus (Poznań)

Kartka z życiorysu

Dwadzieścia kilka lat temu
wpisano mnie na listę
szczęśliwie urodzonych

Długo uczono mnie
mówienia i milczenia

W dzieciństwie odkryłam
że mam chorą wyobraźnię

Co noc śniły mi się żyrafy
skubiące koronkę nieba

Moja pierwsza miłość
miała odstające uszy
i naśladowała głosy ptaków

Nikt inny nie potrafił później
odróżnić wrony od gawrona

Ścieżki mojego życia były krótkie
wiodły do śpiewających dolin
i otwartych paszcz wawozów

Chciałam przejść samą siebie
a tu życie przeszło samo siebie

Dwadzieścia kilka lat temu
wpisano mnie na listę
szczęśliwie urodzonych

pod nieszczęśliwą gwiazdą

W cudzych pokojach

W cudzych pokojach
bawimy się w dom
w męża i żonę
w ojca i matkę

kupujemy rekwizyty
pospiesznie stroimy
kuchenne instrumenty
co wieczór
przegrzamy z życiem
kilka setek

w cudzych pokojach
śpi nowa klęska
twarzą do ściany

Kolysanka

Tomkowi

A kiedy
spłoszona sarna
wybiega z twojego snu
otulam cię w ciszę
wszystkich ścieżek domu

Spij —
ta noc
wyszeptana przez trawy
płynie ciemną rzeką
przez palce
a w twojej twarzy
tyle światła
ile w łyż
kropelce

Magdalena Sieroszevska (Łódź) - debiut

Piosenka

Toczyła się sprawa pusta
usta w usta
Ej, czy pusta, czy nie pusta?
Usta w usta

Nie, nie pusta
bo szeptały
dobre słowa ustom usta
Hej, szeptały, hej, śpiewały
słodkie słowa, madrygały
przez noc całą
przez dzień cały
ustom usta

Nocą czarną i w dzień białą
całowały
hej, kochały
przez czas mały
i nie mały
miłowały
usta — usta.

26. IX. 1977

Chciałabym

Przyszedłeś, kiedy walił się świat.
mój świat
Zbudowaliśmy
w nagłym zachwyceniu
wspólne pałace
dom mocny, odporny
Biega w nim człowiek
mały człowiek, lecz rośnie
Chciałabym wydłużyć
wydłużyć w nieskończoność
ten czas
wiem, że to
niemożliwe
wiem
chciałabym

Barbara Janke-Bianek (Pabianice)

Jemiola

Uzbrojona w mięsiste liście
Rośnie jemiola wielopalczysta
Pośród gałęzi jak w gąszczu miasta
Zielona kula wisi obłokiem
Rusza się lekko od wronich wrzasków
Od dziobów ostrych i spojrzeń dzikich

Kłębek się trzyma z drzewem szepczącym
Pod korą wryty, zadomowiony.
Jemiola mocna, zielona
Trwa.

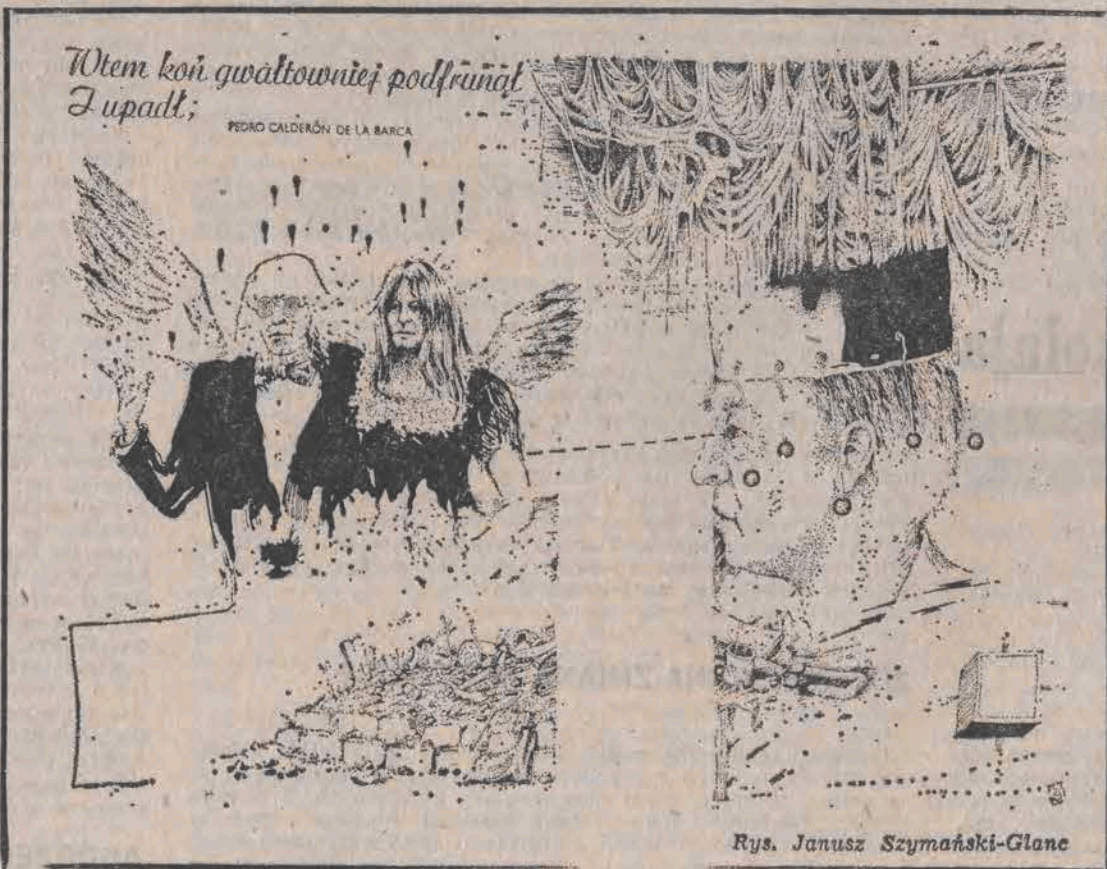
W spróchniałym drzewie.
Wiatr bezskutecznie odrywa kłębki
cienutkich prętów, spiatanych łodyg.
Bezwolne, wiotkie, wplecione w korę
zjadają drzewo zawzięcie włączone,
do krwi, do rdzenia,
obcego drzewa, innego stworzenia

Sowa

Słowa
O
Znowu sowa.
Puchata cisza, zaczajona
W piórach.
Zestrojona w jedno życie.
Widząca, czująca,
W mroku
Ofiarę
Gęstą od lepkiego
Czerwonego soku.

Śmierć

Od niej pachniało pomarańczą,
Do szpiku z promieni.
Sowa z mokrymi, chłodnymi skrzydłami
Wzdłuż ściegien, lotnym puchem oblepi
Szarpata płaszcz nocy.
W płatk drobne, nieprzeliczonych kor
Gwiazd.
Chrześcili cicho pod butami.
Na ścieżce kamienie drętwiały
Od lodowatych wyostrzonych blasków okna
na ogród, na gęstą leśną.
Całą w wiewiórkach i złoconych wróćkach.



Non consummatum albo mitologie artysty

1 HABENT SUA FATA LIBELLI — ta znana sentencja jak żadna inna nadaje się do rozpoczęcia garsci uwag o książce otoczonej legendą na wiele lat przed ukazaniem się. Jak informuje wydawca, powieść Jerzego Andrzejewskiego „ukończona została w roku 1970 i ukazać się miała na rynku księgarskim w 1972”. Legenda, o której wspominam, nie powstała zresztą w latach ostatnich, otacza „Miazgę” już od publikacji fragmentów w październikowym numerze „Twórczości” z roku 1968. W 1979 roku „Miazga” wydawa „Nowa”, zaś w Londynie równocześnie z obecnym wydaniem krajowym pojawiło się pierwsze zagraniczne wydanie tej powieści. Z upływem lat legenda tylko narastała — o niektórych jej składnikach pisze Andrzejewski w swym „Dzienniku” towarzyszącym „Miazdze” — przerażała się w młot Działa Nieznanego.

Myszę, że ambitny ten utwór można nazwać kwintesencją pisarstwa Jerzego Andrzejewskiego, znalazły się w nim bowiem wszystkie istotniejsze motywy, jakie inspirowały autora „Popiołu i diamentu” od pierwszej jego książki „Drogi nieuniknione” (1938). Jednocześnie jest to w dorobku Andrzejewskiego utwór chyba najbardziej dojrzały. Nie tylko pod względem warsztatowym.

Jak pisze Andrzejewski w „Dzienniku” tytuł „Miazga” pojawił się po raz pierwszy w sierpniu 1963 roku — i zwyciężył, nie był bowiem jedyną propozycją. Towarzyszyły mu inne, zaczerpnięte z ludowych porzekadł: „Gorzką pląs”, czy „Ta wierzba jest moja”. Ostatnia propozycja pochodziła ze znanego porzekadła, które autor „Miazgi” przytacza w takiej oto wersji:

Włazi na gruszkę,
trząsł pietruszkę,
cebula urodziła,
on się śmiał,
przyszedł właściciel tego banana
i mówi: „złaz pan z tego kasztana!”
a ta wierzba jest moja.

Pozwoliłem sobie i ja na przytoczenie, bo uważam, że trudno o lepsze streszczenie „Miazgi” — o oddanie jej groteskowej atmosfery, zageszczonych oparów absurdu. Miazga — to po prostu bezkształtność, to swoista forma, w którą włożyć można wszystko jak do tygla. I jest to pierwsze rozumienie TYTUŁU. Drugie łączy się z etyczną degradacją, z zanikiem odpowiedzialności, z zachwianiem moralnego porządku, z zaprzeczaniem ludu serca. I wreszcie rozumienie trzecie: choroba na Polskę, bolesna i nieuleczalna, tak oto odczuwana przez bohatera powieści: „równocześnie do tych szczytów radości uczuć wślizgiwał się lek, że na przeciąg wielu dni zagęścił się dokoła mnie polskość, zarówno ta z kraju, jak i tamta druga: emigracyjna, i owa zagęszczona miazga natarczywie mnie oblegała, zaskakiwała, przewodziła i przysięgała miły lek mi podszepitywał: już i tak, sam na sam ze sobą, jestem dostatecznie chory i z wystarczającą uwieralnością garbem chodzę...” (s. 439). Tytuł powieści Jerzego Andrzejewskiego (prawdę mówiąc nie tylko sam tytuł) nasuwa również skojarzenia z głosem powieści Wacława Berenta „Próchno”, ogłoszona na początku naszego stulecia i dokonująca wiwiseksji ówczesnych środowisk artystycznych. Wybitny krytyk epoki, Ignacy Matyszkowski, pisząc o „Próchno” twierdził, iż spalanie się poszczególnych osobników używać może grunt, na którym dokonuje się ewolucja zbiorowa. Kto wie, może taka interpretacja powieści Berenta odnieść można i do „Miazgi”?

2 Zwłaszcza, że — podobnie jak u Berenta — MITOLOGIE ARTYSTY stanowią istotne problemy utworu Jerzego Andrzejewskiego. Sprzyja mu wyraźnie swoista „polowiczność” ludzi sztuki (czyżby mimowolne powtórzenie Nietzscheańskiego „halb und halb?”), ich niemożność stopienia osobowości w spójną całość, rozdarcie pomiędzy sztuką, życiem prywatnym oraz życiem publicznym. Trzy te domeny nie występują suwerennie — co i raz jedna zastępuje drugą, by znów po jakimś czasie ulec trzeciej. Owa przemienność staje się rytuałem, sposobem istnienia artystów przestających aż do brutalnej szerszości: „w narodowych lamentach i humanistycznych niepokojach” — powiada Adam Nagórski, wybitny pisarz, naczelny artysta „Miazgi” — „mniej się kryje bezwstydu aniżeli w wyznaniu, że kocham się beznadziejnie w ładnej kurwie i z kurwy uczyniłem bóstwo...” (s. 432). Nagórski nie boi się kleski, obawia się tylko śmieśności — zbyt jest doświadczony, by nie wiedzieć, iż artysta dopóki ponosi kleski jest interesujący, przynajmniej jako temat.

Stara ta prawda pozwoliła nadać „Miazdze” charakter AUTOTEMATYCZNY. Powieść przemieniana została z fragmentami „Dziennika”, mówiącymi przede wszystkim o kłopotach, jakie towarzyszyły tworzeniu „Miazgi”. Tak więc proza o prozie stanowi integralną część książki Andrzejewskiego. Nie bez powodu zresztą ulubioną jego lekturą staje się esej Tomasza Manna „Jak powstał Doktor Faustus”. A może jest to również wskazówka, iż Adam Nagórski mógłby

być polskim Faustusem drugiej połowy XX wieku? Reflektuję się jednak, taka konfrontacja raczej nie przyniosłaby Nagórskiemu niczego dobrego. W ogóle niełatwo zorientować się, w jakim stopniu autor „Miazgi” pozwala sobie na szczerść wobec czytelnika, na ile zaś czytelnika tego kocietuje odsłanianiem „złodziejskiego” charakteru pisarstwa, czyli sugestiami na czyj obraz i podobieństwo kształtuje powieściowe postacie, od kogo pożyczka kostiumy, kogo cytuję, z kim polemizuję, z kogo zaś kpi. Te zapożyczenia błędna jednak wobec wzorca najważniejszego: Adam Nagórski ukształtowany został tak, aby nikt nie miał wątpliwości, iż jest to alter ego autora „Miazgi”. W ten sposób powieściowy bohater obrasta w dodatkowe znaczenia. Zatrzymamy się tylko nad tymi, które wyznacza sam tekst powieści. Sposród wielu ról, jakie Nagórski — pisarz wielki — ma do spełnienia, na plan pierwszy wysuwa się rola strażnika ideałów. Ich źródłem jest przede wszystkim tradycja kulturowa narodu, zarówno ta uaktualniona, jak i ta oczekująca ciągle na szersze odkrycie (por. „Mszę za poetę”). W tradycji owej chciałby Nagórski zamknąć się szczególnie, jak w Wieży z kości skłoniwej i z wyżyn jej spoglądać na wszystkie ograniczenia, jakie niesie ze sobą czynne uczestnictwo w życiu. Przeszkadza mu w tym wszelako zapamiętanie w sobie Adam Nagórski to typowy w gruncie rzeczy Narcyz, zdolny do tworzenia najwspanialszych legend miłosnych, pełen tęsknot do wzniosłości, w praktyce zaś nie wykraczający poza przyzwyczajenia erotomana (historia z Nike może być tu wystarczającym dowodem). Mówiąc Narcyz o Nagórskim, nie chciałbym go skrzywdzić jako artysty. W niektórych sytuacjach bardziej przecież pasuje do niego archetyp Ikar. Żyje intensywnie, przenikliwie przylgła się otoczeniu bliższemu i dalszemu, pragnie wyzwolenia z ludzkich ograniczeń, marzy o nieśmiertelności swego dzieła, chciałby dostać Nagrodę Nobla, choć zdaje sobie sprawę z tego, że symbol ten tak niewiele zalatwia. Jego pisarstwo stanowi namietność prawdziwa, najchętniej pisze o sobie, odmładza się ciągle, wracając do swych przeżyć dawno minionych i zamkniętych. Powiada Joseph Conrad, iż „każdy prawdziwy pisarz pisze wyłącznie o sobie” i myśl ta wyczerpuje również twórcze doswiadczenia Adama Nagórskiego; od autoafirmacji przechodzi do autozwątpienia, i gdy już ma się skończyć jako pisarz — na nowo eksploduje talentem. Jest więc niewolnikiem swego zawodu czy raczej swego wyboru (w eseju pt. „Nie cofa się ten, kto zwlaźał się z gwiazdą” zostało to określone w sposób o wiele bardziej subtelny, jest tam mowa o ustawicznym doskonaleniu się Nagórskiego). A więc mit pisarstwa jako nieuleczalnej choroby? Chyba tak, wszelako z wiarą w ostateczne wyzdrowienie.

Na podstawie Nagórskiego jako artysty zaważyła bez wątpienia świadomość, iż sztuka pełna godności od zwykłego kuglarstwa dzieli już tylko jeden krok (uzmawiała to zresztą pożałowania godna postać pisarza Orlika). Na dobrą sprawę męczenników sztuki w „Miazdze” jednak nie spotykamy — jeśli pojawiają się męczennicy, są to zazwyczaj ofiary takich czy innych układów zewnętrznych i personalnych. Nie spotykamy ich może przede wszystkim dlatego, że w powieści Jerzego Andrzejewskiego następuje swoiste demaskowanie sztuki, obnażenie immoralności, sprzeciw wobec przedmiotowości. Wybawienia przez sztukę nie będzie, prometeizm artysty został przecież nieodwołalnie skompromitowany dość dawno temu. Tak więc w ostatecznym efekcie mitologie artysty zyskują przewrotnie usprawiedliwienie — wbrew założeniom służą przecież przybliżeniu prawdy — wywlekają na światło dzienne możliwe wiele ograniczeń kordy współczesnego człowieka sztuki, nawet jeśli przedstawia je artysta spełniony. Jak dalece notabene autorowi „Miazgi” na owym usprawiedliwieniu zależało świadczyć może przytoczony pod koniec powieści odpowiedni fragment Ewangelii według św. Jana.

3 „Miazga” została mocno osadzona w polskiej tradycji literackiej. Oto ogrywa się w niej jeszcze jedno WESELE, wesele nieprawdliwe, sfingowane, od początku niemożliwe, przedstawiane w trybie przypuszczającym, z wielkim finałem, który najwziewniej określić można jako NON CONSUMMATUM. W polskich wesełach literackich prawdziwa to rzadkość, aby tak wyraźnie podkreślać służebny, pretekstowy charakter imprezy weselej, pozwalającej zgromadzić w jednym miejscu o jednej porze poddawanych wnikliwej obserwacji przedstawicieli społeczeństwa, którzy — jak pisał Wyspiański — „strasznie polskie robią miny”. W powieści Andrzejewskiego przedstawiciele owi rekrutują się ze sfer intelektualno-artystycznych oraz rzadowych. Stąd obok sztuki w niemalym stopniu zajmuje go polityka, rozumiana nie tyle w sensie potoczny, ile raczej jako zastawka — lecz ciągle przecież odwołujący — zespół polskich mitów, uprzedzeń, urazów, nadziei. Ilek smakowitości może w tym względzie dostarczyć rozdział pt. „Intermedium, czyli Polskie życiorysy”, zarówno w warstwie

rzeczowej, jak i w zakresie stylistycznych subtelności. Wzbogaca ono pozostałe fragmenty powieści typowo polskimi realiami.

Wesele pary aktorów, do jakiego w „Miazdze” nie doszło, odbyć się miało w nocy z 19 na 20 kwietnia 1969 roku. Stąd też większość politycznych konstatacji dotyczy lat 60 (ale nie tylko). Autorowi zależało zresztą wyraźnie na sprowadzeniu decydentów (jak mawiano w dziesięcioleciu następnym) do wymiarów prywatności, a nawet intymności. Poprzez pokazanie kto, z kim, kiedy, dlaczego stwarza „świat pijany, świat pijany, cały świat zaczarowany” polityków, działaczy, aktorów, muzyków, pisarzy, dziennikarzy, naukowców, etc. Jak kaduceuszem maci kadz tego narodowego (a może tylko stołecznego) establishmentu i wychwytuje najrozmaitsze powiązania, zawłoki, przyjaźnie, nienawiści itd. itp. — aż mu się „rzęca do gardła ta duża wesołość narodowa”, jakby powiedział najlepszy w naszej literaturze specjalista od wesela — Stanisław Wyspiański. Ale o tym trudno pisać, to trzeba po prostu przeczytać.

Jakkolwiek w żadnym stopniu nie traktuje tego pisarz w sposób odkrywczy, wiele spraw usiłuje przedstawić przy pomocy motu zaczerpniętego z monografii Richarda Friedenthala o Goethe: „pod naszym moralnym i politycznym światłem ciągną się podziemne korzenie, piwnice i kloaki”. Brzmi to bardzo efektownie i z tego powodu przytoczył Andrzejewski wypowiedź wielkiego poety niemieckiego zawartą w liście do pisarza i pastora Levatera. W rzeczywistości cała polityczna demistyfikacja (w tekście powieści, nie w komentarzu przekazanym przy pomocy „Dziennika”) sprowadza się do odsłaniania kulis „republik koleżków” — jak mawiano kiedyś we Francji. Zastępowała dla zgromadzonej na przyjęciu wesełnym w Jablonie elity staję się zabrzany przypadkowo z ulicy wprost na przyjęcie pijany urzędnik z przystanku do stolicy z głębokiej prowincji, wypiszywał sympatycznie-turpistyczne postać rodem z rysunków pana Krauzego. Krytycznie nastawiony wobec władzy (a jednocześnie łatwy do skompromitowania wskutek seksualnych dewiacji) młody filozof Ksawery Panek bezskutecznie poszukuje społecznego lepszego, jakiegoś spoiwa, które mogłoby uczynić ze społeczeństwa skalny monolit. Lecz czy to nie przesada z tym monolitem, z jakas „moralno-polityczną jednością”? Chyba, że mamy tu do czynienia z głęboko skrywaną ironią, na którą niewątpliwie stać autora „Miazgi” — wędrującego poprzez ideologie, rzucającego kolejne skóry, wiecznie poszukującego, a przy tym skłonnego do imitacji i mitologii.

4 Powróćmy raz jeszcze do Adama Nagórskiego. Oto fragment dialogu, jaki wiedeń on z żoną dygnitą: — Naprawdę myśli pani, że pisarz musi rozumieć więcej niż mi? — Ależ tak! Gdyby nie rozumiał więcej, po co by pisał? — Czasem może dlatego, żeby powiedzieć że nie rozumie? (s. 87)

Dodajmy do tego programową niejako wypowiedź umieszczoną w „Dzienniku”, z której wynika, iż pisarstwo wcale nie ma służyć porządkowaniu życia, wręcz odwrotnie — komplikacji, pokazywaniu życia trudniejszego i cięższego niż się to większości ludzi wydaje. Stanowiska tego nie należy jednak traktować jako rezygnacji, ani deklaracji zwycięstwa sił ciemnych w człowieku. Przystępując do pisania „Miazgi” Andrzejewski nie wybierał się przecież w „Podróż do kresu nocy”, chciał być raczej tym, który nie w chorze...

Uznałem „Miazgę” za kwintesencję pisarstwa Jerzego Andrzejewskiego. Kontynuuję w niej pisarz dyskurs z sobą samym i ze współczesnością. Tyle tylko, że współczesność zaczyna się niepokojąco rozrastać, powiększać o czas odległy, i zmierza ku jakiejś uniwersalizującej wizji postaw tragicznych, targanych sprzecznościami samej natury ludzkiej oraz rzeczywistości, w jakiej bohaterom Andrzejewskiego przyszło bytować. Wyróżnikiem owego tragizmu staje się po prostu NIESPEŁNIENIE. W końcu wesele i nie tylko wesele „non consummatum” niczego innego nie wyraża.

W eseju o „Artyście i jego epoce” Albert Camus napisał, iż sztuka nie jest ani totalną niezgoda, ani zgoda na realność. Myszę, że podobnie jest z „Miazgą”: nie jest ona w stanie przekreślić realności, może natomiast poddawać ją w wątpliwość.

Pora zatem na pointę. Od kogo ja zapożyczyć, jeśli nie od Wyspiańskiego? *My jego znamy połowę o sobie — kłóć resztę wie —?* Nawet po przeczytaniu „Miazgi”.

J. Andrzejewski, „Miazga”, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1982, nakład 20.000 + 315 egz., s. 525, cena zł 180.



Foto: J. Neugebauer

Do Mirosławy Marcheluk aktorki, list prawie że miłosny...

Mirosłavo, Mirko Droga, wiesz przecież doskonale, że niemal zawsze kocham Cię będącą na scenie, cholernie lubię prywatnie, a Ty w zamian — o czarna, kobieca niewdzięczności — wpadasz nagle na pomysły, aby po latach od samego wydarzenia naskarżyć na mnie publicznie przed całą Polską w wywiadzie udzielonym red. Elżbiecie Królikowskiej („Film” nr 11 z czerwca br.).

Wspominając pracę nad rolą Anny Boleyn w „Henryku VIII” Szekspira, polskiej prapremiery tej sztuki zrealizowanej przez Jerzego Gólińskiego na scenie Teatru Nowego, poviadasz:

„Z tą właśnie rolą związana jest taka historia: recenzję za spektaklu pisał Jerzy Panaszewicz. Była dobra, z jednym — wszakże wyjątkiem — „absolutnie nie do przyjęcia Anna Boleyn Mirosławą Marcheluk”. W kilka lat później ukazał się artykuł tego samego autora, który tak oto komentuje przedstawienie i swoją ocenę sprzed lat: „Z biegiem lat zacierają się cały spektakl, z wyjątkiem jednego — Anny Boleyn, która nabiera coraz silniejszych barw. Okazuje się jednak, że była warta głowy kardynała Wolseyja”.

Cytaty są oczywiście niezbyt ściśle, trudno jednak żądać, aby ktoś moich recenzji na pamięć się uczył; sam dogrzebywałem się do tekstów po redakcyjnych archiwach. Sens się wszakże zmienił równocześnie, moral ułotnił, bo jeżeli — przyjmujemy — pomyliłem się w ocenie Twojej roli, to Ty mimo wszystko źle odczytałaś, co właściwie miałem do powiedzenia.

Przed wszystkim: myślę się niestety dość często, wśród nielicznych zalet mam jednak tę, że się chętnie — i to publicznie — do błędów przyznaję. Śmiałem kiedyś nawet napisać, że jeżeli młoda aktorka w dniu debiutu otrzyma ode mnie bardzo złą recenzję, to niemal z całą pewnością na gwiazdę potem wyrośnie... Są w Łodzi — prócz Ciebie, Mirosłavo — przynajmniej dwie artystki, które rad oglądam na scenie dla nich samych, niezależnie od tego, w jak zle i w jak lichu zrealizowanej występują sztuce. Wspaniała Ewa Mirowska „zjechałem” — i upiaram się, że poniekąd sulsznie — za łódzki debiut w scenicznym adaptacji „Wiernej rzeki” Żeromskiego; kolejna moja sceniczna miłość (jak widać jestem kochliwy, niestety...) Małgorzata Rogacka-Wisniewska, z którą w życiu zresztą pół słowa nie zamieniłem, zeżłila mnie okrutnie podczas dyplomowego spektaklu „Pierwszego dnia wolności” Kruczkowskiego. Dziś, z perspektywy czasu, wiem nawet, na czym błęd polegał: otóż obie panie już wówczas dysponowały bogactwem aktorskich środków, z braku doświadczenia — bądź reżyserskiej kontroli — zastosowały je jednak w nadmiarze, mówiąc żargonem nagraly się tak, że „kubami ze sceny można było wylewać”. Oceniając ogólny efekt nie umiałem dostrzec drzemających w ówczesnych debiutantkach możliwości, ale nie ja jeden tak się pomyliłem. Panią Małgorzatę wraz z mną oglądał pewien bardzo znany i z pewnością doświadczony reżyser, chciał ją zaangażować, ale się rozmyślił, potem załował, było już jednak za późno. Nazwiska nie wymieniam, nie chcę bowiem osób postronnych do sprawy mieszać, zainteresowana domyśla się jednak pewno, o kim mówię.

Po tej samokrytycznej dygresji wracam do Anny Boleyn. Sprostowanie pierwsze: recenzja była kwaśna. (...) Jednak mimo całej teatralnej magii wspartej frapującą muzyką Marka Wilczyńskiego — pisałem — i ogromnego wysiłku zespołu, przerabiana prapremiery sztuki nie prowadzi chyba zbyt daleko.

O Annie zaś: „...generalnie zakwestionuję jedynie rolę Mirosławy Marcheluk. Po co to wyrażać wysilenie, manieryczne wybijanie niemal każdego słowa, przesada? Rozumiem, że Anna Boleyn ma być obłudnicą, dlatego jednak aż wiedziam — jakby aktorka zawierzyła przyszłemu scenariuszowi krwawych wydarzeń”.

Komentarz dałem w dwa lata później, w krótkim skłiku „Romenilla z grzesznego snu” (lutowy numer „Kalejdoskopu” z 1976 roku). Pisałem o Annie:

„Gdy recenzowałem spektakl nie podobala mi się ta rola, kwestionowałem manieryczność, z jaką aktorka wybiła poszczególne słowa, zauważając, z jaką podkreślała obłudę bohaterki. Być może nadal byłbym się przy tym upierał, lecz ze zdumieniem stwierdzam, że choć samo przedstawienie coraz to bardziej zacierają mi się w pamięci, Anna nadal rysuje się wyraźnie, niepokojąca, warta pożądania, warta głowy kardynała Wolseyja.

I nie ma w tym sprzeczności, w intensywnym aktorstwie Mirosławy Marcheluk jest bowiem zawsze jakiś ton własny i nowy, atakujący naszą uciążliwość, zmuszający do napięcia uwagi. Możemy zgadzać się bądź nie zgadzać z użytymi środkami, zgadzać bądź nie zgadzać z odczytaniem roli, lecz nie możemy być obojętni. Jak widać frwalem przy swoim, może się myli, może nie, ale to zupełnie co innego kwestionować koncepcję, a co innego — kwestionować robotę. To prawda, Mirko, że konsekwentnie przeprowadziła swój aktorski zamysł, ale podczas premiery miałem ochotę wleźć na scenę, lekko Cię podusić i zawrzasnąć: „Do diabła, dlaczego ciągniesz w tę stronę właśnie?”

A Ty, czytając po latach mój tekstik późniejszy, mogłabyś odpowiedzieć: „Abyś mnie zapamiętał, balwantie jeden!”

No i zapamiętałem. A teraz, po tej wymianie grzeszności, dodam — za red. Królikowską zresztą — żeś trochę kocieteryjła, bo w bardzo skądinąd ciekawym wywiadzie nie, tylko opowiadałaś, jaka byłaś brzydka i gruba zdając do szkoły aktorskiej, a potem dodajesz bezlitośnie:

„Skoro jestem osobą brzydką, nie pozostaje mi nic innego, jak zaakceptować ten stan rzeczy...”

Otóż „nie polega to na prawdzie”, jak zwykło się w takich przypadkach wytwornie powiadać.

Nie wiem, jak wyglądałaś zdając, poznałmy się, gdy już szkołę teatralną skończyłaś, na łódzkim „deputku” czyli Piotrkowskiej. Szedłem z Jurkiem Waldenem — Twoim wykladowcą, jeżeli się nie mylę — Jurek zawołał „O, Mirko!”, zaczęliśmy zobaczyć rudawie stworzenie, wcale interesujące. Zamieniłście słowa parę, potem Jurek długo mi opowiadał, jaka to jesteś zdoła.

A dużo, dużo później, cytowany już artykuł „Romenilla z grzesznego snu”, zacząłem tymi słowami:

„Ma niski, bardzo pięknie brzmiący głos, ze sceny zaś — jeżeli chce tylko — potrafi promieniować niepokojącą, jakby trochę seina, leniwie zmysłową urodą...”

I choć możecie mi, mileńkie, odmawiać recenzenckich kompetencji, nie zmienię do faktu, że wszelkie ustalenia na temat kobiecej urody między paniami dokonywane, wtedy dopiero nabierają urzędowej mocy, kiedy je plec brzydka potwierdzi. Przeto gdy Ja Mówię (tu „Trans-Atlantyk” Gombrowicza zaczytowałem), że kobieta ma w sobie „coś”, to Mówię i tu stawiam bezlitośnie apodyktyczną, przecinając wszelką dyskusję, ostateczną kropkę.

Sciskam Cię, Mirko, serdecznie.

Twój
JUREK P.

Dokończenie ze strony I

— Nabywca jest więc wtedy zobowiązany zwrócić obraz właścicielowi, ale ubezpieczenie mu nie przepada, mógł bowiem nie wiedzieć, że nabywa obraz skradziony. Z kolei więc towarzystwo poclaga do odpowiedzialności pośrednika, jeśli go znajdzie, a ten może „sypnąć” złodzieja i ktoś tam zwykle „idzie siedzieć”.

— Co sobie zapewne w kalkulował w ryzyko zawodowe, jeśli nie jest nowicjuszem. Ale czy to dzięki tym właśnie okolicznościom łódzkie obrazy zostały odnalezione?

— Dzięki nieco innym, jak wynika z prasy, ponieważ domniemani sprawcy kradzieży, chcąc upłynnić część łupu przez sprzedaż na aukcji w Monachium, a potem bezpośrednio jednemu z kolekcjonerów, który zwrócił się do ekspertów, popełnił jednak błąd, wskutek czego sprawa trafiła do policji, a ta odnalazła dzieł z czternastu ukradzionych dzieł. Taki mniej więcej przebieg wydarzeń można by sobie odtworzyć na podstawie dotychczasowych niezbyt ścisłych przekazów.

— Może więc z czasem dowiemy się całej prawdy, również i tego czy w samym akcie kradzieży, a potem w pośrednictwie brał udział „fachowiec” czy „dyletanci”. W każdym razie mamy już nasz łódzki przyczynę do ogólnych prawidłowości, które pan przedstawił.

— Nieraz też złodziej będący w tej branży nowicjuszem nie zdaje sobie sprawy z tych wszystkich uwarunkowań i robi fałszywe kroki. Bywa więc, że nie mogąc znaleźć nabywcy, anonimowo odsyła skradzione dzieło, jak to było z Tycjanem w Krakowie.

Łatwiej ukraść niż sprzedać

— Czy jednak kradzieżom dzieł sztuki, które u nas zdarzają się bodaj najczęściej w kościołach, nie sprzyja brak należytej ochrony? Jak powinien funkcjonować możliwie doskonały system ochronny?

— Zgodzi się pan, że celem naszej rozmowy nie jest instruktaż dla panów złodziei...

— Ależ wiadomo każdemu, że można przebić ścianę z sąsiedniego budynku lub przestąpić się strychemi czy przez dachy i opuścić na linie do niestrzeżonego okna, że można się podkopać z sąsiedniej posesji, np. z jakiejś opustoszałej szopy. Miałbym jeszcze parę pomysłów...

— Zgoda, ale jeśli chodzi o włamanie, to wszystko jednak zależy od funkcjonowania alarmowych instalacji, które bywają ogromnie kosztowne, a przede wszystkim od organizacji dozoru, sprawowanego przez wyszkolonych ludzi. Nie wnioskując w szczególności o to, żeby uzbrojony strażnik znalazł się natychmiast w zagrożonym miejscu. Myślę, że obecnie system ochrony przed włamaniem jest w naszej placówce zadowalający.

— Można więc spać spokojnie?

— Spać można, z wyjątkiem tych, co muszą czuwać, ale własnie noc jest teraz w naszym muzeum najbardziej niebezpieczna. Oczywiście i w dzień czuwamy. Kradzież zresztą nie wyczerpuje listy niebezpieczeństw zagrażających muzealnemu zbiorom. Jest jeszcze groźba pożaru, zalania wodą z pękniętych rur, są szkodliwosci chemiczne ze strony skażonej atmosfery...

— Może więc jeszcze parę słów o tych innych niebezpieczeństwach. Jakże warunki należałyby spełnić dla osiągnięcia ideału bezpieczeństwa, oczywiście w granicach możliwości?

— Bezpieczeństwo naszych zbiorów, nie mówiąc już o funkcjach ekspozycyjnych i popularyzatorskich oraz warunkach pracy personelu, zależy w decydującej mierze od warunków lokalowych. Ze względu na dużą ilość drewna i innych materiałów łatwopalnych zbiory są narażone na ogień. Nasz gmach, jak wiadomo, tylko adaptowany do celów muzealnych, nie stwarza warunków do zaistnienia nowoczesnych systemów ostrzegania przeciwpożarowego. Wyjście byłoby jedno. Nowy, luźno stojący, specjalnie zaprojektowany i solidnie wykonany budynek zapewniłby naszym cennym zbiorom należyte bezpieczeństwo. Zdażę pan sobie sprawę, jak odległa ta perspektywa.

— Wróćmy jednak do tego, co się stało. Ciekaw jestem, jakie bezpośrednie kroki, zmierzające m. in. do stwierdzenia obecnego stanu skradzionych obrazów poczyniło Muzeum Sztuki? Czy są one w odpowiednich warunkach?

— Cała sprawa leży w gestii polskich organów śledczych Ministerstwa Kultury i Sztuki, które przejęło bezpośrednią inicjatywę sprowadzenia obrazów.

— Ale co Panu oświadczył jest wiadomo o obecnym stanie odnalezionych dzieł?

— Niestety, nie mi nie jest wiadomo i sędzę, że konieczne byłoby nauce zapoznanie się ze stanem zachowania obrazów.

— Dziwi mnie, że to jeszcze nie nastąpiło, ale rozumiem, że nie od Pana to zależy. Tymczasem więc łączymy się z Panem Dyrektorem w zgodnym westchnieniu: od powietrza, wody, ognia i panów złodziei... No i chyba od biurokracji także?!

Rozmawiał: JERZY KWIECINSKI

Zastanawiam się: o czym pisałby krytycy, gdyby na naszych ekranach zabrakło „Czasu Apokalipsy”? Ogórkowatość sezonu sięgnęłaby wtedy dna. Rozpalona wyobraźnia podsuwa apokaliptyczne wizje: z braku tematu znika z takim trudem wskrzeszony ostatni bastion — tygodnik „Film”. Z dnia na dzień przestają istnieć recenzentki enkliwy w gazetach, tygodnikach, miesięcznikach. Pozostaje „ziemia jałowa”.

Na szczęście w tej bylejakosci, niejakoś (jak długo jeszcze?) obecnego, kinowego repertuaru ostał się Francis Ford Coppola. Na sławę i chwałę recenzentów, ku zadowoleniu publiczności, która tłumnie wali do kina, nie bacząc na nowe ceny biletów (najdroższe miejsca w Baltyku kosztują dziś stówę).

Czy zawodowi „oceniace” i przeciętni, codziennie widzowie oglądają ten sam obraz? — śmiem wątpić. Prywatna anketa, która przeprowadziłem wśród publiczności jednego wieczornego seansu „Czasu Apokalipsy”, jest filmem, przysługującym wpisany w realia wojny wietnamskiej.

Tymczasem krytycy morza atramentu wlewają na analityczne porównania filmu z jego literackim pierwowzorem (?) „Jadrem ciemności” Josepha Conrada, stwierdzając, że zaletą, iż w utworze Coppola tak niewiele zostało z powieści — podórę w głąb rzeki, postać Kurta i kilka drugorzędnych rekwizytów. Z drugiej zaś strony ucieka się do takich pojęć jak: „zarazenie wojną ludzką osobowością” czy „demistyfikacja kultury”, doszukując się wielkich wartości psychologicznych i filozoficznych. Czy punkt widzenia unać za własny? Z kim się zgodzić, z kim zaś polemizować? Skłonny jestem przyjąć za własną opinię ludu, a nie elity.

Publiczność, w moim odczuciu, nie myli się: Coppola posługuje się starymi, jak literatura motywami, w celu zbudowania atrakcyjnego, także przez swą współczesność, okrutnego przygodowego widowiska od 18 lat. Wykorzystanie przez reżysera

Prosto z kina

Widowisko „potwornością” podszyte

klasycznego wzorca jest wprost uderzające. Bohater — człowiek do specjalnych zadań — kapitan Willard (gra go Martin Sheen) — zostaje przez dowództwo obarczony tajną misją. Ma zabić kompromitującego amerykańską armię pułkownika Kurta, który zdezerterował i gdzieś w głębi kambodżańskiej dżungli stworzył „demoniczne” oparte na zbrodni i gwałcie małe królestwo. Willard w wojskowej kanonierce wyrusza w górę rzeki, aby, doświadczając po drodze wielu przygód, w końcu dotrzeć do celu i wykonać zadanie. Typowy motyw utworu przygodowego — długa, obfity w różnorakie niebezpieczeństwa wędrówka bohatera uwikłanego w tajemniczą misję — tworzy podstawowy element struktury filmu. Dobrze, lecz czym zatem jest cała mistyczna reszta „Czasu Apokalipsy”?

Blaga, „potworna” blaga mająca rozładować kompleksy Coppola — sprawnego hollywoodzkiego rzemieślnika od atrakcyjnych historyjek, uzurpurowanego sobie prawo do miana amerykańskiego Felliniego czy Antonioniego, kompleks europejskiego kina intelektualnego. Stąd nie w pięć ni w dziesięć Conrad w samym centrum wietnamskiego piekła. Pytanie tylko po co? Stąd bełkotliwa i nijaka psychologicznie postać Kurta (Marlon Brando). Film (...) tworzy Wielkiego człowieka — przy czym wielkość ta sugerowana jest wyglądem, cechami fizycznymi, sposobem pokazania. Duża głowa osadzona na byczym karku, władca twarz z

charakterystycznym układem brwi i ust, ostry, zimny wzrok. Kurta widzimy niemal wyłącznie w wielkim planie (...), w ciemnym wnętrzu, samotnego w swej wielkości. Mówi krótkimi, ostrymi jak nóż zdaniem, ale powoli, głębokim głosem. Kurta wnosi atmosferę monumentalności, dziwnie powolności, nieograniczonej samotności i spota tego nie widać — człowieka. W próbie trafia zdanie narratora: „nigdy nie widziałem człowieka bardziej rozdartej między dobrem a złem”, gdyż nie jest poparte najmniejszym obrazem”. Wykrajającymi poza sferę zrozumienia przez amerykańskich przełożonych, działaniami Kurta kieruje „potworna” natura.

Kurta nudzi się stabilnym amerykańskim, rodzinny życiem i ciepłą wojskową posadką, dającą szansę na niebywały awans. Rzuca wszystko i szuka mocnych wrażeń na wojnie. Ale wojna rozczarowuje go, jest schematycznie okrutna w ciagle odtwarzanym rytuale zabijania i absurdu nie głupia, dezorientuje i tworzy, jako władca — bóg królestwa śmierci, po to żeby nadać swemu życiu jakiś sens, żeby przezwyciężyć egzystencjalną nudę. Ale „potworność” rozczarowuje się. Wychojony na amerykańskiej kulturze masowej może jedynie ją zanegować, kontynuując okrutny rytuał zbrodni. Na nic innego po prostu go nie sta. Przerazony własną ograniczonością, śmierć, zdana mu przez Willarda, przyjmuje, jak wybawienie. Tylko tyle — mistycyzm postaci pułkownika sta-

Sam się lansuj czyli o co mi chodzi?

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

piszących słowa śpiewane później w piosenkach, będziemy nadal narażeni na pewne nazewnictwo lekceważenie.

Trochę zagalopowałem się w tych rozważaniach, a przecież zamierzałem — po wyjaśnieniu niektórych spraw związanych z procesem tworzenia piosenki — przedstawić dalszą drogę utworu już gotowego nim dotrze on (jeżeli dotrze) do słuchacza. Jaka to droga? Przede wszystkim piosenka — zgodnie z tym, co mówiłmy wcześniej — jest gotowa tylko pozornie; jej tekst został zapisany w formie maszynopisu lub choćby rękopisu, zaś muzyka — w formie prymki czy też fortepianówki, o której najczęściej nie można się doprosić kompozytora, albo nagrać na kasecie. Ale przecież, jako się rzekło, piosenka przeznaczona jest do wykonania i to jest ostateczny etap wypowiedzi artystycznej jej twórców. Toteż potrzebny jest wykonawca. Często spotykam się z pytaniem, czy piosenkę pisze się specjalnie dla określonego wykonawcy, czy też później „dopasowuje się” wykonawcę do piosenki? Bywa rozmaicie. Niekiedy nie po prostu piosenkarz zwraca się do autora o napisanie tekstu, innym znów razem autor zakłada sobie, że w przyszłości jego tekst będzie śpiewał ten właśnie a nie inny piosenkarz. (Podobnie rzecz ma się w przypadku kompozytora). Ale zdarza się, iż piosenka pisana bez określonego „przypadku” spoczą się jako propozycja jakiemuś wykonawcy i wówczas z nim kojarzyć się

współczesne pastorałki, okazało się, iż właśnie ten tekst będzie odpowiedni. I znalazł się na płycie.

Nie brakuje w tym wszystkim również pomysłów i niezgodności. Niekiedy nie dochodzi, z tych czy innych powodów, do wykonania piosenki przeznaczonej dla jakiegoś solisty czy jakiegoś zespołu; niech właśnie. Więc jeśli tekst i muzyka są wartościowe, biorą te piosenki inni wykonawcy. W ten sposób postąpiliśmy niejednokrotnie w spółkach z różnymi kompozytorami. Dość powiedzieć, że np. sam tekst piosenki „Moja Wenus” powstał na zamówienie szefa zespołu „Happy End” a nagrany został w parę lat później przez Jana Wojdaka i „Wawele”, przy czym muzyka skomponowana została zupełnie przez innych ludzi, niż to sobie zamierzeliśmy przystępując do pracy.

Jeżeli mamy już wykonawcę i zamierzamy on nagrać naszą piosenkę pozostaje jeszcze jedna, a bardzo istotna kwestia, którą jest aranżacja utworu zwana potocznie „aranżem”. Myślę, że większość czytelników zna ten termin — jest to tworzenie instrumentacji piosenki, czyli stworzenie obrazu muzycznego przy pomocy wprowadzenia poszczególnych instrumentów i wyznaczenia im określonych zadań podczas nagrywania utworu. Zarówno sprawa aranżacji, jej roli i wynagrodzeń dla aranżerów, jak i problemy techniczne związane bezpośrednio z zarejestrowaniem piosenki na taśmie magnetofonowej, to tak rozległe zagadnienie, że trzeba będzie odłożyć je na kiedy indziej, dziś tylko je sygnalizując.

A tymczasem pozostawiam przez chwilę przy sprawie innej rejestracji — mianowicie rejestracji utworu w kartotece Stowarzyszenia Autorów ZAIKS. Dokonują tego autor i kompozytor w przypadku piosenki, która jest utworem łącznym. Co to znaczy? Jest to „dożywnienie” małżeństwa tekstu z muzyką, których w myśl prawa autorskiego rozdzielić nie można. Podstawową trudność — jeśli już nakłoni się kompozytora do sporządzenia fortepianówki (czyli głos z fortepianem) — stanowi fakt istnienia w ZAIKS tzw. rejestracji tytułowej. Polega to w konsekwencji na ograniczeniu autorom możliwości nadawania utworom zamierzonych przez siebie tytułów. Jeżeli dla przykładu ktoś wcześniej zarejestrował tytuł „Świat się na tym nie kończy”, to ja — mimo, że zastosowałem w piosence śpiewanej przez Ewę Śnieżanek — identyczny brzmienia szlagwort, nie mogę jej zarejestrować w ZAIKS pod tym tytułem. Odnosił mi kiedyś Ryszard Poznański, że anegdota stała się zarejestrowanie jednej z piosenek umieszczonych na pierwszym solowym longplayu Krzysztofa Krawczyka. Piosenka miała się nazywać „Hej dziewczyno”, ale okazało się, iż taki tytuł zarejestrował już Czesław Niemcewicz, rozszedłszy go więc na „Hej, dziewczyno, powiedz mi”. Ale i ten tytuł ktoś wcześniej zarejestrował. Koniec końców wspomniana piosenka nosi — przynajmniej w kartotece — tajemniczy tytuł: „Hej, dziewczyno, powiedz mi, gdzie twych oczu ogień”.

Idąc tedy nieco na skróty, osiągnęliśmy w naszych rozważaniach nad narodzinami i żywotem piosenki następującą sytuację: autor napisał tekst, a kompozytor muzykę — mamy więc piosenkę, którą aranżuje aranżer, a później nagrywa wykonawca, korzystając z pomocy reżysera dźwięku. W ten oto sposób na szerokiej (wielosładowej), a potem — na wąskiej (już po zgraniu) taśmie magnetofonowej odtwarzanej z szybkością 38,1 cm/sek., posiadamy efekt pracy całego sztabu ludzi, wśród których rolę wiodącą odgrywają — mimo wszystko — autor i kompozytor, bo to w końcu oni stworzyli tę piosenkę, a firmuje ją także swym nazwiskiem wykonawca. Teraz pytanie zasadnicze: czy stanie się przebojem?

Przebojem — to słowo w rozrywce magiczne, to hasło, które przetrząsnęło do innych dziedzin życia. I my spróbujemy podjąć ten temat, choć może nie za dziś.

nowi jedynie najistotniejsze ogniwo tajemniczego świata, do którego trafia, żeby przeżyć swą ostatnią przygodę, kapitan do specjalnych zadań. Przygodę szczególną, finałową, najbardziej zapadającą w pamięć — czy na pewno?

Prywatna anketa, do której jeszcze raz się odwołam, wykazała, że widzowie skłonni są rozpałmić raczej inny epizod — atak szwadronu smigłowców — kawalerii powietrznej pułkownika Kilgore (Robert Duvall) na wietnamską wioskę, porażający umysł reportaż ze współczesnego pola walki. „Hej, ja muszę tkwić w człowieku, jeżeli zdolny jest on do wytrwania tak potężnych, nowoczesnych machin służących do zabicia innego człowieka” — zadumała się jedna z moich rozmówczyń.

A sam pułkownik Kilgore, miłośnik surfingu i Wagnera, ostatecznie noszący kapelusz kawalerzysty z czasów wojny secesyjnej, „silny mężczyzna”, dla którego wojna jest miejscem wyzwania się, spotkania twarzą w twarz ze śmiertelnym niebezpieczeństwem. On po prostu to lubi — wojnę, mocne wrażenia, zabijanie. Najbardziej lubi zapach napalmu o poranku, pachnie on zwycięstwem” — stwierdza. Przerazający w swym cynizmie (walka to praca, którą trzeba dobrze wykonać), codziennym okrucieństwem maskowanym powierzchownym humanitaryzmem (mężczyzna z wodą ofiarowaną śmiertelnie rannemu żołnierzowi Wietkongu). Demoniczny bóg wojny, która toczy się naprawdę, jakże bardziej przekonujący od wudumanego pułkownika Kurta z baśniowej krainy okrucieństwa.

PAWEŁ STRZELECKI

* Mirosław Przyłipiak „Apokalipsa” przed progiem wielkości, „Kino” nr 3 1981 s. 34.

Igraszki czasu

Cykl ten — na dwa, trzy co najwyżej zamysłony artykuły — niepostrzeżenie dla samego autora rozrastać się zaczął, wciąż nowe i nowe nadchodzić bowiem zaczęły impulsy. A to ukazał się poświęcony w całości fantastyce najświeższy numer „Literatury Radzieckiej”, który za tydzień omówimy, a to znów telewizja pokazała dość chyba interesującą adaptację powieści Boba Shaw „Człowiek z dwóch czasów” w reżyserii Laco Adamika.

Piszę „chyba”, gdyż rzecz za-interesowała moją żonę — osobę raczej serioznia, literaturę SF nie zabawiającą się ani trochę — sam natomiast, powieści Shaw'a nie znając, bardziej zajmowałem się anatomią utworu, aniżeli spektaklem, o którym w rezultacie mało mam do powiedzenia. Do tekstu natomiast — już przykrojonego do potrzeb telewizji — zgłosiłbym wszakże parę uwag.

Shaw zrobił rzecz bezspornie rzeczna, dość udatnie nie-szając gatunki chwytliwe: powieść kryminalną z pseudo-trójkątem małżeńskim, zaś katastrofę kosmiczną zagrażającą Ziemi z przemieszczeniem się bohatera nie tyle w czasie, ile z jednego do drugiego „równoległego” świata.

Powieść kryminalna, no, wiadomo: mamy trupa, mamy detektywa, mamy podejrzanego i teraz pozostaje pytanie, czy podejrzanym jest ten, który rzeczywiście zabił, nadto w jaki sposób detektyw doprowadzi do rozwiązania zagadki. Katastrofa kosmiczna — a raczej jej wyjaśnienie, gdyby bowiem na Ziemi pojawił się nie jeden Braden, a cały pułk ufanów księcia Józefa, niczym by to „połu grawitacyjnemu” nie zagroziło — jest wprawdzie jawna bzdura, coraz gęściej spadające meteoryty wyglądają jednak ładnie, a klimat zagrożenia oddziałuje na nas emocjonalnie.

Ciekawsza sprawa z „równoległymi światami” i przemieszczeniem rozdwojonego (a potem i roztrójonego, co pośrednio zakłada możliwość istnienia bliższej nieskończoności ilości światów równoległych) bohatera w czasie.

Czas zawsze interesował fantastów — a wcześniej i filozofów — którzy zgodnie zadawali pytanie, czy przypadkiem biegu czasu zatrzymać bądź zawrócić nie można, czy możliwie jest przemieszczenie w czasie, jakie to przemieszczenie wywołałoby skutki, no i tak dalej, i tak dalej: pełna ilość pytań i odpowiedzi przekroczyłyby — obawiam się — objętość naszego pisma.

Podróże w czasie rozpoczął bodaj Wells, konstruując swój „wehikuł czasu”, motyw ten nie będzie nas jednak interesował, odłóżmy go przeto. Bliższą koncepcję Shaw'a proponującą przedstawia Asimov w powieści „Koniec wieczności”, w której buduje diablo skomplikowany system „inżynierii czasu”, pozwalającej na majstrowanie w minionych stuleciach i powodowanie takich zachowań przyczynowo-skutkowych, które sprawią, że rozwój ludzkości będzie szedł po myśli jej następców. Ci następcy mają jednak jeszcze dalszych następców, zamelinowanych — przepraszam, ale tak jakoś nąsunęło mi się to słowo — w „ukrytych stuleciach”, a im z kolei inżynieria czasu i pielegniarska dbałość o bezpieczeństwo ziemian wcale się nie podobają. Wysylają więc

„swojego człowieka” — kobietę zresztą — do czasu minionego, ta uwodzi pewnego technika i wraz z nim udaje się w nasz wiek XX, aby tu spowodować awarię w całym systemie, tak, aby inżynieria czasu nie powstała nigdy.

Asimov — co czytelnik chwyci — opowiada o historii, która się nie zdarzyła, barwnie streszcza nie zrealizowany nigdy wariant rozwoju ludzkości. Podobnie — oczywiście i ten motyw wykorzystano — można opowiadać o Europie podbitej przez Hitlera, który wygrał, przypuścimy, drugą wojnę światową.

Jeżeli przyjmiemy wszakże, że istnieją przynajmniej dwa równoległe czasy, w których bytują i rozwijają się dwie równoległe społeczności, jedna społeczność może zostać podbita przez Hitlera, druga go zwyciężyć, jedna — jak u Asimova — skonstruuje bombę atomową i rozpocznie erę podróży kosmicznych, inna zaś wytworzy „inżynierię czasu” i zacznie plawić się w bezpiecznym, zachowawczym dobrobycie. Po czym, ostrzeżenie pisarza, nie widząc przed sobą perspektyw, po prostu wymrze.

Zarazem choć w fantastyce można przyjmować założenia najzupełniej dowolne, pewien poziom pisarskiej uczciwości karze przedstawiać konstrukcje logicznie spójne, a przynajmniej o trudno wykrywalnych sprzecznościach. Jeżeli bytujące równoległe światy nie o sobie nie wiedzą, jeden składa się z materii, drugi z antymaterii powiedzmy, co wzajemnie uniemożliwia kontakty — rzecz pozostaje w porządku. Z chwilą jednak, gdy ze świata do świata można zacząć przenikać i to w dowolny trafiający moment czasu, który niejako zaczyna się wtedy rozdzwajać czy nawet roztrażać, jak u Shaw'a, nie wypada — ku pisarskiej wygodzie — tego momentu wyznaczać arbitralnie, bez jakiegokolwiek logicznego motywu.

Niejakemu Bradenowi — w trzech światach równocześnie, choć dalej wykaże, że musiało ich być co najmniej cztery, jeżeli nie więcej — popuścił się samochód, jego żona mimo to uparła się pojechać na przyjęcie, nadto pieszo przez park, gdyż mąż nie dał jej na taksówkę. W dwóch światach kobieta zginęła, zaatakowana przez zbrojnicę, w trzecim — a dla widza pierwszym, wyjściowym — ocalała, bo Braden z drugiego czasu (przy pomocy wynalazku, o którym roztrąpnie ledwo napomyka) zdołał przenieść się do parku ze sztucerną w rękę i zabić napastnika. Mógł przenieść się co prawda w moment jeszcze wcześniejszy i po prostu wymienić akumulator, ale wówczas nie miałobyśmy trupa, detektywa i całej zagadki.

Transmitter działa krótko, Braden II po strzale musi się więc niejako wycofać, wkrótce jednak buduje mocniejsze urządzenie, aby na dobre przenieść się do świata, w którym „własna-nie-własna” żona ocalała. Wdaje się w scysję z Bradenem I, postanawia go więc ukatrupić, pojawia się wszakże Braden III (już z potwornie zniekształconą twarzą, więc Potworem zwany), by ostrzec równoległego „Siebie”, że w swoim świecie był to właśnie uczynił, lecz żona go zniechędziła, nadto jego przemieszczenie wywołało kosmiczną katastrofę. Na co Braden II postanawia do swego świata powrócić, przeto rzecz — w naszej optyce, wi-

dzów z pierwszego, wyjściowego świata — kończy się w zasadzie dobrze.

Tu zauważmy złośliwie, że skoro Braden III też stracił żonę, to musiał przenieść się do jakiegoś czwartego świata, aby Zonę IV odzyskać i Bradena IV utłuc, jest więc Braden III od Bradena II zdolniejszy, bo aż do dwóch światów umie się przenosić, choć nie do własnego — w przeszłości. Jest to rozwiązanie wyeksplloatowane, lecz jeszcze prostsze, niż nąprawianie akumulatora w jednym ze światów równoległych, wystarczający bowiem dać żonę nie forsę na taksówkę, zamiast się z nią głupio kłócić, jak ja akurat kłócę się z własną, która twierdzi, że przy niedzieli nie powinienem niczego pisać.

Mogę pójść ja przeprosić, ale wówczas artykułu nie będzie (czego zresztą czytelnicy nie zauważą, bo na jego miejsce pojawi się inny), jeżeli zaś będzie — znaczy to, że nie przeprosiłem, bądź przeprosiłem tak zresztą, iż uzyskałem wysoką zgodę na wykonywanie milej mi zresztą pracy. Gdybym z kolei w przeproszeniu przesadził, mogę przypadkiem uzyskać i zgodę, i — do wyboru — tak zwaną kontr-propozycję; skorzystanie z kontr-propozycji sprawi jednak, że całego tego wywodu znów państwo nie przeczytaicie...

Czas, a raczej przyszłość, rozwidla się, to pewne, lecz nie tak, jak Shaw to wykombinował. W znanej nam rzeczywistości przyszłość rozwidla się nieustannie ku możliwościom zrealizowanym i nie zrealizowanym, zaś w fantastyce każda ścieżka może wieść ku światom równoległym, lecz zarazem mnożącym się aż do nieskończoności. Zresztą darmo się trudzić, wszystko to — choć dużo jaśniej i piękniej — napisał już jeden z najświetniejszych autorów stulecia, fantast, lecz tak wybitny, że nikt go w getto SF pakować nie śmie, Jorge Luis Borges.

Cytuję „Ogród o rozwidających się ścieżkach”. Narrator, Chińczyk, rozmawia z wybitnym sinologiem, który zdołał rozszyfrować powieść pozostawioną przez dalekiego przodka bohatera.

„Wyjaśnienie jest oczywiste: „Ogród o rozwidających się ścieżkach” jest obrazem niekompletnym, ale nie fałszywym, wszechświat taki, jak pojmował go Ts'ui Pen. W odróżnieniu od Newtona i Schopenhauera pański przodek nie wierzył w czas jednolity, absolutny. Wierzył w nieskończone serie czasów, w rosnącą i zawrotną sieć czasów zbieżnych, rozbieżnych i równoległych. Ta przedza czasów, która zbliżają się, rozwidają, przecinają i które przez wieki nie o sobie nie wiedzą, obejmuje wszystkie możliwości. Nie istniejemy w większości tych czasów; w niektórych istnieje pan, a ja nie; w innym istniejemy obaj. W tym, który zysła mi pomyślny przypadek, przyszedł pan do mojego domu; w innym, przechodząc przez ogród, znalazł mnie pan martwego; w innym ja mówię te same słowa, ale jestem jakąś omyłką, wiadom.

— We wszystkich — powiedział nie bez drżenia — podziwiam pańskie odtworzenie ogrodu Ts'ui Pena i jestem panu za to wdzięczny.

— Nie we wszystkich — wyszeptał z uśmiechem. — Czas rozwidła się ciagle ku niezliczonym przyszłościom. W jednej z nich jestem pana wrogiem”.

W naszym czasie i w naszej teraźniejszości lepiej się tego wyrazić nie da. W innych — być może nawet formułować nie trzeba, gdyż sieć czasów zbieżnych, rozbieżnych, rozwidających się i przecinających, jest tam powszechnie znana, dziecinnie oczywista.

JERZY PANASEWICZ

Zapukano do moich drzwi. Pani Erika, moja we wszystkich sytuacjach wyprawiana sekretarka, miała zdziwioną minę. „Ktoś chce z panem rozmawiać”, powiedziała, podając mi przez biurko małą, elegancką wizytówkę. Zaciękawiona spojrzała na mnie, gdy przeczytałem: Laurino Laurinelli

Artista
Bolzano, Via Manzoni 11
Italia

„On jest taki” powiedziała Erika i pokazała dłonią wysokość mniej więcej 1,20 m.

„Rozumie dobrze po niemiecku i chce z tobą bezwarunkowo rozmawiać. Z powodu książki”.

Teraz zrozumiałem wyraz twarzy Eriki. Taki małytki Włoch o takim nazwisku w Dreźnie, który chce ze mną rozmawiać, to było już nieco dziwne...

Erika brała aktywny udział we wszystkich fazach tworzenia mojej fantastycznej powieści, w której twierdzi, jakoby ludzie niewielkiego wzrostu w Dolomitach byli kosmitami, których okoliczności zmusiły do wyładowania na Ziemi, a którzy jakoby wywodzą się od legendarnego króla Laurina. A teraz nagle Signore Laurinelli w mojej poczekalni, niewiele większy od karzełka...

„Poproś go”.

Do pokoju wszedł żwawo masy mężczyzna, o doskonałych proporcjach ciała, nie żaden liliput, czy śmieszny krasnal. Był gdzieś pośrodku czterdziestki, ciemnowłosy, gładko ogolony (w cichej oczekiwaniu już pomarszczonego starca z długą, siwą brodą). Przedstawił się w doskonałym niemieckim: „Szalenie się cieszę, że zechciał mi pan poświęcić swój drogienny czas. Nazywam się Laurino Laurinelli. Jestem artystą. Należę do zespołu Eusebio Strullera, który właśnie gości w pana

WOLF WEITBRECHT

Odwiedziny Laurinida

pięknym mieście. Przypadkiem przeczytałem niedawno pańską książkę i dlatego też pozwalam sobie...”

Zapraszającym ruchem ręki, poprosiłem go o zajęcie miejsca. Naturalnie znalazłem Eusebio Strullera, chociaż niestety nie znalazłem jeszcze czasu, aby pójść na jego występy. Właśnie chciałem to powiedzieć, gdy Signore Laurinelli rzekł: „Może pan sobie wyobrazić, jak bardzo byłem zafascynowany pana książką, opisał pan w niej przecież nasz los... Chociaż w niektórych detaliach nie odpowiada on faktom — dlatego właśnie tu jestem”.

„Nasz los?” spytałem zdziwiony.

„Tak, los nasz, Laurinidów na Ziemi. Pan należy do nas, sądzi. Skąd miałby pan inaczej tak szczegółowe wiadomości, Signor Dottore?”

„Nie bardzo rozumiem”. Potrząsnąłem energicznie głową. „Jestem uczytelnym Szwabem, nigdy nie słyszałem o jakichkolwiek Laurinidach i zapewniam pana: wszystko, co w mojej powieści napisałem o karzełkach jest wymyślane, czysta fantazja”.

Tym razem on się zdziwił. „Mamma mia, jak to możliwe?” wykrzyknął i zalamał swoje szczuple ręce w komiznym przerażeniu. „Niech pan pomyśli, szanowny Dottore, to niemożliwe! Pan musi być jednym z Laurinidów... Nie ma pan żadnych przodków z południowego Tyrolu, z Bolzano?”

„Nie przypominam sobie”, powiedziałem. „Byłem raczej inspirowany tym, że moja babcia zajmowała się legendami o karzełkach i wydała książkę „Czarodziejskie zwierciadło krasnoludków”.

Oblicze Laurinelli'ego rozjaśniło się. „No, widzi pan. Jedną babcię już mamy. Nie prowadził pan nigdy badań nad historią pana rodziny? Może pochodził ktoś z linii pana babci z Tyrolu?” Maly czarodziejek przechylił się nad moim biurkiem i spojrzal na mnie prawie błagalnie swoimi dużymi, ciemnobrązowymi oczami.

No, tego rodzaju badania prowadzono u nas, istniały nawet wydrukowane drzewo genealogiczne, również ze strony mojej babci od strony ojca, czyli też od bajek. Właściwie wbrew własnej woli zacząłem intensywnie myśleć, i — rzeczywiście! Nagle stanęło mi przed oczyma imię Katarzyna Weiss: urodzona w Strenz, Tyrol, 1889, wygnana z powodu wiary...

„Widzę po panu, że pan znalazł! Tak, Dottore?”.

Skinalem zamyśloną. „Tak, ma pan rację, jedna z moich prababek pochodzi ze Strenz, Tyrol, rodzina wygnańców, z powodu ich protestanizmu przepędzeni stamtąd, osiedli w Szwabii”.

Przerwał mi, chwycił mnie za rękę i zawołał: „Laurinid! Przypuszczałem, nie, ja to wiedziałem: Nikt inny, jak Laurinid nie mógł napisać tej książki!”.

Zrobiło mi się gorąco, a jednocześnie uważałem to za największą blagę, o jakiej kiedykolwiek słyszałem.

„Laurinid, co to ma oznaczać?”.

„Wyjaśnię panu”. Laurino Laurinelli usiadł i zaczął mówić, tak szybko, tak z przejęciem, że często musiałem go prosić, aby zwolnił nieco tempo.

„Bene. Pan napisał: Awaria Kosmitów miała miejsce w 405 po Chrystusie w ogrodzie różanym nad Bolzano. Zgadza się, to było tak. Laurin jest postacią autentyczną. My wszyscy, którzy nosimy w sobie bodaj kropkę jego krwi lub któregoś z jego towarzyszy, jesteśmy Laurinidami”.

„A potem?” spytałem.

„Potem? Próbowano się dopasować. Wie pan, że Laurin dał się ochrzcić i poślubił Kurhildę von Steyrmark. Mieli wiele dzieci. Cała załoga poślubiła się również, a ich przodkowie wtopili się w ten sposób w Ziemiann”.

Uśmiechnąłem się nieco złośliwie: „Straszny zbieg okoliczności, że Laurin miał również 46 chromosomów” stwierdziłem. „Nie miałem odwagi tego napisać”.

Laurinelli roześmiał się łagodnie. „Mielismy początkowo 52 chromosomy. Ależ cóż to znaczyło dla naszych genetyków! Przemysłano oczywiście bardzo dokładnie, które 6 chromosomów można poświęcić. Porozumiano się i można by rzec wyznaczono z naszego kodu genetycznego tych 6 nadmiernych genów, po prostu przez zażycie zwykłej tabletki, którą wyprodukował nasz chemik pokładowy. Było to w kryształowym zamku, jeśli to pana interesuje. I tak mogliśmy się rozmnożyć i rozpocząć życie wśród Ziemiann. Stopniowo zaczęła się niestety coraz większa ilość informacji, ale wspomnienie o naszym pozaziemskim pochodzeniu pozostało. Że tak jest, dowodzi również pańska książka”.

Powoli zaczynałem mieć dość. Ostrzej być może niż zamierzałem powiedziałem: „Bzdury! Moja historia, jakoby karzełki były kosmitami, osiadłymi na Ziemi, w porządku, prawdopodobnie podobala się panu, pana nazwisko, podsunęło panu myśl, aby trochę ponabijać się z tego niemieckiego autora, było zabawne i mile...”

Zbladł i wskoczył do góry. „Dottore, o madra mia! Pan mnie źle zrozumiał! Jest tak, jak powiedziałem! Wspomnienia z przeszłości wypłynęły z pańskiej podświadomości; pana prababka ze Strenz była na pewno Laurinidką, a pana szanow-

na Pani Babcia, odczuwała już pewne przypuszczenia, które u pana pogłębiły się na gruncie wiadomości fachowych”.

„Wszystko to jest wymyślone, zbudane i wyszane z palca. Dlaczego nie szukano załogi Laurina?”

„Szukano? Sam pan przecież pisał o Quetzalchoatl, białym bogu. A o ekspedycji w Meksyku. A o katastrofie w 1908 w Tungusce...”

„A dlaczego po eksplozji w Tungusce nie pojawili się żaden statek kosmiczny? To wie pan także?”

Miało to zabrzmieć ironicznie, ale raczej nie z tego nie wyszło. Laurinelli odpowiedział: „Ależ na to sam pan dał sobie odpowiedź! Gdzie jest ojczyzna Laurinidów? Oddalona o 76 lat świetlnych, gwiazdozbiór weża. Teraz mamy rok 1974. Dopiero za 10 lat dowiedzą się o rozbięciu statku nad Tunguską. Teraz proszę odliczyć kilka lat na przygotowanie i wyposażenie. A więc reakcja na katastrofę z 1908 możemy oczekiwać po roku 2070”.

„Siedemdziesiąt sześć lat świetlnych!” wykrzyknąłem. „Jak to przetrzymał Laurin i jego towarzysze?”

„Oczywiście w anabozie!” odpowiedział mi gość, jakby chodząc o rzecz najwzajemniejszą pod Słońcem. „Pan jest przecież lekarzem, tam jest to z pewnością możliwe od tysięcy lat. Ja sam mam uzdolenia w tym kierunku. Zanim Struller odkrył mnie i wziął do teatru występowałem w varietes z programem „skostniały Laurinelli”. Czasowa anaboz, jeśli pan woli, Dottore, nie chciałem pana nastraszyć moją wizytą. Ale proszę mi wierzyć: Pan jest Laurinidem! W komórkach pańskiego mózgu jest zakodowane wspomnienie o dawnych losach”.

Ostro zawołałem: „Nie ma dziedziczności nabytych własności!” „Życie rozwija się pod innymi słowami w różny sposób”, odparł mi przeciwnik łagodnym głosem.

„Jak dotąd znamy tylko 2 formy inteligencji w naszej galaktyce. I proszę! Stopiły się one ze sobą, aby tylko w pojedynczych przypadkach, pozwolić wynurzyć się cechom odrębnym na wietrzach — jak na przykład w moim niewielkim wrzodzie, czy pańskich wspomnieniach o prastarych dziejach naszego rodzaju”.

Roześmiał się. Nagle śmiech ten wdał mi się jakiś łobuzerski. Czyżby sprawiło mu to przyjemność zabawić się własnym nazwiskiem i moją powieścią, aby wyprovokować z równowagi tego Dottore, który wymyślił tak nieprawdopodobną historię...?

Niespodziewanie Signor Laurinelli wstał, pojął mi rękę i powiedział: „Już dostatecznie dużo zabrałem panu czasu. Bardzo mi było miło móc pana poznać do widzenia, Panie Kuzynie!”

Wiedział, to skinal jeszcze raz przeżnięcie i wyszedł. Wszedł Erika, całkowicie skołowana. Nie miałem podwójnych drzwi, a rozmawiałem dość głośno. Nie było to przecież żadne tajemnice. „Czy twoja babcia piłała rzeczywiście bałki o karzełkach?”

Wzruszyłem się z zamyślenia. „Owszem. Zawiażę sobie sunek na chustę i przyniosę ci je jutro, jeśli ci to interesuje”.

Erika przytaknęła. „A”, jej głos brzmiał jakby nieśmiało, „czy ta historia z twoją prababką z Tyrolu, która została wypędzona jako protestantka, jest też prawdziwa?”

„Owszem”.

Erika spojrzala na mnie zdziwionymi oczami i zwróciła się bez słowa do drzwi. Jeszcze raz odwróciła się, a z jej twarzy można było wyczuć nieme pytanie: „Czy ty, kochany towarzyszu, jesteś może Laurinidem?”

Jednak odrzuciła to pytanie i wyszła.

A ja? Ja zacząłem zapisywać tę fantastyczną historię.

Tłumaczył z niemieckiego A. A.

(c) Greifenverlag zu Rudolstadt 1976. Tytuł oryginału: Der Besuch des Lauriniden.

Wicek i Wacek uratowani!

Czy wiecie co to było „świeże oko”? Tak się nazywał dziennikarz specjalista, o wyczulonym zmysle spostrzegawczym którego delegowano do nowej redakcji w ściśle określonej misji. Miał sprawdzać czy w przygotowanej do druku gazecie wszystko jest w porządku i czuwać aby w ostatniej chwili nie wyskoczyło nic niespodziewanego. Bo różnie to bywało (...)

Delegowany w charakterze „świeżego oka” dziennikarz przystępował do pracy tuż przed rozruchem maszyny rotacyjnej. Starannie przeglądał stronę za stroną bacznie i na to, aby nie było zbitek tytułów. Zdarzyło się bowiem, że górą lewej kolumny biegła na całą szerokość tytuł: „Zapewnimy dobrobyt ludzkości pracy”, a z prawej, na tej samej wysokości, jakby na przedłużeniu, złożony taki eszmańcza, nagłówek innego artykułu: „Utopijne plany szaleńców” — o zakusach polityków z obozu imperialistycznego. Słowa „Stalin” nie wolno było przenosić, musiało się ono zmieścić w jednym wierszu. Bo jakby to wyglądało, gdyby jedna linijka kończyła się na „Sta” druga zaś rozpoczynała na „lin”? Świadczą o tym o braku szacunku dla tak wybitnej postaci. A inicjały, większe litery początkowe używane dla ozdoby tekstu? Powiedzmy jeden ustęp zaczyna się na literę „D” (Duzo na ten temat mówiono...), drugi na literę „U” (Uprzednio już zwracano uwagę...), trzeci — na „P” (Prace na tym odcinku...), a czwarty — na „A” (Ale świat pracy...) — co czytane z góry na dół dawało niezamierzony efekt...

Dziury w nocnej redakcji pełnili jeszcze, permanentnie co noc, członkowie kolegium redakcyjnego. Po korekturkach (zawód ten sfeminizował się po wojnie) czytali jeszcze raz wszystkie teksty w zlamanych kolumnach, uczuleni zwłaszcza na artykuły o treści politycznej. Instytucja dyżurów kolegiów pokaż tu po dziś dzień. Mój Boże, przed wojną nikomu nie śniło się o dyżurach i jakoś nie nie uchodziło uwagi jednoosobowej korekty oraz pracujących na zmianę naszych redaktorów deszczowych — Henryka Passiermana i Antoniego Weissa.

Mimo tak obojętnej kontroli zdarzały się wpadki. O drugi zawał (przyczynę pierwszego wspominać nie będę) przypisał red. Kroniewiczowi złośliwy chochlik drukarski. W artykule ku czci generalissimusa zamiast „Niech żyje Stalin!” — jak zwykle się kończyły peany pochwalne — zdumieni czytelnicy przeczytali „Nie żyje Stalin!”.

Z duszą na ramieniu chodziliśmy do drukarni. Po powrocie z dyżuru każdy dzwonek telefonu przypisywał nas o nerwowe drgawki i szybsze bicie serca...

Co może uszczęśliwić przed tego rodzaju przypadkami? Wzmocniona czujność. Co może wzmocnić czujność? Tylko szkolenie (...)

Edukowano nas: Macie rozciągać przed ludźmi zachęcające perspektywy, wizje świetlanej przyszłości! Pokazywać wspaniałe osiągnięcia budowniczych Polski Ludowej!

To prawda — górnicy, stocznioy, włóknarzy, murarze, pełni entuzjazmu i wiary w lepszą przyszłość dobrze pracowali, ale do gazet zaczęły trafiać przesadzone wieści o wydajności ich pracy i sukcesach. To była uwertura pierwsze takti narodowej opery tragicznej pt. „Propaganda sukcesu”, która po latach zabrzmiła, ląga w całym kraju, zagłuszając głosy rozsądku. A jaki był finał — wszyscy wiemy...

Obiecywałam czytelnikom złote góry. Sam rozpisywałam się na całe strony o nowych dworcach kolejowych mających już niebawem „opasać wieńcem Łódź”, o rychłych mieszkańach dla każdej rodziny, o wznoszonych budowach kulturalnych.

Na masowce pewien prelegent rozplątywał się z zachwytem nad taką nową otwartą placówką na głuchej wsi, podłódzkiej, zabitej przed wojną deskami, gdzie diabeł mówił dobranoc. Na to podniósł się jeden ze słuchaczy.

— Co za bajki obywateli nam tu opowiada? — Często bywałem w tej wsi. Żadnego tam domu kultury nie widziałem, stare rudery jak stały, tak stoją.

— A wy, towarzyszu — referent z miejsca — zamiast się włóczyć gdzie nie trzeba, lepiej być e sobie gazetę poczytać!

Wierząc na słowo dyktatorom, goniącym za tanią reklamą i premiami, karmiliśmy ludzi rybami, których „nie zabraknie na żadnym stole”, ubieraliśmy w tanią, elegancką odzież, którą można było oglądać tylko na pokazach mody. Niczego nie zabraknie! Wtedy chyba narodziło się powiedzenie, że Polska to najtańszy kraj na świecie, bo za 20 groszy można mieć wszystkiego pod dostatkiem — wystarczy kupić gazetę, a w gazecie wszystko jest.

Nie wszystko było. Bogusławski junior oznajmił mi któregoś dnia:

— Wprowadzamy u nas współzawodnictwo pracy.

— W redakcji? Oczadziłeś? Chłopcy mają pisać na wysięgi? Gazeta nie z gumy i tak borykamy się z brakiem miejsca!

— Nie próbuj mnie przekonać. Sprawa jest postanowiona.

— Ale zrozum, dziennikarze to nie tkacze, współzawodniczący z sobą kto więcej wyprodukuje metrów tkaniny, ani murarze, kto ułoży więcej cegieł. Nasza praca jest niewymierna.

— Toteż będziemy premiować nie za ilość, ale za jakość. Im więcej zdobytych punktów, tym większe zarobki. Chodź, ułożymy tabelkę.

Po godzinie gotowa tabelka poszła na maszynę do przepisania. Za wiadomości i szpalatowa, uzyskana telefonicznie — 1 pkt., „wychodzona” — 2 pkt., „na prawach wyłączności” — 3 pkt., wiadomości dwuszpaltowe odpowiednio dwa razy więcej punktów, za artykuł, w zależności od sposobu uzyskania danych — od 12 bodaj do 20 punktów, reportaże — 25–30 pkt., felieton — 25 pkt. itd. Po miesiącu dokonaliśmy bilansu. Okazało się, że pocztowa Miła Peczkowska za swoje codzienne „rady” plus inne drobniaki zakosiła o kilkaset punktów więcej od Krysty Wyrzykowskiej, uważanej przez niektórych za filar gazety. Wobec tego doraźnie przerobiliśmy tabelkę. Powiększyliśmy ilość punktów za reportaże fabryczny i zmniejszyliśmy za „rady”. Sprawiedliwości stało się zadość.

Współzawodnictwo redakcyjne nie wytrzymało próby życia. Bodaj po dwóch miesiącach umarło naturalną śmiercią. Natomiast utrzymały się drażliwe normy wydajności, których — biję się w pierś — byłem współautorem. Przy ich ustalaniu oparłem się na moich wyczynach przy koszeniu wierszówki. Ile Kłaczków miał wypisać miesięcznie w ramach swojej pensji? Chyba 30 trzyszpaltówek, 60 dwu- i 120 jednoszpaltówek! Norm nikt nie wypełniał z braku miejsca w gazecie i choć na ogół nie potracono nikomu z zarobków — obowiązkiem ten, jak miewał Damoklesa, wisiał nad głowami koleżanów.

W trosce o podniesienie poziomu ideologicznego naszej popołudniówki polecono Drozdowskiemu: bohaterzy jego filmu rysunkowego mają się związać z rzeczywistością, włączyć do dzieła odbudowy miasta. Mnie zakomunikowano: dowiejmy na ostatnią stronę muszą być pozytywne, nie żadne tam chi-chi-chi. Jagoszowi zapowiedziano — jeżeli z nowelki nie znikną sceny erotyczne, może się z nimi (nowelkami) pożegnać. Z jego nowej powieści „Express” zrezygnował. Zaczęliśmy drukować powieść zagranicznego autora pt. „Kapitan starego złotwa” w przekładzie żony naczelnego. Nakład momentalnie spadł, jak przed rokiem, kiedy to Konstanci Bogusławski pokusił się o wprowadzenie na łamy popołudniówki „Defraudantów” Walentego Katajewa. Druk owej powieści przerwano na piętnastym odcinku, bez słowa wyjaśnienia i przeproszenia czytelników.

Niebawem nadarzyła mi się okazja przeprowadzenia wywiadu z... grosem. Zgłosił się do naszej redakcji 30 października 1950 r., nazajutrz po wprowadzeniu nowego pieniądza. Operacja ta uderzyła po kieszeni wszystkich, którzy mieli gotówkę w domu — stracili na tym dwie trzecie swych zasobów. Grosz był dobrej myśli: powiedział, że ma pokrycie w złocie, czuje się pewnie i zobaczycie — zakończył — ile będę wart. Kolejdy do dziś wypominają mi ten felieton. Nawił! Czy wiecie, ile kosztuje dzisiaj jeden grosz? Na rynku numizmatycznym jego cena waha się w granicach 20–30 zł, w stanie menniczym ponad pięćdziesiąt, a monety 2-groszowej żaden szanujący się handlarz nie sprzeda taniej niż za 100 złotych! Dwugroszówkę zachowało się mniej, masowo je przerabiano na szkapierzyki.

A potem odbył się nade mną „sąd”. Naczelnego w redakcji nie było, chorował, a może nie chciał uczestniczyć w tym widowisku? Jego zastępca zwołał otwarte zebranie partyjne i odczytał akt oskarżenia. O, gdybym miał dzisiaj w ręku ten dokument epoki!

Zarzucały swój ciężar gatunkowy. Sekretarz redakcji, Adam Ochocki, nie upolityczniał gazetę i... posyłał gońca do kiosku po papierosy, na swój prywatny użytek. Chciałem wygrać co miatem na duszy, powiedzieć co o tym sądzę. Przecież to on, zastępca szefa, występujący teraz w roli oskarżyciela, był od upolityczniania, od szkolenia i innych spraw ideał! A co do papierosów, owszem, zdarzało się, ale towarzyszy prokurator nie dalej, jak onegdaj posłał tego samego gońca do swego domu po chusteczkę do nosa — gdy Henio Sperber podsunął mi karteczkę: „Ratuj się, składaj samokrytykę!”.

Panowała wówczas powszechna moda na bicie się w pierś. Czuje ucho złowitoby w pobliżu niemal każdej instytucji odgłosy gluche-

go dudnienia, jakby ktoś walił pałką w obciążony osłą skórą heben. Tytuł popularnej książki Arkadego Fiedlera „Ryby spławiają w Ukajali” doczekał się parafrazy: grube ryby się ukajały. Wice i ja, zdjęty strachem, postanowiliśmy się pokajać. Co powiedziałem na swoje usprawiedliwienie — nie pamiętam, jednakże w zakończeniu swej spowiedzi nie wytrzymałem nerwowo i wspominałem o owej chusteczce do nosa zastępcy Zygmunta Ruta, sekretarza podstawowej organizacji partyjnej w „Głosie Robotniczym”, zaproszony na tę rozmowę, pochwalił mnie: towarzyszu Ochocki, chociaż bezpartyjny, zdobył się na szczerą samokrytykę.

Mimo to swego stanowiska nie uratowałem. Myślę, że prokurator miał wyrok w kieszeni już w trakcie wygłaszania mowy oskarżycielskiej. Moje miejsce zajął Adam Feliksiak, do pomocy przydzielono mu Sergiusza Kłaczkową. Nie posypałem głowy popiołem, nie nadziałem wiosienicy. W nastroju raczej bezrozkosnym odprawiłem pokutę na nowym stanowisku samodzielnego publicysty.

Samodzielnego? Po paru dniach Jerzy dał mi polecenie służbowe:

— Pojedziesz do spółdzielni produkcyjnej i zrobisz stamtąd reportaż. Ale to musi być podbudowane politycznie, z wydźwiękiem. Prześlij mi publikację Stalina o kolektywizacji wsi.

I wręczył mi pękate tomisko. Trzy noce poświęciłem na lekturę. Jadąc na miejsce jeszcze w pociągu wertowałem poszczególne strony. Reportaż miał chyba osiem stron maszynopisu. Do „Expressu” poszła sucha, kilkunastowa notatka o ilości wyprodukowanych w owej spółdzielni wariety.

Tak więc nie miałem żadnego pożytku z dzieła Stalina. Inaczej niż pewien absolwent chederu — z księgi filozofa Majmonidesa. Duchowy opiekun chłopca gorąco go namawiał do czerpania z tej kryjownicy mądrości życiowych.

— Rebe, ja nigdy nie rozstaję się z księgą naszego wielkiego uczzonego. Już raz oddała mi ona nieocenione usługi.

— A, a... — zamknął rebe z zadowolenia.

Gdy skończyłem szesnaste lat, ojciec podarował mi na urodziny dzieło Majmonidesa dużego formatu, w twardej oprawie. Wziąłem je pod pachę i wybrałem się za rogatki, aby tam, z dala od gwaru wielkomiejskiego, zgłębiać mądre nauki. Zaczęła mnie młoda siksa i zaciągnęła do stodoły. Jak pięknie pachniało siano! Położyliśmy się, ale miękkie siano uginało się pod nami. Wówczas przypomniałem sobie o księdze medrca. Podłożyłem ją pod plecy dziewczynki... Rebe, jak mi wtedy było dobrze, jak mi Majmonides pomógł! (...)

W lipcu 1951 r. nasza redakcja okryła się żałobą. Odszedł na zawsze kochany Wacek Drozdowski. Jego śmierć poza uczuciem powszechnego żalu wywołała wśród nas panikę. Zagrożony został dotychczasowy profil gazety. Wicek i Wacek tak się z nią zrosli, że nie mogliśmy sobie wyobrazić popołudniówki bez ich obecności. Kto ma robić rysunki do filmu? Zaproponowałem Ibisów.

Generalna próba nie wypadła najlepiej. Drozdowski był mąkłem, a grube i cienkie kreski wychodziły zupełnie inaczej w zależności od tego czy się rysuje prawą, czy lewą ręką. Czytelnicy obeznani trochę z techniką rysunku na pierwszy rzut oka dostrzegliby mistyfikację.

Jerzy Jankowski wpadł na pomysł. Wykonał rysunek normalnie, ołówkiem, potem odwrócił go do góry nogami i pociągnął tuszem, co dało pożądaną efekt. Skrupulatni graficy zastosowali jeszcze jeden chwyt, aby Wicek i Wacek nie różnili się od oryginału. Pustą przestrzeń czterech kwadratów paska filmowego wypełniali krótkimi i moźliwie przenośnymi z rysunków Drozdowskiego fragmenty kreski, dzięki czemu utrafiłi co do joly w proporcje sylwetek bohaterów filmu. Z czasem doszli do takiej wprawy, że tylko biegle sadowy mógłby zakwestionować autentyczność dzieła Drozdowskiego.

Wicek i Wacek zostali uratowani! Prezentowali się w „Expressie” do samego końca, tj. do września 1953 r., do fuzji „Expressu” i „Dziennika Łódzkiego”. Pomysł i podpisy do podrabianego filmu były moim skromnym dziełem. Ale nie takim znowu skromnym, jak wyznaczone za to stawki. Codzienna porcja Wicka i Wacka podciągała mój budżet aż o dwanaście i pół złotego. Dla orientacji — 1 kg cukru kosztował wówczas 15 zł (fakt raczej u nas nie spotykany: przed trzydziestą laty cena cukru była wyższa niż przed zmianą cennika w 1982 r.).

Poszedłem do szefa upomnieć się o podwyż-

kę. Red. Kroniewicz, podobnie jak inni naczelni, nie lubił kiedy się przychodziło doń z pretensjami, zwłaszcza takiej natury.

— Nie zapominajcie, Ochocki, ile wy u nas zarabiacie! — przejął dyskusję.

Poza „Wickiem i Wackiem” nasza popołudniówka ożywiały jeszcze inne filmy rysunkowe. „Tajemnice dżungli”, „Czeluskin”, „Między życiem a śmiercią”. To również dzieła spółki autorskiej Benon Liberski, obecny profesor Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi, znakomity malarz realista, laureat wielu nagród, oraz Leszek Różga, wykładowca na tejże uczelni, światowej sławy grafik, którego wystawy zebrali mnóstwo zaszczytnych odznaczeń na trasie od Tokio do Buenos Aires, na pewno z rozrzewnieniem wspominają dawne czasy, kiedy nieśmiało podrzucali nam do redakcji zarysowane przez nich paski bristolu...

A jak było z pierwszym zawałem red. Kroniewicz? „Express” wciąż jeszcze nie dysponował samochodem redakcyjnym. Naczelnemu zwracano należności za przejazdy taksówkami na podstawie przedkładanych przezeń wykazów. Znalazła się super czujna dusza. Pewien nasz kolega wynajął na pół dnia taksówkę i przejechał nią wykazane przez szefa trasy, pilnie sprawdzając czy sumy podane przez naczelnego pokrywają się z tymi, które wybił licznik. Ponoć znalazł jakieś różnice, wygotował odpowiednie pismo i pobiegł z nim do komitetu. Szef tę historię wziął sobie do serca i właśnie wtedy dało ono po raz pierwszy znać o sobie.

Szeregowym dziennikarzem nie przysługiwał przywilej jeżdżenia taksówkami na koszt firmy. Postanowiłem zafundować sobie cztery kółka. Nie mogłem się na to jakoś zdecydować wcześniej, gdy „Ifa” (dykta-klej) kosztowała 14 tysięcy i bez trudu można ją było kupić. Uważałem, że taki wydatek zbyt mocno nadweryczy moją kieszeń. Zapaliłem się dopiero wówczas, gdy samochody zdrożają i bez chodów stały się niedostępne. Poprosiłem o pomoc premiera Cyrankiewicza, który poza kierowaniem nawa państwową zajmował się jednocześnie dystrybucją aut dla osób prywatnych. Oto list jaki doń wysłowałem:

Gorąco proszę prosto i szczerze
Się dźś do Pana, Panie Premierze.
Nie będzie chyba Pan na mnie krzyw,
Jeśli poproszę o jedną z „If”.
Może być również „Moskwicz” lub „Hillman”,
(Proszę wybacz, taki już styl mam,
To rzecz urodzona, niech mi Pan wierzy,
Styl taki mają przyszli szoferzy)
A „Ifa” kusi z dala wspomniana,
Sześć lat czekam na nią bez mała.
Wiem, że jest trudno, że to i owo,
Lecz ja mam manię samochodową,
Mania nie daje mi spać, pracować,
Mania okrutna — samochodowa.
Staram się, kreję — praca Syzyfa,
Reflektorami śmieję się „If”,
Wabi mnie maska i karoseria...
Panie Premierze, ja już na serio,
Niech Pan zrozumie rozpacz człowieka,
Co na samochód tak długo czeka!
Już napisałem, lekko na duszy,
Więc na spacerek (pieszo) wyruszam,
A wiatr w galeziach rozkosznie gra:
— Zobaczysz, Premier „Ife” ci da!

Nie dał. Po kilku latach spotkałem premiera na naradzie w Komitecie Łódzkim partii. W czasie przerwy podzieliłem do niego:

— Panie premierze, napisałem do pana list, a pan mi nawet nie odpowiedział...
— W sprawie samochodu?
— Tak.

— Czy pan wie, ile wpływa do mnie listów o przydział samochodu? Około setki dziennie.

— Ale ja napisałem wiersz!
— Wiersz w tej sprawie dostają ponad trzydzieści każdego dnia.

Tak więc na reportaże i dyżury do nocnej redakcji nadal jeździłem tramwajem. Gdy śleciałem któregoś wieczora nad zlamana kolumną, do pokoju wszedł kolega. Trzymał się teatralnym gestem za serce. Bez słowa podał mi depeszę PAP: Stalin umarł.

Nie wiedziałem, jak się należy zachować w takiej chwili. Na wszelki wypadek wybiegłem na korytarz trzymając się za głowę. W ciemnym kaku wiarłem sobie pod powiekę kilka żdzibiel tytoniu. Wróciłem do pokoju. Kolega siedział nieruchomo przy biurku, z podparcia na dloniach głową. Oczy miał zaczerwienione jak królki. W popielnicze leżał niezapalony, świeżo rozgnieciony papieros...

Zaznaczone wielokropkami skróty pochodzą od redakcji.

Na tym kończymy pierwszą część wspomnień Adama Ochockiego o jego powojennych przygotowaniach dla WL kolejnych rozdziałów „Reportera przed konfesionalem” autor udostępni je nam do druku.



Te rysunki wykonał Wacław Drozdowski. Po jego śmierci Wicka i Wacka rysowali do „Expressu”, moźliwie naśladowując kreskę mistrza, Stanisław Grątkowski i Jerzy Jankowski, występujący w spółce autorskiej pod nazwaniem Ibis.

„LITERATURNĄ GAZIETĄ” zamieściła artykuł profesora dr nauk medycznych A. WEJNA, poświęcony leworeczności. Poniżej przedstawiamy obszernie fragmenty interesujących rozważań radzieckiego uczonego.

Według różnych danych liczba ludzi leworecznych wynosi od 2,8 do 7,4 proc. Opierając się na tym, przypuszcza się, że w ZSRR żyje od 5 do 20 milionów mańkutów.

Co decyduje o tym, że człowiek jest praworęczny czy leworęczny? Na ten temat jest sporo teorii. Niektóre z nich podkreślają rolę wpływów zewnętrznych: warunków wychowawczych, naśladowania, obrządków religijnych. Np. zgodnie z teorią „historyczną” reka prawa rozwinęła się dlatego, że nia wygodniej było zadawać ciosy w serce wroga, gdy lewa, skazana na rolę bardziej pasywną, ochraniała własne serce tarczycą. Natomiast teoria „anatomiczna” opiera się na takich przesłankach, jak rozmieszczenie różnych ważnych organów człowieka: ciężar znajdujący się z prawej strony wątroby określa środek ciężkości ciała, a co za tym idzie, lepszy rozwój ręki prawej, serce lepiej zaopatruje w krew lewą półkule mózgu, gdzie znajduje się centrum ruchowe ręki prawej, na koniec, gdyby główną rolę spełniała lewa ręka, wówczas serce szybciej by się męczyło. Zgodnie z „geologiczną” hipotezą na półkuli północnej Ziemi jest więcej ludzi praworecznych, na południowej — leworecznych. Zauważono także, że mańkuci rodzą się w rodzinie albo jako pierwsze dziecko albo ostatnie. Skoro jednak takie zjawisko jak leworeczność obrósło w tyle hipotez, nasuwa się wniosek, że w tej sprawie pozostaje nadal wiele niewiadomego.

Dziś wielu uczonych uważa, że leworeczność jest wrodzona i dziedziczna. Wiadomo, że u rodziców mańkutów w 50 proc. dzieci są także mańkutami, jeśli mańkutom jest jedno z rodziców, to cyfra ta spada do 16 proc., natomiast u rodziców praworecznych procent ten jest zupełnie nieznaczny. Na genetyczne pochodzenie leworeczności wskazuje i ten fakt, że mańkutów jest więcej wśród mężczyzn niż wśród kobiet.

Wiadomo — że istnieje, zarówno „pełni” jak i „niepełni” praworeczni i leworeczni. U „pełnych” praworecznych nie tylko prawa ręka jest sprawniejsza, ale i prawa noga, prawe oko, prawe ucho. Tę samą jest u „pełnych” mańkutów. W takich przypadkach ręka mająca przewagę jest nieco większa, ma ona szerszy paznokieć małego palca, na wewnętrznej stronie nadgarstka jest wyraźniejsza siatka

Leworeczni — geniusze czy upośledzeni?

Żył, a odpowiednia strona piersi człowieka ma nieco większą pojemność. Ale całkowicie praworecznych lub leworecznych osobników jest niewiele.

Antropologowie twierdzą, że we wszystkich znanych dziś cywilizacjach stosunki pomiędzy leworecznymi i praworecznymi były zawsze jednakowe. Tym też tłumaczy się, że od zamierzonych czasów utarło się przekonanie, iż leworeczność to pewne odchylenie od normy, bowiem większość zawsze uważa to za normę, co jest jej cechą. W języku angielskim, francuskim, niemieckim, włoskim i hiszpańskim ze słowem „mańkut” związane są takie pojęcia, jak „zły”, „nieczysty”, „nieczysty”, ze słowem „praworeczny” — „czysty”, „potrafiący”, „prosty”, „uczciwy”. W języku rosyjskim „lew” ma także znaczenie negatywne: np. „lew” to „dół”, „skoczyć na lewo”, a „prawy” — to „prawidłowy”, „sprawiedliwy”.

Niektórzy uczeni utrzymują, że mańkuci często pozostają w tyle w szkole i w pracy. Ten pogląd jest jednak słabo udokumentowany, posiada wiele mocnych kontrargumentów. Oto jeden z nich: mańkutom był Leonardo da Vinci. Szereg badaczy odnotowuje, że wśród leworecznych rozwija się często niespełnione talenty: w sporcie, nauce, sztuce. Jednakże panuje przekonanie, że jedni i drudzy mają równe szanse w osiągnięciu sukcesów, zarówno w nauce jak i w pracy. Ten wywód zdaje się być najbliższy prawdy. Przewaga we władaniu ręką lub lewą nie określa sama przez się stopnia talentu, dobroci i szlachetności. Praworeczni nie mają się czym popisywać przed leworecznymi, a ci ostatni nie mają powodu czuć się upośledzonymi. Mańkuci nie są gorsi ani lepsi od praworecznych. Po prostu są inni.

Mańkuci posiadają określone właściwości intelektualne, psychiczne, w ogóle — osobowe. Dla przykładu weźmy jedną z wielu dziedzin, gdzie leworeczność jest częsta — sport. Zwróćcie uwagę ilu mańkutów jest wśród bokserów, szpadzistów, siatkarzy! Rzecz nie tylko w tym, że mańkut jest „niewygodny” dla przeciwnika. Ważniejszy jest u nich szczególny system działań psychomotorycznych, który predysponuje ich do szybszej, niż to jest u praworecznych, spostrzegawczości, ruchów, przewidywania zdarzeń. Zrozumiałe, że takie cechy odgrywałyby dużą rolę nie tylko w sporcie, ale i każdej innej dziedzinie życia.

Różnica w sferze psychicznej, są uwarunkowane głęboko przyczyną, tzn. funkcjonalną asymetrią mózgu. Wiadomo, że ośrodek kierujący prawą połową ciała ludzkiego jest umiejscowiony w lewej półkuli mózgowej, a lewa — w prawej. Półkule te są zupełnie symetryczne względem siebie i praktycznie są nie do odróżnienia pod względem budowy. Jednakże już w XIX w. jawiły się przypuszczenia, że spełniały one różne funkcje. Już wówczas lekarze obserwując chorych z uszkodzoną lewą półkulą, dowiedli, że w wyniku takiego urazu zaburzeniu ulegała mowa, pogarszała się zdolność czytania i pisanie. Stąd wynioskowano, że właśnie ta półkula spełnia główną rolę w intelektualnej i psychicznej działalności człowieka. Jeśli wziąć pod uwagę, jak ważną sprawą w naszym życiu jest mowa, to takie rozumowanie wydaje się być bezsporne. Lewa półkula zaczęła nazywać się dominantą. Odkrycie to spowodowało, że stracono zainteresowanie lewą półkulą, która została oznaczona jako subdominanta, albo nawet uznawano ją za szczerbą.

Lekceważący stosunek do prawej półkuli przetrwał niemalże przez sto lat. Dopiero w ostatnich dziesięcioleciach pojawiły się nowe fakty, które przydały nowego znaczenia tej półkuli. Odkryto, że prawa półkula posiada szczególne znaczenie dla spostrzegania przestrzennego, dla zmysłowego poznania, obrazowego myślenia.

Czyż można więc „uczyć na nowo” leworeczne dzieci? Czy trzeba dążyć do tego, by stały się one „jak wszyscy”?

Wielu ludzi wie, jak trudny, czasem męczący jest sam proces „uczenia na nowo” mańkutów. Nierzadko powoduje on chroniczny stres, mający zły wpływ na zdrowie dziecka. Stosowanie nadmiernej uczenia, tak przez rodziców jak i przez pedagogów, a przy tym brutalne, gwałtowne „wyłączanie” ręki lewej z aktywnej pracy, szczególnie jeśli temu towarzyszą złosliwe uwagi i kary, może wywołać u dziecka uraz psychiczny, spowodować skrzywienie jego osobowości.

Pamiętać należy jednocześnie, że „nauczony na nowo” mańkut ma mimo wszystko nie można zrobić praworecznego: można jedynie w jakimś tam stopniu zmienić jego zachowanie ruchowe, natomiast reszta jego psychiki pozostanie ta sama. Do tego wszystkiego wiele z tych dzieci nie udaje się do końca „nauczyć” nawet w zakresie ruchów. Będą pisać prawą ręką z wielkim wysiłkiem, a całą odpowiedzialną pracę będą wykonywać lewą.

Przeciwko „uczeniu na nowo”, szczególnie w przypadkach upornego mańkutstwa, winny nas ostrzegać i takie następstwa pedagogicznych ćwiczeń, jak zahamowanie wrodzonych zdolności dziecka, pojawienie się za to stanów neurotycznych, a nawet opóźnienie w rozwoju intelektualnym... „Ucząc na nowo” w dużej mierze niszczyliśmy osobowość dziecka.

Jeśli dziecko przedkłada lewą rękę nad prawą, ale lekko, bez wysiłku uczy się pisać prawą, wówczas można je „uczyć na nowo”. Jeśli natomiast proces ten jest trudny, należy zaniechać wysiłków, bo można zrobić dziecku krzywdę.

Zwolennicy „uczenia na nowo” dzieci leworecznych zazwyczaj posługują się takim oto przykładem: nasz „praworeczny” świat nie jest przystosowany dla mańkutów. Wszystko co powstaje jest obliczone dla manipulacji prawą ręką. Dotyczy to przyrządów szkolnych, pomocy naukowych, warsztatów, maszyn. Od mańkuta wymaga się więc dodatkowego wysiłku, co może spowodować niepotrzebne nerwowe psychiczne przeciążenie. Rodzą się także problemy natury psychologicznej. Dziecko, pisząc lewą ręką, ściga na siebie uwagę, czasem budzi wrośność innych. Dlatego uważa się, że „nauczony na nowo” mańkut odnosi od siebie nieustanny pressing psychiczny i lepiej adaptuje się w otoczeniu ludzi praworecznych.

Tak więc przede wszystkim należy rozszerzyć i pogłębić badania nad mańkutami. Tym winni zająć się nie tylko lekarze, fizjologowie i psycholodzy, ale i pedagodzy, nauczyciele, wychowawcy. I koniecznie rodzice. U nas w kraju są miliony mańkutów. Winno się stworzyć im warunki, by mogli dobrze się czuć w naszym „praworecznym” świecie.

Oprac. E. lw.

Tak jak na Śleży i Łysej Górze

Najwyższą położoną częścią województwa piotrkowskiego jest Pasma Przedborskie. Po zachodniej stronie rzeki Pilicy znajduje się ono dość znaczny obszar zwany Wzgórzami Radomszczańskimi. Są to wzniesienia zbudowane z piaskowców kredowych i wapieni jurajskich, pokrytych płaszczem osadów polodowcowych. Tutaj właśnie — niecałe 30 km na wschód od Radomska — znajduje się najwyższy punkt dawnego województwa łódzkiego — Góra Chełmo (323 m n.p.m.). Niższa od Góry Chełmo jest niezbyt daleko od niej położona Baka-wa Góra (282 m n.p.m.). Nie są to co prawda duże pod względem wysokości bezwzględnej wzniesienia, ale w stosunku do oddalonej zaledwie o kilka kilometrów doliny Pilicy różnica poziomów dochodzi do ponad stu metrów. Oba wspomniane wzgórza wznoszą się jak wyspy nad otaczającym je terenem.

Góra Chełmo (zwana też Chełmową lub Chełmską Górą) stanowi zasadniczo nazwę ogólną, oznaczającą w całej Słowiańszczyźnie „wzgórze”, a szczególnie wzniesienie o stożkowatym czy kopułastym kształcie. Do niektórych wzniesień ta nazwa ogólna przylgnęła jako ich nazwa własna, przenoszona niekiedy także na wieś leżącą u ich podnóża. Tak właśnie stało się w przypadku podradomszczańskiej Góry Chełmo.

Interesujące nas tu wzgórze buduje twardy, ciosowy piaskowiec kredowy, który łupiąc się daje charakterystyczne, prostopadłościenną bloki. Zbocza i podnóża góry pokrywa cienka warstwa utworów lodowcowych, zaś na szczycie piaskowca ukazują się na powierzchni. Tutejsze urwiska sięgają dziesięciu metrów wysokości. Północna partia szczytowa tworzy kilkumetrowe urwisko, pogię-

bione w XIX stuleciu przez eksploatację piaskowca.

Na szczycie Chełmowej Góry znajduje się grodzisko pierścieniowe o średnicy przekraczającej 40 m, z dobrze zachowanymi potrójnymi wałami. Grodzisko to stanowi jeden z najpiękniejszych obiektów archeologicznych w Polsce środkowej. Góra Chełmo była najprawdopodobniej odwiecznym miejscem pogańskiego kultu religijnego. Przypuszcza się, iż po Śleży-Sobótce i Łysej Górze jest ona kolejną pod względem znaczenia „świętą górą”.

Powyższe przypuszczenie zdaje się potwierdzać fakt, że w XII stuleciu Chełmowa Góra była chrześcijańskim miejscem kultowym, gdyż za czasów Bolesława Krzywoustego znajdował się tu — jak podaje Jan Długosz w „Historii Polski” — „kościół zmurowany przez Piotra, pana na Skrzynnie i siedmiu fosałami głębokimi otoczony”. A właśnie w pierwszych wiekach chrześcijaństwa często wznoszono obiekty sakralne tam, gdzie poprzednio znajdowały się miejsca kultu pogańskiego. Tak uczyniono na Śleży-Sobótce i na Łysej Górze.

Prof. dr Andrzej Nadolski w swej pracy pt. „Ścieżki archeologów” (Łódź 1967 r.) tak ujmie podobieństwo Góry Chełmo do Śleży-Sobótki i Łysej Góry: „Przypomina żywo, choć w skromniejszej skali, obiekty sławne poprzedniczek. Jak one, wznosi się samotnie nad całą okolicą. Jak one, dźwiga wokół szczytu pierścien kamiennej wału”. Tu należy wyjaśnić, że krag (np. kamienny) odgrywał u Słowian i innych ludów ważną rolę magiczną, chroniącą — według ich przekonania — przed złem, a zatrzymując jednocześnie siły dobre w swym obrębie lub też nie wypuszczając zła ze swego obrębu.

Obok funkcji kultowych, Chełmowa Góra — podobnie

jak inne wzgórza wznoszące się wśród dawnych grzędzisk i nieprzebranych lasów — stanowiła też najprawdopodobniej równocześnie naturalne miejsce obronne i jako takie już w okresie wczesnodziejowym odgrywała znaczną rolę.

Z Górą Chełmo związanych jest wiele legend. Do najczęściej powtarzanych — zresztą w różnej wersji — należy opowieść o uśpionym wojsku, które w odpowiedniej chwili ma powstać aby spełnić ważną misję oraz legenda o tajemniczej pani, która co pewien czas ukazuje się, a następnie znika bez śladu.

Oskar Kolberg w monumentalnym dziele „Lud” (Seria XXIII, „Kalisie”) podaje, że na Chełmowej Górze mieszkali niegdyś czarownice, które „uczyły tu sobie wyprawiały”. Miewały one także schadзки na pobliskiej Sokolej Górze pod Przedborem „z duchami rycerzy i innymi czarownicami, zwanymi Wilę, które nadbiegały tu znad brzegów Pilicy” (według relacji organisty z Przedborza). W innym miejscu swej pracy O. Kolberg pisał, iż całą przestrzeń od Chełma do Przedborza zamieszkiwały podziemne duchy.

Starsi mieszkańcy wsi położonych w sąsiedztwie Chełmowej Góry wspominają, że w dzieciństwie często byli przegani przed bliżej nieokreślonymi duchami, których siedliskiem było wzniesienie i jego okolice.

We wsi Babczów — jak podaje Irena Lechow w artykule pt. „Opowieści o Górze C. i mskiej” („Łódzkie Studia Etnograficzne”, t. V, Łódź 1963) — można jeszcze usłyszeć opowieść o wiernym rycerzu i słudze Kazimierza Wielkiego, który upodobał sobie Górę Chełmo i chciał, aby po śmierci tam go pochowano. Legenda wspomina o zamku królew-

skim, znajdującym się na tym wzgórzu i odwiedzanym przez Kazimierza Wielkiego.

Widoczne z daleka kopulaste wzniesienia Góry Chełmowej porasta las o wielogatunkowym i wielowiekowym drzewostanie oraz dobrze rozwiniętym runie. Na szczycie występuje bogaty las liściasty, w którym odnajdujemy buki, dęby, klony, jawory, graby i lipy. Jest to jedno z nielicznych miejsc w środowisku, gdzie można napotkać stary drzewostan klonowo-jaworowy. Zbocza wzniesienia pokrywa las mieszany dębowo-sosnowo-jodłowy.

Szczyt Góry Chełmo (z grodziskiem) i część zboczy, porośnięty starym lasem, uznane zostały w roku 1967 za rezerwat archeologiczno-leśny o powierzchni 41,44 ha. Rezerwat ten — obok znaczenia naukowego — posiada duże walory krajoznawczo-turystyczne. Stare i potężne drzewa, stanowiące pozostałość dawnej puszczy, dodają Górze Chełmowej — jako miejscu kultu pogańskiego, sabbatów czarownic i siedlisku różnych zjaw — wiele tajemniczego uroku.

Na zakończenie warto podać, że na szczytowej ścianie urwiska Góry Chełmo jeszcze w latach sześćdziesiątych naszego wieku znajdowała się tablica poświęcona Tadeuszowi Kościuszce, ufundowana przez okolicznych chłopów w roku 1917 — w setną rocznicę śmierci Naczelnika w sukmanie. Tablica ta odpadła od ściany skalnej lub była od niej oderwana i poważnie uszkodzona, przez pewien czas leżała u podnóża urwiska, a następnie przeniesiona została do muzeum w Radomsku. Należy pomyśleć o jej odtworzeniu i umieszczeniu w dawnym miejscu.

Przyrodnicze świadectwa historii

Wiele naszych obiektów przyrodniczych — głównie drzew i głązów — jest związanych lub poświęconych różnym wydarzeniom historycznym, znanymi i zasłużonym dla kraju ludziom oraz uczestnikom (niekiedy bezimiennym) walk narodowowyzwoleńczych. Niektóre z tych obiektów, stanowiących jakby przyrodnicze świadectwa historii znajdującej się na terenie Polski środkowej, przedstawiamy poniżej. Warto je odwiedzić podczas odbywania krajoznawczo-turystycznych wędrówek po ojczyźnie.

KOŚCIUSZKOWSKIE DRZEWO WOLNOŚCI I POWSTAŃCZE DĘBY

Tadeusz Kościuszko należy do tych naszych bohaterów narodowych, których pamięci poświęcono najwięcej pomników i tablic. Ciekawą formą upamiętnienia osoby Naczelnika jest drzewo Wolności — dąb rosnący w pięknym i zabytkowym parku w Nieborowie. Drzewo to posadzone w roku 1946 — w dwusetną rocznicę urodzin Tadeusza Kościuszki — staraniem tutejszego muzeum, stanowiącego oddział warszawskiego Muzeum Narodowego. W roku 1967 — w sto pięćdziesiątą rocznicę śmierci Naczelnika — obok wspomnianego dębu ustawiono głąz z umieszczoną nań tablicą informującą o powyższych formach uczczenia naszego bohatera narodowego.

O wiele starsze od kościuszkowskiego drzewa Wolności są dęby związane z okresem Powstania Styczniowego (1863—1864 r.).

W pobliżu Suchej Żyrardowskiej (województwo skierniewickie) rośnie pamiątkowy dąb,

na którym — według tradycji — wieszano uczestników tego powstania. Niedaleko od tego drzewa, w lesie, znajdują się mogiły żołnierzy polskich poległych podczas drugiej wojny światowej.

Pamiętkową grupę kilku drzew — pomników historii naszych walk niepodległościowych — znajdujemy w podradomszczańskimi miejscowości Siłniczka. Rosną one w pobliżu rezerwatu Dębowiec, przy drodze prowadzącej do Budzowa. Drzewa te zostały posadzone przez miejscową ludność w roku 1864 dla uczczenia straconych powstańców.

PAMIĄTKOWE GŁĄZY

Lata 1862—1872 to okres pobytu Marii Konopnickiej w Bronowie (obecnie województwo sieradzkie). W budynku, wzniesionym w początku XIX wieku na fundamentach dawnego dworku Konopnickich, znajduje się kącik pamiątek

po naszej wybitnej poetce, zaś w krajoznawczym parku spotykamy resztki starego drzewostanu (m. in. białe topole o obwodzie dochodzącym do 6 m) i szczerki grabowo-leszczynowej altanki, pamiętające jej osobę.

Na brzegu bronowskiego stawu leżą dwa duże kamienie przy których ludność miejscowa często widywała Marię Konopnicką. Według tradycji — poetka lubiła na nich siadać, czytając książki lub odpoczywając podczas spacerów po ulubionym parku. Krajoznawca Bronowa i jego elementy utrwaliła ona w swej twórczości.

Setną rocznicę przybycia późniejszej poetki w granice dawnego powiatu poddębickiego upamiętniono w roku 1962 u-mieszczeniem w parku miejscowym Poddębic głąz i tablicy z fragmentem jednego z jej wierszy.

Interesujący głąz-pomnik znajduje się przy skrzyżowaniu dróg w Gostkowie — miejscowości położonej niedaleko od Poddębic i Bronowa. Ten nie-

zwykłego kształtu i wielkich rozmiarów głąz narzutowy z wmurowaną weń tablicą, ufundowaną przez miejscowe społeczeństwo, stanowi oryginalny pomnik poświęcony ofiarom hitlerowskiego terroru i bojom walk o niepodległość. Łączy on w sobie element piękna przyrody nieożywionej z żywą wciąż pamięcią wydarzeń historycznych okresu drugiej wojny światowej.

1916 — ROK NĘDZY I NIEPOKOJU

Niewątpliwie godne potępienia jest wycinanie nożem lub innym ostrym przedmiotem liter, wyrazów, zdań i cyfr na korze żywych drzew. Podobnie ma się sprawa z pisaniem na skałach i zabytkach architektury. Ta forma utrwalania swego pobytu w danej miejscowości, przekazywania różnych wiadomości lub swoich uczuć do innej osoby — jak wiemy — nie powinna być stosowana przez osoby kulturalne.

Wyjątkowo jednak jakiś zapis, poczyniony we wspomniany sposób przed wielu laty, dziś może okazać się dla nas pewnego rodzaju świadectwem okresu, w którym go wykonano. Tak ma się między innymi sprawa z informacją utrwaloną na korze jednego ze starych i olbrzymich buków rosnących w rezerwacie bukowo-jodłowym Galków.

Galkowskie drzewo, z wędniącym na nim napisem: „1916 — rok nędzy i niepokoju” jest nie tylko pięknym pomnikiem przyrody, ale także specyficznym źródłem historycznym dotyczącym pierwsz wojny światowej.



Foto: Jan Siciński

HENRYK SZUBERT

„Jestem wtedy jak prawdziwek...”

Temperatura bez większych zmian, ciepło, możliwość przełomnych opadów i burz, szczególnie na południu i południowym wschodzie, wiatry... — przekleciłem galkę radia i pchnąłem dźwignię wycieraczek. Gumowe ramiona leniwie ruszyły po szybie, na której rozpryskiwało się coraz więcej ciężkich kropel. Pociemniało. Włączyłem światła.

„Nawet trafna prognoza”, — pomyślałem, słuchając narastającej ulew, bębniącej już kaskada o dach samochodu.

W szarej ścianie deszczu światła reflektorów w ostatniej chwili wykalkowały zarys zmęczonych sylwetki na skraju drogi. Odruchowo kopnąłem hamulec, uważając by nie zniszczyć wozu na rozmięklej pobocznej. Przeskakując przez kałużę „łopiecie” podbiegł do uchyłonej szyby.

— Można? Ja parę kilometrów tylko... — dodał, widząc, że zerkam wymownie na jego ociekające wodą ubranie.

— Jasne — bąknąłem, obserwując z pewną dezaprobatą, jak przychylając i otrzepując mokry sweter sadowi się obok. „Kiepski kompan podróży” — skonstatowałem, gdy po wymianie kilku nie znaczących „złoty” myśli pasażer zamilkł na dobre, zajmując się leniwą obserwacją zalewanych wież deszczem szyb.

— Zapali pan? — wyciągnąłem w jego stronę paczkę „Carmenów”. Skinał głową, ale teka jakos mu zawisła w połowie drogi.

— Zaraz, a może zapalimy mojego... — raczej stwierdził niż zapytał i po chwili wysuplał z kieszeni koszułki niewielką paczuszkę jakiegoś tytoniu i małe pasemka bibuлки. Posypał niewielką porcję i zrecznie skreślił w palcach papierosa, po chwili drugiego.

— Holenderski? — spytałem, gdy podawał mi cienkiego, równutkiego skreta.

— Nie, nasz, to znaczy mój, z mojej plantacji — uśmiechnął się lekko.

— Mławy, lekko słodki, niezbyt mocny — pierwsze wrażenia smakowe nie były rewelacyjne.

— Z własnej plantacji tytoniu? — spytałem odruchowo.

— Niezupełnie — nieznajomy nadal się uśmiechał, obserwując mnie spod zmrużonych powiek. — Cannabis indica czyli konopie indyjskie, ale wyhodowane u nas...

„Trawa”, narkotyki! — zakłatało mi w mózgu. Co ja, cholera, pale! — opanowałem zaskoczenie z lekką domieszką przerażenia. — Jeszcze tego brakowało, dostaniesz halucynacji i wyładujesz w rowie — straszyl, podjudzał zdeorientowany umysł. Zaciśnięciem mocniej ręce na kierownicy.

— Niezłe — bąknąłem niepewnie, odkładając trochę zbyt szybko skreta do popielniczki.

— Spokojnie, nie ma się czym denerwować — wybuchnął śmiechem przygodny pasażer. — Nic się nie będzie działo.

Palił powoli, starannie, zatrzymując długo dym w płucach; zajął się sobą, skretem, którego po chwili precyzyjnie umieścił w szklanej filce.

„Początkujący to on nie jest, ciekawe, degenerat też nie, skąd te konopie, jakby tu zrecznie go podpytać” — cisnęło mi się do głowy.

Jakby wyczuwając podświadomie moje zainteresowanie nim i całą sprawą, zaczął mówić sam. Spokojnie, na luzie, bez ekscytacji, z doskonałą znajomością przedmiotu, jasno i precyzyjnie. Choć po lekkim ironicznych, kpiących spojrzeniach widziałem, że doskonale się bawi moją niewiedzą.

— Hodowla konopi zajmowała się u nas od wieków. Polska odmiana — Cannabis sativa, daje doskonale jakości sznurki. Z indyjskiej otrzymuje się gorsze sznurki, ale za to więcej „zielonego dymu”. — Uwaga, fumanka... — wtrącił rzeczowo, gdy zasłuchany, nieco zbyt późno zaobserwowałem się do wyprzedzania jakiejś furi (nieoswieconej, rzecz jasna). — Sam od kilku lat hoduję konopie — kontynuował. — Właśnie byłem u siebie na działce.

— Ale dlaczego zdecydował się pan akurat na tę, no, marihuane — ostrożnie rzuciłem słowo-słogan, bojąc się, by nie zrezygnował przedwcześnie ze swej opowieści.

— O, to dłuższa historia. Parę latnych lat temu, będąc jeszcze jako student na „saksach” w Szwecji, zostałem poczęstowany własnie „fontem” czyli „trawą”. Ten pierwszy działekaj, najmocniej, zapamiętałem do końca życia. Wie pan, sam w obcym mieście, w końcu kraje, kraj, w którym nie miałem żadnego znajomego, zupełnie innej struktury ludzkiej, jest to jak świadomie sterowane, senne marzenie, nie ma rzeczy nieważnych, wszystko nabiera ostrości, wagi, zaciekawia — tak człowiek, jak i muzealna ekspozycja. Nazwa się to świadomością międzymózgowia. Pewnie, trochę się bałem, że coś zrobię sobie krzywdę, że przedawkowałem. Ale to nie możliwe, „trawę” nie sposób przedawkować. Dochodzi się tylko do pewnej granicy. Sekret daje pewną zależność psychiczną a nie potrzebuje. Inną używkę, tak, choćby morfina czy heroína, uzależniają fizycznie, upadają, stąd po odstawieniu ten kaiz głód. Zwykle się jednak wszystkich podciąga pod jedną kreskę: narkoman to koniecznie degenerat, szkielet, strzechawka, wrak kompetentnej degenerolada.

Nie przerywałem monologu. Pasażer wyraźnie się rozochocił. Jechałem wręcz wolno, bałem się, że lada moment będzie wysiadł i — nastroi prysnę.

— W Skandynawii dowiedziałem się, że w Azji z tych badyli robi się niezła herbata, której indyjska nazwa brzmi „bang”. Nasiona używa się tam głównie do kolejowych upraw, chyba że nabywca bogaty, to wyrzuca. W Sztokholmie najłatwiej kupić „trawę” w okolicach centralnej stacji metra, choć jest ona stosunkowo droga, przeciętnie 5-6 razy droższa, niż choćby w takiej Holandii.

— Skąd te wiadomości? Trochę z życia, ale sporo czytałem specjalistycznych książek, dostępnych bez kłopotów na Zachodzie. W jednej z nich wyczytałem, że Amerykanie w czasie II wojny światowej pracowali uśpienie nad otrzymaniem mocnych lin konopnych, mocnego włókna i przypadkiem odkryli konopną żywicę i jej zalety. A wracając na chwilę do ceny, no to parę lat temu w Belgii, mała cegiełka haszyszu takie czwarte tabliczki czekolady, kosztowała w granicach tysiąca franków belgijskich, czyli wtedy około 30 dolarów.

— Ziarna w Szwecji dostawałem gratis i postanowiłem spróbować w kraju. Kupiłem pieprz ziarnisty, przesypane konopie do metalowego pudełka po nim i spokojnie przewiozłem.

— Czy ktoś rozpozna? A skąd. Nielicznym ciekawskim śmiało można mówić, że to pomidory. Pamiętam, wracałem z mojego poletka do domu pociągami i zrobiłem sobie skreta, to nawet konduktor mnie papierosem porządkował byleby — jak mówił — tych „wyliniałych Sportów nie kurzył”. A kiedyś, jak wracałem samolotem bodaj właśnie ze Szwecji i palłem, to zainteresowała się nasza stewardessa. Miałem trochę haszu, dałem jej małą kuleczkę, do spróbowania. Dziewczyna nie chciała, ale z wdzięczności przyniosła mi szklankę whisky...

Pierwsze doświadczenia? No, to trzeba by wrócić do czarnych liczb. Na Zachodzie szerzyła się kultura hippich, w Polsce też pojawiały się pierwsze jaskółki. Prawdziwych narkotyków nie było, a korekło, żeby spróbować jak działają. Jednym z pierwszych środków był, pamiętam, środek na odchudzanie dla pań, bo zniósł apetyt. Panie brały dwa razy dziennie po jednej tabletki, ale jak się wzięło więcej, to choć nie było żadnych halucynacji, to jednak pewna przyjemna gonitwa myśli, stan euforyczny, były namiastka prawdziwych efektów. Pamiętam nawet jakie przylecia, gdzie na stole dla gości przygotowana była tylko woda i komiasty talerz „fermy”...

— W modzie była też „pasta”, jedno z lekarstw, przy przedawkowaniu był klasycznie halucynogenny. Dostępnym wówczas na normalne, białe recepty był lek ten stosunkowo łatwy do zdobycia. Miałem więc lekarza, rąbałem więc kiedyś podstępnie recepty, a resztę wymskaliśmy już sami.

„Pasta” była dziwna, nieprzyjemna, wzięłem ją tylko dwa razy w życiu. Wywoływała klasyczne reakcje wegetatywne, odciepałość (dosłownie ręka nie można ruszyć) i halucynacje, ale przykre, niekontrolowane. „Ferma” była przyjemna, towarzyska „pasta” — nie. Nie było kontaktu z otoczeniem poza tym te dziwne omamy wzrokowe. Na przykład wydawało mi się, a szedłem wtedy ulicą, że jakiś facet trzy razy z tej samej bramy wychodzi, a chodnik-pode mna — jakby wzbudzona fala wody.

Mój pasażer chwilę milczał, po czym wrócił do przerwanego wątku. — Tak, „pasta” trzymała długo do 24 godzin i lepiej. To już było ostre zatrucie, w nocy nie można zasnąć, jakieś psy mnie opadały, pajaki zlatyły ze ścian, to było jak w alkoholowej deliracji. Obrzydliwe te niektóre halucynacje nie chce ich nawet wspominać, bo i wydawało mi się, że robaki ustami wychodzą i wszy widziałem na grzebieniu.

— Były i „szalone ziołka”. Ale nie spróbowałem tego smakolyku. Natomiast spróbowałem, choć nie do końca, znanej wiezienniej używki, tzw. czaju, czyli dużej paczki herbaty, specjalnie parzonej. Do końca próby nie dotrwałem jednak, najpierw były wymioty...

— Aha, z licealnych prób to brałmy jeszcze taki środek ułatwiający koncentrację. Podobny do „fermy”, ale słabszy, też był na białą receptę. Bardzo rzadko udawało się wtedy zdobyć lek psychotropowy, od początku był na różową receptę i w wykazie leków „N”. Dziś już wycofany. Wyczytałem zresztą, że używali go jako pierwsi Amerykanie (LSD) to przecież ich wynalazek, którzy serwowali ten lek swym pilotom, startującym do wielogodzinnych lotów bombardujących Japonię, a musieli być sprawni skoncentrowani przez cały czas.

— W studenckich czasach próbowałem też morfiny. Choć oficjalnie na różowe recepty, była dostępna na rynku bez większych kłopotów. Jeszcze dwa lata temu można było za 150-200 złotych kupić. To niezbyt przyjemne, zastrzyki, trzeba się kłuć, no i reakcja jest bardziej wstrząsowa. Robi się gorąco, zawroty głowy, później trochę weselej, ale szybko przychodzi też nudność.

— No, nie, zaległość mam jeszcze spore. Nie próbowałem właśnie LSD, które odkryto przypadkiem w czasie wojny. Jakis asystent zrobił badając herbatę w brudnej po jakimś proszku szklance i dostał halucynacji. A jest to specyfik bardzo silny — wystarczy jedna setna miligramu, by zadziałał. No, potem zaczęła się produkcja na dużą skalę, gaz bojowy zaczęli robić — to już znamy.

— Meskalina? To też alkaloid, używany pierwotnie przez Indian południowoamerykańskich w czasie uroczystości obrzędowych. To roślina. Znam jednego co chciał rąbać z kolegą taką roślinę z ciepłarni i nawet to im się udało. Wpiępryli całą — i nic. Dopiero literki wódki zmieniły im nastrój. Pomylili się po prostu i rąbnęli co innego.

W czasach studenckich dużo płem, piwo i wódka spod stołki w studenckich klubach, o konopiach tylko słyszałem, ale nie było możliwości zdobycia. Rzućcie to, Po „skrecie” jedyna reakcja jest minimalna suchość w ustach, no i zwiększony apetyt. A to dziś też zaliczyć by trzeba do minusów.

— Nie ma regionu na świecie, gdzie jakaś używka nie miałaby tradycji, często od wieków. U nas była kiedyś popularna wilcza jagoda. Był to tzw. napój czarownic.

Krećcie mi się już w głowie od tempa podawanych informacji. Nie wiedziałem, ile ujechalismy kilometrów, niebył uważnie kontrolowałem też sytuację na drodze, na szczęście ruch był niewielki. Krzyśtoł, bo tak mi się przedstawił w pewnym momencie, swobodnie przechodząc na ty, śmiał się, że uchyliłem boczną szybę, gdy tylko mimochodem rzucił o jakiejś tam minimalnej reakcji u osoby wdychającej dym. Opywiał dalek swobodnie, że swada, chętnie opróżnił butelkę ciepłej oranżady, którą miałem w samochodzie.

— „MONAR”? Owszem, wiem, bardzo dobrze, że powstał. Na pewno jest potrzebny tym nieszczęśliwym morfinistom, heroinistom i innym kombinatorom, lekomanom.

— O znam wielu ludzi, którzy palą. Palący „trawę” nie są narkomanami w tym pejoratywnym znaczeniu; to są palacze, tyle że nie tytoniu a konopi.

— Co ciekawe, „trawa” znosi się w działaniu z wódką. Ale powiem szczerze, że jak jest do wyboru, to ludzie wolą zapalić. No, tych co lubią wypić, zawsze ciągnie. Choć przyznać muszę, że jak dużo gorzalki pojędzie, to potem masz podwójne uderzenie...

Tak, plantacji jest sporo, sam znam, zaraz, zaraz, niech policzę: trzech, sześciu takich, co sami hodują konopie z dobrymi wynikami. U nas się udaje, musi być tylko dużo słońca i opadów.

— Dlaczego pałe, pytasz? „Trawa” działa na mnie intrawertycznie. Zebym czuć się czasem jak sybaryta, mieć wrażliwsze zmysły. Muzyka nie przykład jest zupełnie inna, bardziej trafająca, ale nie tu, do bebenka, tylko do kory mózgowej. Świat jest bardziej interesujący, ciekawy i ja wtedy też bardziej autentyczny, no, taki prawdziwek jestem...

— Jeden papieros na trzy osoby, to już są pierwsze efekty, drugi — to już w sam raz, trzeci — to dla zachłannych, a więcej nie ma sensu palić, bo i tak się nikt nie posunie dalej.

— Lepsze to niż lekomania, bezpieczne przede wszystkim. Ten naład na narkomanów jest słuszny, w końcu to jest jakiś społeczny problem.

— Narkomani istnieją, są zarejestrowani. Nie wolno im handlować i jak się to ładnie określa — nakłaniać innych. Ale na sobie mogą eksperymentować do woli i na dobrą sprawę nie ma przepisu prawnego im to zabraniającego.

— Oczywiście, mam swój fach, jeden z bardziej cenionych w społeczeństwie: duża styczność z ludźmi i bardzo dobrze mi się z nimi pracuje. I ja nie ćpam, tylko inhaluję. No, stary, czas na mnie, tu za krzyżówka bądź laskaw się zatrzymać...

Deszcz przestał padać, w świetle reflektorów polyskliwie świeciły kałuże na asfalcie. Pożegnał się. Przeprósł jeszcze raz, że taki mokry władował się do samochodu.

— A to masz ode mnie na pamiątkę — obok popielniczki położył równutkiego skreta.

Zarzucał na ramiona kurtkę i lekkim krokiem ruszył w kierunku bielejących w oddali willowych domów przedmieścia. Włączyłem radio. ...niz przesunie się nieznacznie w kierunku zachodnim, nad ranem możliwe mgły i zamglenia, temperatura...

Leczę nie chorobę, a człowieka

Doktor ZBIGNIEW PETERSON ma nieco obiekty, nim godzi się, by wspomnieć jego nazwisko w tekście. — Wie pan, po każdej notatce na temat mojej działalności urywają się w domu telefony, dostaje dziesiątki listów. Nie chodzi o ostatnią reklamę, ja po prostu z braku czasu nie jestem w stanie wszystkim pomóc. Leczenie jest u mnie długotrwałe, bo tylko takie może przynieść efekty i nie ogranicza się — jak wielu sądzi — do wypisania recepty. Tych zresztą idealnych nie ma, a pacjent musi chcieć się wyleczyć...

Doktor Peterson od ponad 25 lat zajmuje się leczeniem hipnoz. Jest ona zresztą — jak sam twierdzi — jedyną metodą dotarcia do wnętrza pacjenta, do głębokich pokładów naszej świadomości i podświadomości. To jakby otwarcie drzwi — dalej wkracza już psychoterapia. Wieloletnia praktyka, setki rozmów, seansów z narkomanami, neurastenikami, palaczami, ludźmi obciążonymi alkoholową chorobą to bagaż, na podstawie którego można wykrystalizować sobie specjalistyczny pogląd na ludzkie ułomności, wiedzieć jak wykorzystać ludzkie naturalne właściwości, możliwości. Jednocześnie nie nie narzucając, bo to wbrew natchnieniu kontre, wywołuje odwrotny skutek. Tak zwany świat lekański do hipnozy nastawiony jest raczej sceptycznie, jako że przynosi nawet niezłe efekty, ale... Toteż mój rozmówca zajmuje się swymi pacjentami, tymi, którzy autentycznie pragną wyleczenia, często lata całe.

Przed wszystkim — twierdzi — trzeba wzmocnić psychikę pacjenta i po przeciętnie 10 zabiegach, dać mu „odszepnąć” przez nawet 2-3 miesiące. Niech uwierzy w siebie, niech się sam sprawdzi, bardziej krytycznie spojrzysz na siebie, umocni w przekonaniu, że może być i jest wartościowy, silny, gotów stawiać czoła przeciwnościom losu. Bez jakichkolwiek używek. Później następuje kolejna seria seansów, rozmów, znów przerwa, dłuższa, ale w przypadkach chronicznych — trzeba jeszcze do zabiegów powrócić.

Doktor Peterson nie kryje zresztą, że obok wielu przypadków trwałych wyleczeń na przykład z choroby alkoholowej, odnotował także kilka niepowodzeń, właśnie w leczeniu narkomanów. W tych ostatnich na efektach użył zwykle długotrwały okres choroby bądź zbyt małe zaangażowanie pacjenta, który zjawiał się u lekarza m. in. pod presją rodziców, nie czując żadnej wewnętrznej potrzeby wyrwania się z nałogu.

Jednym z ostatnich moich pacjentów był 24-letni chłopak, narkotyzujący się od bodaj 6 lat. Źródło jego choroby było niemal klasyczne: nieśmiały, zakompleksiony, niczym nie uzasadniona świadomość własnej bezwartościowości i z tego „chcę być kimś wziętym się w jego przypadku narkotyki. Choć nałóg wciągnął go na tyle, że nie był w stanie sam się bronić — chciał się bardzo wyleczyć. W pierwszej fazie doprowadziłem do tego, że w momentach krytycznych telefonował do mnie. Przyjeżdżałem wówczas na dodatkowy seans, rozmowy. Czasem potrzeba tylko kilka słów otuchy, wsparcia. Co bardzo ważne — zmienił środowisko, wyjechał z Łodzi, nie kontaktował się ze swoją „paczką”. Wyszedł z tego, kilka lat korespondowaliśmy, wiele razy spotykaliśmy się później, jest zdrow.

A ten pański autostopowicz, wielki amator „trawy”, używa klasycznych, choć fałszywych argumentów. Niech pan, nie wierzy, że nie szuka „skreta”, gdy mu się zapasy skończą. Ponoć pali kiedyś ma na to wyłączenie ochotę, a nie przestaje używać marihuany, bo nie chce. On może jeszcze nie wie, choć wygląda na doświadczonego, że „nie chce” jest już równoznaczne z „nie może”.

— Czy sobie szkodzi? To chyba oczywiste. Wszystkie alkaloidy, również te używane w lecznictwie, porostawiają smutny ślad w organizmie. Oczywiście, w lecznictwie jest to zło konieczne, mniejsze niż korzyść z zastosowania wynikająca, a przede wszystkim — nie stosowane cingle. To tak jak z ośzówkami. Wielu grzybiarzy nie wie, że spożywając ten grzyb przez wiele lat, powolutku, systematycznie niszczy sobie wątrobę.

— „Eloquentny, rozmowny, błyskotliwy”. Tak, oczywiście, ale to sztuczne, nieprawidłowe pobudzenie kory mózgowej. I zmęczenie, depresja musi przysię podójnie jak po emocjonującym zebraniu czy trudnym egzaminie...

— Sam ukończyłem kiedyś za bardzo nieśmiałego. Też chciałem sobie samemu udowodnić, że coś potrafię, że mogę zwalczyć te kompleksy. Ale prozę pana — jestem instruktorem teatralnym, zrobiłem sporo filmów krótkometrażowych, zajmuję się metaloplastyką, namietnie fotografuję, sam robię meble. Mówię o tym nie bez koczery, bowiem gdybyśmy zagłębili się w osobowość pańskiego „prawdziwka”, to przekonany jestem, że znaleźlibyśmy sporo kompleksów, kryzysów, życiowych niepowodzeń. On po prostu gra i ta „trawa” potrzebna mu do dobrej gry.

— Nie chce mu nie radzić, to jego indywidualna sprawa. Ale jeśli przeczyta ten materiał o sobie, a jest taki obojętny wobec narkotyków i uwalnia go to nie uczyniło, to niech spróbuje „chcieć nie palić” przez pół roku choćby. I wtedy niech oceni siebie i cały temat „trawy”...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

1

Zdarzenia i zwierzenia

Łódzkie tradycje

Wiem, że lektura prasy sprzed stu lat zapewne nieco równowagi psychicznej. Mam na myśli na przykład „Dziennik Łódzki” z roku 1884. W zaciśniętym Archiwum Województwa w starym ratuszu przy placu Wolności czytam taką oto notatkę: „Naczelnik poczty łódzkiej przeniesiony został na stanowisko naczelnika poczty kaliskiej. Dotychczasowy naczelnik poczty kaliskiej został naczelnikiem poczty łódzkiej”.

I od razu czuję się lepiej. Polityka kadrowa — oto rzecz wiecznotrwała, owiana duchem stuletniej tradycji.

Jeśli już o tradycjach... Łódź ma je bardzo interesujące także w sferze kultury. Czy zatem nie warto pomyśleć o popularnych publikacjach mówiących o tych tradycjach — o monografiach rodzajów księgarzy i wydawców takich jak Ludwik Fiszler, Stanisław Książek, Kazimierz Pawlak — o monografiach gazet zasłużonych dla kultury miasta, jak np. „Rozwój” Wiktora Czajewskiego...

Kiedy mówię na ten temat, który jest od lat moim „konikiem”, słyszę jakże często: — W obecnej sytuacji nie ma klimatu na takie postulaty i publikacje...

A ja właśnie myślałem, że szczególnie w sytuacji takiej, jaka jest obecnie, istnieje nie tylko klimat, ale i konieczność takich publikacji.

Czyżbym się mylił? Przecież tak niesłusznie ośmieszony przez niektórych historyków Stanisław August wiedział dobrze, iż świadomość narodowa ocalić można dzięki kulturze. Czyżby i on się mylił? W takim razie jestem w nie najgorszym towarzystwie.

Zresztą w ogóle na towarzysztwo nie narzekam. A już szczególnie na Towarzystwo Przyjaciół Łodzi, tak często postępowane przez mojego przyjaciela Romana Gorzelskiego. To właśnie TPL rozpisало konkurs na wspomnienie łódzian z okresu okupacji. Towarzystwu — podobnie jak i mnie — marzy się księga taka, jaką o Warszawie napisał Tomasz Szarota — „Dzień powszedni okupowanej Warszawy”.

Łódź była miastem specyficznym. Włączona do Reichu, proklamowana jako niemiecki Litzmannstadt — żyła przeciw życiu setek tysięcy Polaków. Jaki był ten dzień powszedni, bez polskiej administracji, polskiego słowa, polskiej gazety? Nie zainteresował ten temat — jak dotąd — żadnego łódzkiego historyka.

Niebawem minie sto lat łódzkiego ruchu wydawniczego. Za półtora roku minie sto lat od powstania pierwszej polskiej gazety codziennej... Kto o tym wie, kogo to interesuje, poza nieliczną garstką?

Czy łódzcy historycy przygotowują z tych okazji jakiegokolwiek publikację? Nie wiem. Ale to przecież dzięki niewielkiemu gronu tych, których nazwa się „łódzkimi maniakami”, powstała wreszcie — pierwsza w dziejach Łodzi — naukowa monografia pod redakcją doc. dr. Ryszarda Rosina. Pierwsza w blisko 160-letnich dziejach tego przemysłowego miasta. Trochę późno, ale dobre i to. Ostatni — trzeci — tom monografii

ukazuje się, gdzieś za cztery lata — jeśli będzie papier, klej, farba i maszyny drukarskie do tego czasu się nie rozsypany. Niebawem — mam nadzieję, że w tym roku — ukazuje się „Kronika miasta Łodzi” pod redakcją Antoniego Szrama. Czyli — coś się jednak dzieje, ale daleko za mało.

Jak wspominałem, jesteśmy w przededniu dwu pięknych rocznic w sferze łódzkiej kultury. Rocznic godnych osobnych, rzetelnych monografii naukowych oraz publikacji popularnych.

Niestety — zapewne będzie tak, jak zwykle — istotne dla dziejów kultury rocznice zaskoczą wszystkich na pięć przed dwunastą, kiedy już będzie za późno.

JERZY WILMAŃSKI

2

Kup pan obraz!

Z handlem u nas, to... zresztą, co ja Państwu będę mówił! Ale z handlem sztuką, to już inny cyrk!

Niby nikt tego nie kupuje, nikt tych obrazów, grafik, rysunków nie chce, niby, znaczy, kupują — ale tylko takie, jakie lubią, jakie im się podobają, a nie żadne „prawdziwe” dzieła sztuki, żadne tam ambitne, nowoczesne, tylko pejzaże sielskie albo kwiaty, a kwiaty to najchętniej, albo las...

No właśnie! Przede wszystkim pretensje artystów na niewyrobionego klienta, na jego parzyty, niewykształcony gust, który jeleniem stał i stoi, jeno kiedyś całkiem jawnie, a dziś pokątnie, bo się trochę jednak wstydział, ale nie całkiem. I chodząc po galeriach prowadzących sprzedaż współczesnej sztuki, można by im przypisać rację, gdyż rzeczywiście ogromna większość oferowanych tam prac nie najwyższego jest gatunku, dziwnie jednolita formalnie i dość monotematyczna. Galerie prywatne, czy prowadzone przez ART, PSP lub Desę oferują istotnie towar o dość niskim standardzie artystycznym.

Można by, powtarzam, przypisać rację twórcom „dzieł ambitnych”, że z tym gustem ewentualnych klientów jest coś nie tak — ja im jednak racji nie przypiszę.

Po pierwsze: kilka prywatnych i autorskich galerii w kraju stosuje od początku powstania dość ostry terror artystycznej klasyfikacji i o dziwo — wychodzi na tym na swoje (i także lansowani przez nie artyści).

Po drugie: galerie sprzedają systemem komisowym i co artysta przyniesie, to wystawia (no, chyba, że obszcenia — tego nie lubią!). A jak nie przyniesie, to nie wystawia. Ale artysta nie przyniesie, bo klient ma parszywy gust i go nie do-

cen, nie zrozumie i nie kupi. A klient nie kupi dzieła artysty ambitnego, zdolnego, bardzo dobrego, bo tenże artysta do galerii nie przyniesie swoje- go dzieła, bo klient z kolei... I tak ten waz niemożności gryzie własny ogon. Widać tym, co malują kwiaty, pejzaże sielskie-anielskie i lasy zielone albo złociste, chce się zanieść obraz do sklepu, a innym, co malują „ambitne dzieła” — nie chce. Ich broszka, ich biznes.

Po trzecie: odczepmy się narzeczcie od gustów klienta. Ma on prawo kupować to, co mu się podoba, a to, że mu się stosunkowo częściej podobają pejzaże i kwiaty, jest sprawą. De gustibus et coloribus non est disputandum, czyli, co kto lubi — Cygan żabę, Żyd cebulę. Tylko że klientowi trzeba dać szansę. Szansę wyboru (przy kupnie przedmiotów sztuki przede wszystkim). A wybór w galeriach ma on dość mizerny.

Nie ma powodu wybrzydzać na „malarzy kwiatów i pejzaży”. Bardzo dobrze, że są i niech sobie malują tak, jak malują. Co to komu przeszkadza? Powiem więcej i banalnie — wielu ludziom sprawiają swoimi obrazami autentyczną przyjemność i poza tym żyją jakoś z tego, co robią (nie zalewając na przykład władz podaniami o stypendia). Z kolei faktem jest, że wielu twórców tzw. „wyższego lotu” (używam tej uproszczonej nomenklatury na użytek niniejszego felietonu), grafików, malarzy sporo sprzedaje. Rzecz w tym, że sprzedają w galeriach prowadzonych bardziej rygorystycznie, tych lepszych, że mają swoich stałych odbiorców w kraju i za granicą. Jest to naturalna kolej artystycznego awansu, wzrostu znaczenia czy popularności (z takich czy innych powodów) nazwiska. Prace tych twórców trudno rzeczywiście spotkać w przeciętnej galerii. Oni też nie narzekają na niemożność sprzedaży, na brak klientów.

Kto więc narzeka? Klasa średnia? Konceptualiści? Malujący obrazy przy pomocy kostki do gry? Młodzi? Malarki przed trzydziestką? Malarki po czterdziestce? Malarze bataliści (ci chyba nie!)? Malarze pesymiści? Funkcjonuje obecnie na terenie kraju dość liczna ilość galerii prowadzących sprzedaż dzieł i przedmiotów sztuki (w samej Łodzi jest ich bodaj 5). W sekretariacie Związku Plastyków leżą oferty tych galerii z Lublina, Krakowa, Wrocławia, Koszalina i innych miast. Dlaczego więc te galerie oferują to, co oferują? Ich wina? Nie.

Chcę być dobrze zrozumianym. Nie piszę tu o zakupach dzieł sztuki przez instytucje państwowe i społeczne. Nie idzie mi o zakupy dokonywane przez mecenat, przez biura wystaw artystycznych, przez muzea. Mam cały czas na myśli zwykłego klienta, który wchodzi do galerii z ulicy i kupuje to, co jest, albo też wychodzi z niczym. Ten klient, powtarzam, ma niewielki wybór. Czasem klient coś znajdzie, ale... cena! Właśnie — ceny. Niektóre takie, jak w obecnym handlu — bez sensu. Funkcjonuje takie myślenie: wyceniam drogo, bo jak wycenię tanio, to koledzy czy ktoś tam pomyśla, że ja się nie cenię, że nie szanuję tego, co namalowałem, że wreszcie jestem konkurencyjny (a czemuż by nie?). Oczywiście, jest cennik, ale ten winien być egzekwowany jak najskrupulatniej przy zakupach oficjalnych — ale klient z ulicy, to inna sprawa. Nie namawiam wcale do oddawania obrazów za darmo albo za psi pieniąż, ale gdzieś tam ta odrobina rozsądku przy wycenie powinna funkcjonować. Dzieła sztuki nie mogą i nie powinny być tanie, ale niech będą w cenie „do kupienia”. Zresztą cena dzieła sztuki to sprawa dość umowna. Życiorysy malarzy i pamiętniki marchandów coś o tym mówią. Od butelki wina za obraz Utrilla do dziesiątków tysięcy dolarów za jednego Dalego...

ANDRZEJ GRUN

3

Lewym okiem

Nie bądź bierny!

Niedawno zaczął się ukazywać nowy tygodnik „Veto”, organ Federacji Konsumentów. W dziejach czasopiśmiennictwa polskiego czegoś takiego jeszcze nie było, z czego jednak nie wolno wyciągać wniosku, że nie było takiej potrzeby. Była potrzeba, a nie było organu? No tak, nie było, bo i takiej federacji też nie było. Byli konsumenci — bierna, bezsilna masa, poniewierana przez producentów i kupców, przez przewoźników, urzędników, pocztowców, bankowców i hydraulików. Inaczej mówiąc — przez wszystkich. A ponieważ wszyscy są też konsumentami, więc mowa tu o beznadziejnej masie wszystkich, poniewieranej przez wszystkich.

Teraz wreszcie Federacja powstała, a z nią tygodnik, w którym murarz będzie wieszał psy na brakorobstwo w branży żarówek, a robotnik z fabryki żarówek — na osypujące się w jego mieszkaniu sufit. I nikt nigdy żadnej krytyki nie weźmie do siebie.

Cały powyższy wywód jest, oczywiście, żartem, a poważne zdanie, i to bardzo poważne, jest tylko jedno: to ostatnie. Nikt nigdy żadnej krytyki nie weźmie do siebie. „Veto” jest bardzo sympatycznym pismem, artykuły, formuły, streszcza to wszystko, o czym ludzie od lat bez przerwy pomiędzy sobą gadają — no to teraz napiszą i co? Satisfakcja, owszem, będzie: oto na szesnastu stronach jednego tygodnika zebrało jakas tam (mikroskopijna) część tego, co na tysiącach stron publikują beznadziejnie setki tygodników od dziesiątków lat. Może to zagęszczenie problematyki, jej częstotliwość skumulowanie — zwiększy siłę uderzenia? Uderzenia komara w piramidę? Może zwiększy. Trzeba mieć nadzieję, trzeba wierzyć, trzeba coś robić. „Nie bądź bierny!” — apeluje redakcja „Veta” i oczywiście ma rację. Nie bądź bierny, bądź aktywny, aktywnie włącz się w walkę z marnotrawstwem, tandetą, lipą, hochsztaplerką — zwłaszcza produkcyjną i rynkową. A na czym ma ta aktywność polegać, jakie możliwości i jakie instrumenty działania ma w swoim ręku konsument?

Myślę, że tylko dwa: krytykę i czynny bojkot. Krytykę — czyli właśnie piętnowanie publiczne wszystkiego, co złe, czyli pisanie na łamach „Veta”. Jest to instrument wiatłutki i zakłada jeden absolutnie konieczny warunek: że „Veto” będzie czytane przez dyrektora, zresztę, centrale, resorty, przez wszystkich bez wyjątku decydentów, z Najwyższą Izłą Kontroli na czele. Że każdy artykuł w tym piśmie będzie traktowany po prostu jak donos, nie anonimowy przecież, imienny, udokumentowany. Taki, którego nie wolno ignorować. Ale znów: jeśli „nie wolno”, to musi istnieć taki formalny przepis prawny, a oprócz niego siła i chęć egzekwowania tego przepisu, karania za jego nieprzestrzeganie. A jeszcze wcześniej musi istnieć obowiązek czytania „Veta” oraz siła i chęć egzekwowania tego obowiązku. Oraz... no, poprzestajmy na razie na tym.

A co do bojkotu — to przecież jest on możliwy dopiero przy pełnych półkach sklepo-

wych. Mogę nie kupować złych żarówek „Tungsram”, mając lepsze żarówki „Osram”. Nie mogę nie kupować żadnych. Mogę sobaczyć na jakości, ale muszę kupić. A przecież w prawie każdej branży mamy monopol i deficyt. Monopolista z deficytowym towarem będzie zawsze grzywał na najsluszniejszą krytykę i najgłośniejsze zapowiedzi bojkotu.

Przy tym wszystkim gorąco życzyć ludziom, skupionym wokół tygodnika „Veto”, żeby nie było z tym pismem tak, jak z pismem Ligi Antyalkoholowej, które czytają członkowie Ligi i cieszą się własną działalnością, ale nie czytają pijacy i w dodatku jeszcze sobie pokpiwają. Nie jestem, jak widać z tego felietonu, zbyt optymistą co do skuteczności samej krytyki, bez sankcji w postaci bojkotu. Nie jestem może dlatego, że swoją małą „veto” w analogicznych, konsumpcyjnych sprawach stawiam tu w „Odgłosach” już od kilkunastu lat i co z tego?

Ale przecież cieszy fakt, że mimo nie najlepszych rokowań są ludzie, którzy nie chcą być bierni, którym się chce, którzy próbują. Wszystkiego najlepszego!

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI (CWIĘK)

4

Komu potrze- bne pół litra

W kącikach kulinarnych, prowadzonych przez niemal wszystkie czasopisma kobiece, można przeczytać czasem przepis na tort. Podając skład ponczu do nasycenia biszkoptu, jako jeden ze składników autorki wymieniają liżeczki od herbaty spirytusu lub wódki, zastrzegając „o ile nie jest przeznaczony dla dzieci”. Nie wydaje się, aby liżeczka alkoholu w 2-kilogramowym tortcie, z którego najbardziej łakome dziecko zje nie więcej, niż dwa kawałki, była wystarczającym warunkiem wpadnięcia w zgubny nałóg. Moja mama nie czytywała kulinarnych kącików, co tortom wychodziło na zdrowie, a i mnie nie zaszkodziło. Zresztą cały proces mojej alkoholowej edukacji odbywał się całkiem odwrotnie, niż w książce „stoi”: na przeziębienie dostawałam grzane piwo, ból gardła leczono mi żółtkiem rozartym z miodem i spirytem, przy okazji domowych uroczystości częstowano kielliskiem wina. Mimo to nie powiększłam smutnej statystyki ludzi uzależnionych od alkoholu, do osiągnięcia krajowej średniej spożycia (z okresu przedkartkowego, bo jaka jest obecnie nie wie nikt) trochę mi brakuje. Z drugiej strony, dzięki takiemu systemowi wychowania, nie wyrosłam na abstynentkę, co w naszej kulturze byłoby sprawą dość kłopotliwą. Należę po prostu do tej największej gru-

py ludzi nie popadających w skrajność w jedną lub drugą stronę i kupujących alkohol wtedy, gdy spodziewają się gości. Tak przynajmniej było do czasu wprowadzenia reglamentacji także i tego towaru.

Od chwili pojawienia się kartek zasady te uległy dość zdecydowanym zmianom. Przydziałowe pół litra lub litr wykupuje każdy pełnoletni obywatel, bez względu na to, ile ma ochotę wypić. Dalsze losy przydziałowych butelek bywają różne: jedni zapychają nimi barek, gromadząc zapas na imieniny wypadające za pół roku, inni — wypijają, bo „skoro akurat jest pod ręką”, a jeszcze inni wymieniają ze znajomymi na cukier lub inne dobra, bądź też „odstępują” sąsiadowi, któremu akurat zabrakło, oczywiście, po odpowiednio wyższej cenie (przy tym nie mówię tu o ludziach utrzymujących się ze spekulacji alkoholem, a jedynie posiadaczach własnego przydziału). Wprowadzone zamienniki na alkohol niewiele tu zmieniają — ludzie korzystający z takiej możliwości jedynie potwierdzają ogólne zasady. I trudno się temu dziwić. Oficjalnie można bowiem zamienić 0,5 l — 400 zł, na jedną paczkę kawy — 60 zł. Ta sama ilość w prywatnym sklepie kosztuje 400 zł. Z prostego rachunku wynika, że sprzedając wódkę „na lewo”, można za uzyskaną kwotę, po odliczeniu kosztów własnych, kupić co najmniej 2 paczki kawy. A liczyć umieją wszyscy. Dodatkowe efekty reglamentacji i braku alkoholu w wolnej sprzedaży, to m. in. nasilająca się spekulacja i rozwój produkcji własnej, czym zajmują się niekoniecznie i nie przede wszystkim potencjalni pacjenci poradni odwykowych.

Głosów krytykujących ten system było dużo. Stąd zapowiedź wycofania się z reglamentacji alkoholu przysłałam — podobnie jak wiele osób — z zadowoleniem. Potwierdził ją w niedawnym wywiadzie telewizyjnym minister Krasiński, zapowiadając równocześnie podwyżkę cen, z czego cieszyć się trudno, skrytykować jednak nie wypada. Wypowiedź ministra zawierała jednak i pewną „pochieć”: obok droższych wódek, w wolnej sprzedaży zachowany zostanie kartkowy, półlitrowy przydział... po starej cenie. Wniosek z tego chyba taki, że w ten sposób pragnie się zabezpieczyć społeczeństwu pewne minimum socjalne. Co prawda wśród artykułów w „podstawowym koszyku” specjalisteli od ustalania jego wartości nie wymieniali nigdy alkoholu, ale widocznie przez niedopatrzenie. Proponuję jednak inny wariant rozwiązania problemu: włączyć wódkę, po podwyżce ceny, do ogólnego systemu rekompensat — tak, jak wiele innych podstawowych artykułów spożywczych. Dać ludziom o najniższych dochodach — zgodnie z dotychczas obowiązującymi zasadami — rekompensaty największe. No, bo skoro jest alkohol tym podstawowym, niezbędnym produktem, to niech chociaż najbardziej, którym nie starcza pieniędzy na wiele rzeczy, nie odczuwają i tego niedostatku.

W przyszłości trzeba będzie odejść w ogóle od systemu kartkowego, co oczywiście dokonywać się będzie etapami. Warto przy tym dobry wzór alkoholowy wykorzystać: jedno mydło na kartkę, więcej — bez kartek, ale po wyższej cenie (już po zapachu będzie można poznać, kto jaki dochód reprezentuje), droższe słodycze bez kartek (niech się zęby psują najbogatszym, bo może te pieniądze nieuczciwie zarobione?), itd. Przykłady można mnożyć.

Szkoda jednak, że tak dobry system nie został wymyślony nieco wcześniej, przed falą podwyżek. Wtedy można by bowiem zagwarantować — na kartki po starej cenie — praktycznie automatyczne dla rodzin wie- lodziennych, gdzie sprzęt taki najbardziej potrzebny, a pieniędzy zwykle brakuje, węgiel dla samotnych emerytów w starych, zimnych mieszkaniach, czy wreszcie (nie chce bowiem być posadzoną, że jedynie o dobro społeczne mi chodzi) maszyn do pisania dla literatów i dziennikarzy, stanowiące, bądź co bądź, narzędzie ich pracy. Teraz już na takie posunięcia za późno. Ale nie to. Pocięsimy się tańszymi półlitrami — na kartki.

AGATA



Odgłosy Mundialu



Dokończenie ze strony 1

- Nie mam przesądów.
- Żadnych?
- Żadnych.
- A jak pan śpi w wigilię ważnego spotkania?
- Normalnie.
- Normalnie. To znaczy: zasypiam normalnie, ale kiedy budzę się nad ranem trochę za wcześnie, to już wtedy, nic innego nie robię, tylko myślę.
- O której kładzie pan spać chłopaków?
- O pół do jedenastej.
- Są posłuszni?
- Oczywiście.
- Jest pan zadowolony z warunków treningowych?
- Nie bardzo.

W hotelu podchodzi do mnie młody Hiszpan. Pokazuje dwóch zagranicznych dziennikarzy. Mówi:

- Chęć rozmawiać z kierownictwem polskiej ekipy.
- Przepraszam, ale dlaczego zwraca się pan do mnie?
- Żeby ich pan przekonał, iż teraz nie ma nikogo z kierownictwa.

- Kim pan jest, przepraszam?
- Szefem ochrony. Pokazuje mi znaczek. — Chodzi o to, że skoro nie ma kierownictwa, to powinni opuścić hotel.

Ledwo to zdążyłem wytłumaczyć, już mam na karku innego Hiszpana.

- Wie pan — powiada — słyszałem, że narzekacie na warunki treningowe, a ja tu znam w pobliżu doskonałe boisko, równe, dokładnie pokryte trawą, poza tym są natryski, sale rekreacyjne, apteka...

- Chodź pan — mówię. Idziemy do sali, gdzie siedzi Ciszewski.

Trener uśmiecha się:
— Oby!
— Górski — mówię — nie goili się przed meczem. Pan także ma jakieś przesady.

dzic się z głową w nocniku.

Najbardziej prasa wychwalała Brazylię i wciąż rypie Maradonę, że wolny, że ciężkawy, że co tu płacić 13 milionów dolarów? Broni go tylko światowej sławy pisarz latynowski, Mario Vargas Llosa („Rozmowa w katedrze”), który jest tu na tej samej zasadzie co ja: teraz pisze komentarze dla tygodników, potem weźmie się za coś większego. Był na meczu Peru — Kamerun w La Corunii. Rozdawał autografy i udzielał wywiadów. Facet ma wyraźnego bzika na punkcie Ameryki Południowej. Argentyna przegrała niesłusznie, gol strzelony Peruwiańczykom przez Rogera Milla został sprawiedliwie zakwestionowany. Peru i tak wyjdzie z grupy. Argentyna podobnie. La Corunia jest piękna, a ludzie nadzwyczaj mili. — To ostatnie jest niekwestionowaną prawdą. Są przewspaniali!

Przed meczem, na ulicy Królewskiej, rozmawiam z Julii Cesarzem Uribe (9) i Miguelem Gutierrezem (14). Obydwaj wpisują się redaktorowi Wojciechowi do notesu.

- Których polskich piłkarzy cenicie najbardziej?
- Uribe wymienia Szarmacha i Latę, a później drapie się w głowę. — I ten trzeci — mówi.

- Jaki trzeci?
- Ten diabeł.
- Jaki diabeł?
- No, ten rudy.

- Jaki rudy (rzuca głupka w najlepszym łódzkim stylu)?
- Dobra, zapomnieliśmy nazwiska. — poddaje się Peruwiańczyk.

- Ten najlepszy...
- Boniek.
- ?
- Si. Boniek.

Bardzo nie lubię Zbigniewa Bonka. Kiedy mówię mu dzień dobry, odpowiada tak jak cierpiąca na permanentną obstrukcję wdowa. Tak czy owak kłaniam mu się pierwszy. Zobaczymy, kto się komu pierwszy ukloni za 10 lat. Ktoś powiedział, Jakże nie lubię tego genialnego niemieckiego pisarza Tomasza Manna.

Ile waży Diego Maradona?

ski i Lato. Tłumacząc sprawę. Grzegorz Lato mówi, a Ciszewski potwierdza, że tutejsze boisko jest kiepskie, ale zmienić je może tylko prezes.

Wyczuje się, ale Hiszpan jest nieustępliwy. Biegnie za mną i wciąż mi wytyka, na której wykalkulował wszystkie wady swego obiektu. Prosi, abym wręczył to któremuś z szefów. Szefów nie ma, więc po godzinnym oczekiwaniu przekazuję wizytówkę Ciszewskiemu, z którym w międzyczasie zdążyłem się zaprzyjaźnić i jesteśmy na ty. No i nazajutrz piłkarze trenują na nowym boisku.

Straszyliwie się przechwalam. Ale taka już moja natura. Jak sam siebie nie pochwalisz, nie pochwalisz cię nikt, za wyjątkiem Mietka Wojcieckiego, który jest superporządnym facetem i najpracowitszym, najsumienniejszym dziennikarzem z całej reszty, zerującej na mnie jak sepy na padlinie. Biegają za mną: temu przetłumacz, tamtemu pomóż. W drodze do Vigo na mecz Polska — Włochy, obokocili mnie w pociągu, chciałem się przepasać — nie! Oni piszą: ja tokuję. Rodzą się we mnie odruchy buntu. Najchętniej zaszyłbym się w jakimś kącie, tak aby nikt nie mógł mnie znaleźć. Stojąc ten manewr w Vigo, uciekając z biura prasowego i ukrywając się w peryferyjnej kafejce.

Jestem już spokojniejszy. Na piersi mam kartę akredytacyjną, rzecz wprost bezcenna, upoważniająca mnie w zasadzie do uczestnictwa we wszelkich imprezach. Aby raz na zawsze zakończyć tę kwestię dodam, że parę dni później, w ostatniej rozmowie z panem Rene Kourtem, rzecznikiem prasowym FIFA, dziękuję mu w imieniu wszystkich polskich zaakredytowanych w ostatniej chwili dziennikarzy. Pyka fajkę z ogromnym, piankowym, cybuchem. Mówi:

- Hombree, es una cosa normal. Nie macie innych kłopotów?
- Ależ skąd! Wszystko jest w najlepszym porządku.
- Cieszę się — serdecznie potrząsa moją dłoń.
- Mecz — Polska — Włochy nie opisuję, gdyż widzieliście go na ekranie. Ważniejsze jest to, co działo się przed meczem i po jego zakończeniu. Watahy kibiców włoskich całkowicie opanowały teren wokół stadionu. Wymachiwali transparentami i flagami, wyrzaskiwali pod adresem nielicznych polskich kibiców, iż przegramy z kretesem. Sympatie Hiszpanów były podzielone — jedni oklaskiwali naszych przeciwników, to znaczy: włoskich turystów, inni patrzyli na nich krzywo, a grupa galicyjskich chłopaków skandowała im w twarz przekornie: Polonia! Polonia!

Na stadionie Włosi całkowicie zawrzeszczeli Polaków, natomiast publiczność reagowała obiektywnie. Po meczu część dziennikarzy ruszyła do telefonów i teleksów, inni udali się na konferencję prasową. Piechniczek był bardziej oblegany niż Bearzot, obydwoj wydawali się usatysfakcjonowani wynikiem. Na moje pytanie: czy remis jest dla Włochów tragedią, cierpliwie doskonale ubrany i uprzejmy Bearzot odpowiedział:

- W żadnym wypadku. Wprawdzie mogliśmy wygrać ten mecz, ale Polska potwierdziła, że jest bardzo dobrym zespołem, zaś Boniek potwierdził, że jest graczem światowego formatu.

Gwoli prawdy trzeba powiedzieć, że w pomocowych opiniach prasowych Polacy nie zebraли zbyt wielu pochwał. La Voiz de Galicia i El Ideal Gallego twierdzą, że za wyjątkiem 20 minut drugiej połowy, Włosi panowali na boisku i byli faworytami spotkania. A jeszcze niedawno jedna z gazet wydrukowała komentarz pod ogromnym tytułem: Włosi wierzą w cud, że uda im się pokonać Polaków.

Matyska i Smolarka biorą na kontrolę antydopingową. Ten ostatni przez godzinę nie może się wysikać, więc doktor Garlicki każe mu wypić dwa piwa. Nawiąsem mówiąc: — w kilka dni później, po meczu Peru — Kamerun, komisja lekarska trzy godziny czeka na moc Peruwiańczyka Germana Legui. Facet sęka, kweka, nadyma się — wszystko bez skutku, jego narzęczona oświadcza dziennikarzom, że nie widzi w tym nic dziwnego. — German zdenerwował się, zestresował, wypocił, więc jak ma sikać?

Wraz z Matyskiem, Smolarkiem, Garlickim oraz kilkoma dziennikarzami jędo do hotelu Meksyk w Vigo. Trwa mecz Brazylija — ZSRR. Oglądany w sali telewizyjnej przez Zmudę, Bonka, Piechniczka i kilku oficjeli.

Padł gol dla Rosjan. Wrzask, ktoś zrywa się z krzesła i łapie mnie za ramię. Patrzę — stary znajomy. I sekretarz Ambasady Polskiej w Madrycie. Nazwiska, przepraszam bardzo, nie pamiętam. On mojego też pewnie nie pamięta, więc jest remis. Piechniczek, zadowolony, rozluźniony, mówiąc słowami Witkacego: z kumeta u pyska, każe podać dziennikarzom kolację na koszt ekipy. Jednym okiem patrzę w talerz, drugim w telewizor. Kółkowanie pod brazylijską bramką.

Boniek mówi: — ekstra mecz. Zjadłem trochę szynki, biorę się do zupy, a ktoś krzyczy: panowie albo jecie, albo jedzicie. Smolarek jest skopany i chce wracać do domu. Pedzimy do mikrobustu i ruszamy do La Corunii przy stanie 1:0 dla Rosjan. 65 min. meczu. Nikt nie wierzy aby cokolwiek mogło się zmieścić. Za wyjątkiem mnie oczywiście, albowiem jestem miłośnikiem brazylijskiego futbolu. I za wyjątkiem Krzysia Wądrozkiego, który mówi:

- Panowie, z Brazylią można prowadzić do 87 minuty i obu-

Moja awersja do Bonka zasadza się na tych samych podstawach. Przy zachowaniu odpowiednich proporcji, oczywiście. Kiedy Boniek wychodzi na boisko, moje serce jest przy nim. Uważam go za najlepszego polskiego piłkarza wszechczasów, ale rozmawiać z nim nie chcę. Idę na konferencję prasową tuż po meczu Peru — Kamerun. Jako jedyny z polskich dziennikarzy mam odwagę wstać i zapytać trenera peruwiańskiego:

- Musi pan jeszcze grać przeciwko dwu zespołom: Polsce i Włochom. Który z nich niepokoi pana bardziej?
- Włochy.

- Rozpętuje się burza. Hiszpańscy, francuscy, włoscy i amerykańscy dziennikarze wrzeszczą:
- A jeszcze niedawno mówił pan, że do drugiej rundy przejdzie właśnie Polska i Peru!

- Zmieniałem zdanie.
- Wygracie z Włochami?
- Chyba tak. Włosi udowodnią, że nie umieją atakować.

Trali lali. Pojawia się trener Kamerunu. Powtarzam to samo pytanie:

- Który z zespołów niepokoi pana bardziej, polski czy włoski?

Przystojny pan, Francuz skądinąd, odpowiada pogodnie:

- Najbardziej niepokoi mnie zespół kameruński.
- Dlaczego?
- Bo ma o jeden dzień mniej odpoczynku, niż inne zespoły, a najbliżsi przeciwnicy opromienieni są światową sławą.

Nie uznaje żadnych światowych sław, poza Brazylią, którą znam i kocham prawie tak jak Hiszpanię.

Z ostatniej chwili: Kochani Anglicy wygrywają z ukochanymi Francuzami. Nie ma sprawy. Natomiast jest sprawa w momencie, kiedy spiker komentujący powyższe spotkanie wtrąca, że Algieria wygrywa 2:1 z RFN. Zjechałem Algierię od stolicy po Oran — i nigdzie nie widziałem piłkarskiego boiska, gdzie byłaby choć szczypta trawy. Niektóre stadiony, wyspane czerwonym żwirem, przypominały raczej areny do walki byków. No i okazuje się, że i w takich warunkach można nauczyć się grać w piłkę. Hiszpan łapie mnie w hotelowym korytarzu. Kiedy mówię mu, że zwyciężyła Algieria, szaleje z radości. W dwie godziny później jest smutny — Hiszpania remisuje z Hondurasem. Teraz nad ranem, dopisując ostatnie zdania, słucham radia, które nie oszczędza swoich piłkarzy:

- Przyczepiamy się do innych zespołów, które zremisują, a sami gramy jak ostatnie palanty.

Salvador protestuje przeciwko opinii, jakie ukazują się w hiszpańskiej prasie. Przegrali 1:0 z Węgrami, które pobili w ten sposób rekord wszystkich dotychczasowych mistrzów świata. Konsul salvadorski oświadcza: — Wszystko dlatego, że bez przerwy wypominają nam sprawy polityczne. Wpływa to na psychikę zawodników. Na koniec — odpowiedź na pytanie ile waży Diego Maradona. Oto jakiś biznesmen obliczył, że gdyby zrobić dokładny odlew tego piłkarza w złocie, identycznego wzrostu i wagi, więcej tak czy owak byłby wart, żywy Maradona.

ANDRZEJ MAKOWIECKI



Erwin Vandenbergh strzela bramkę dla Belgii w inauguracyjnym meczu piłkarskich mistrzostw świata Belgia — Argentyna.

TEGO JESZCZE NIE BYŁO

Sa to niepowtarzalne mistrzostwa świata. Takiego czegoś jeszcze nie było. Oto w meczu Włochy — Peru sędzia staje nagle na głowie, można powiedzieć, że sfaulowany przez peruwiańskiego zawodnika. Odnośnik kontuzję i musi interweniować lekarz. Wyglądało na to, że krew mu poszła z nosa, albowiem rozciął sobie wargę przy upadku.

W meczu Kuwejt z Francją wdziera się na boisko szejik — prezes Kuwejckiej Federacji Piłki Nożnej, człowiek niebyleboby, a więc i zadufany w sobie i w mocy swoich pieniędzy, i dzieje się rzecz niebywała: zmusza sędziego do zmiany wyniku z 4:1 dla Francji na 3:1. Zresztą później, Francuzi — którzy po zwycięstwie przeważali nad Kuwejczykami grali nonszalancko, nieładnie — wracają do poprzedniego wyniku, wbijając Kuwejtovi kolejną bramkę. I znów jest 4:1 dla Francji.

Dzieją się na hiszpańskich boiskach rzeczy dziwne i ciekawe. Nie tylko na boiskach zeszła, bo poza nimi również, Andrzej Makowiecki, który jest na miejscu wie niewątpliwie więcej i powinien to wszystko później opisać. Sądzę, że tak się stało. A co ja wiem? Ze na przykład trzech piłkarzy CSRS wzięło udział... w corridzie. A Belgowie — za zgodą trenera oczywiście — do drugiej nad ranem bawili się w dyskotekę. To zdarzało się już i na poprzednich mistrzostwach. Ot, choćby Szkoci, którzy w Argentynie byli tak pewni siebie, że folgowali sobie w degustacji tamtejszych trunków i musieli sromotnie później rejestrować przed rozgrywanymi szkodnikami kibicami.

Nie jestem natomiast taka zupełnie pewna, czy przypadkiem zasiadający na widowni

SAME DZIURY

Na kolumnie sportowej „Głosu Robotniczego” (14.5.82) w rubryce „Dziury w całym” czytamy m.in.:

„Niezła „bomba” szykują nam środki masowego przekazu w okresie hiszpańskich mistrzostw świata. 150 godzin transmisji telewizyjnych to rekord znacznie przewyższający poprzednie mistrzostwa — i te z 1974 roku w RFN i argentyński „Mundial” z 1978 roku (...). Nie ulega wątpliwości, że zobaczymy więcej mistrzostw niż wszyscy polscy wysłannicy razem wzięci (...). Człowiek, gdy staje przed możliwością wyboru, nie zawsze umie wybrać właściwie. Domyślam się, że większość kibiców ma zamiar oglądać mistrzostwa „jak leci”. Osobiście nie polecam tego systemu — cennie klasę wszystkich zespołów, nie jest to jednak pewien, czy telewizja dobrze robi transmitując w całości spotkania Hondurasu czy innych zacofanych w futbolowej cywilizacji krajów.”

Po pierwsze — z lektury programów telewizyjnych opublikowanych jeszcze przed mistrzostwami w prasie, nie tylko codziennie, jasno wynikało, że nie wszystkie mecze transmitowane będą w całości. Po drugie — owe zacofane w futbolowej cywilizacji kraje postawiły się o neliście „bomby” na hiszpańskich mistrzostwach, czego autorem felietonu podobnie, jak i inni nie byli jacy eksperci przewidzieć nie dali rady.

A po trzecie, stwierdzam, że Wojciech Filipiak wierzył o wiele zaciętniejsze dziury w całym niż autor — anonimy, który przywłaszczył sobie bezczelnie tytuł felietonu Filipiaka.

BOGDA MADEJ

UWAGA — KONKURS! TYLKO DLA SZACHISTÓW!

Nie będziemy gorsi od innych redakcji i też ogłaszamy piłkarski konkurs. Zadaniem jego uczestników jest wytypowanie drużyny, które zajmie miejsce siódme dwujęznie i jedenaste w hiszpańskich rozgrywkach. W naszym konkursie mogą wziąć udział jedynie osoby, które opanowały trudną sztukę gry w szachi, bowiem tylko one mogą w pełni docenić atrakcyjność naszego nagród i tak:

- I nagroda — Rozegranie trzech partii warcabów z redakcyjnym mistrzem szachowym Jerzym P.
- II nagroda — Wysłuchanie dzie-

więciu krótkich wykładów Jarzego P. na temat ruchów wiesz na szachownicy lub wyzwojski postawy szachisty nad postawą piłkarza w czasie gry.

III nagroda — Przyjęcie kursu parzenia herbaty do starszego na redakcji przez laureatów konkursu. Prelegent: Jerzy P.

Ponadto zwycięzcy naszego konkursu otrzymają bliżej nieokreślone proporcje z autografami (do uzgodnienia).

Odpowiedz na adres naszej redakcji, prosimy, najpóźniej przed zakończeniem Mundialu '82.

PROTEST ŁÓDZKICH KOBIET

Do naszej redakcji wpłynęło pismo, którego treść publikujemy w całości:

„W imieniu tysięcy łódzkich kobiet, żon i matek kibiców stanowiących przeciwną stronę manifestacji praktykowanej przez redakcję sportową TVP. Manifestacje, które odbyły się na całym naszym stadionie — pominięciu przedmeczowych prezentacji poszczególnych drużyn uniemożliwia nam poznać sympatyzyków i często przystojnych twarzyczek zawodników. Tym samym redakcja sportowa TVP pozbawia nas jednej z atrakcji Mundialu, ponieważ w trakcie meczów możemy już tylko oglądać krzywe nogi piłkarzy.”

Za łódzkie kobiety:

Ekspert: DOROTA CH. i GRACZYNA O.